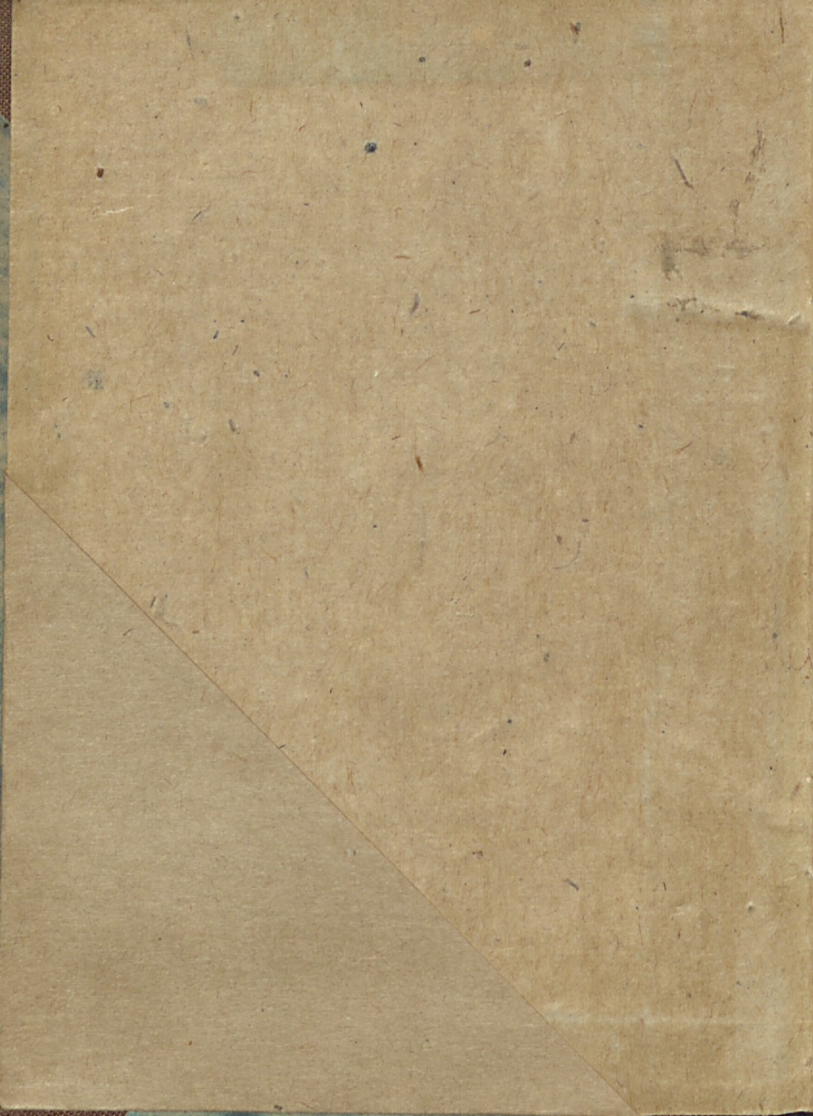
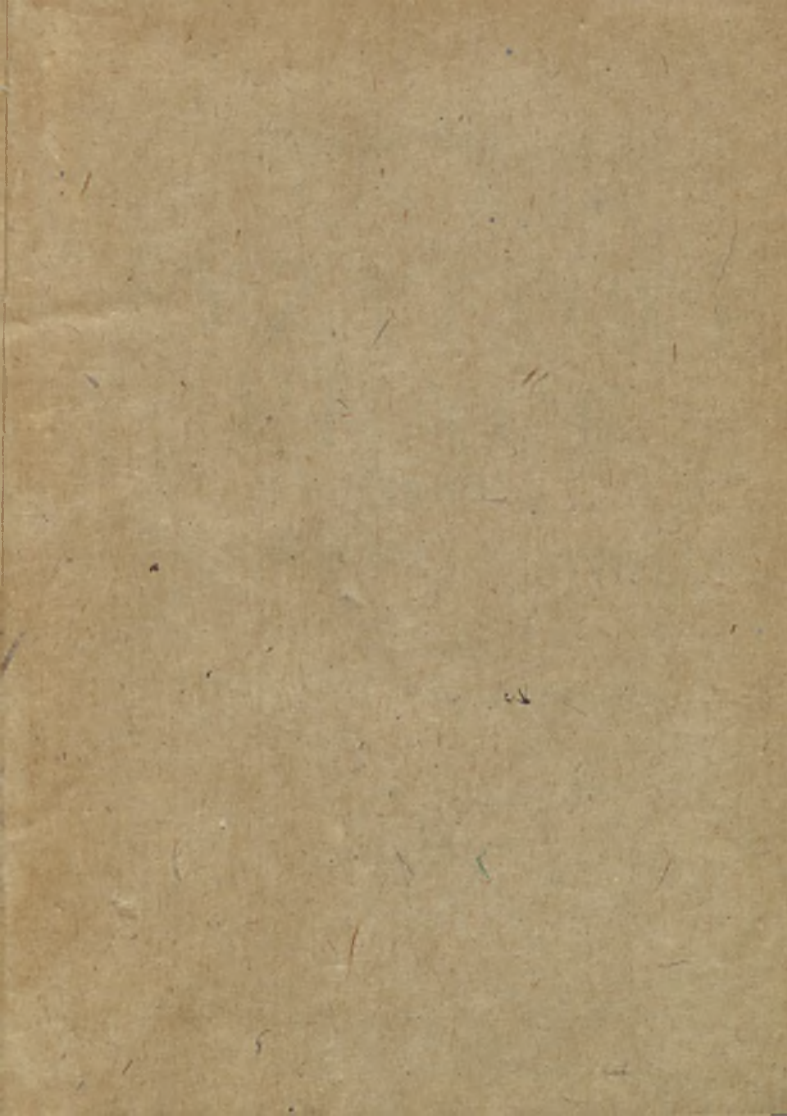








7-

8.10

STEFAN ŻEROMSKI

22. I. Nr. 375

SYZYFOWE PRACE

Dz. VIII B. 1

OBJAŚNIENIA I PRZYPISY

Nr. In. 819

OPRACOWAŁ

STANISŁAW ADAMCZEWSKI



WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“

CZYTELNIA



43372
884(091)

cyf. 884(091) Modernizm



884(091)

Adla
5/2

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43372



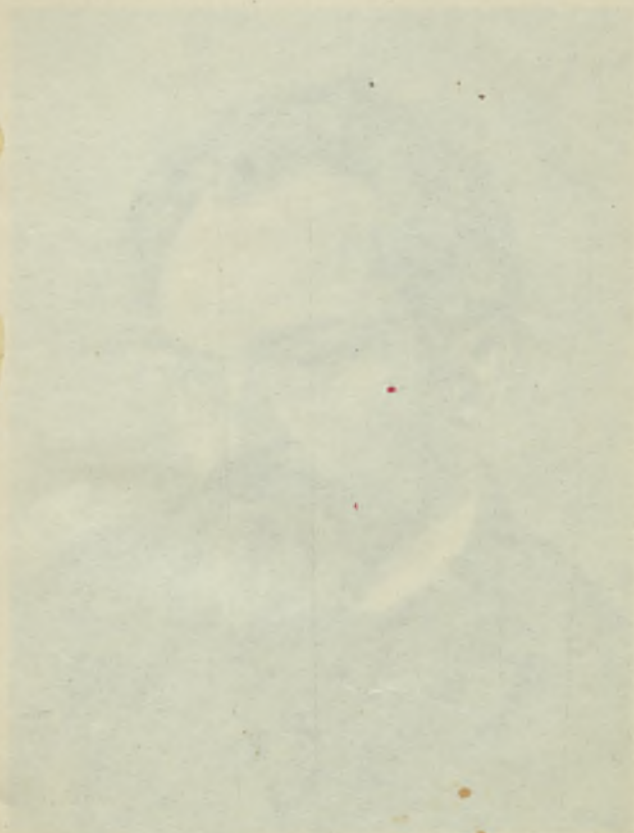
BGZs 43372

W. I.

Drukiem Zakładów Graficznych „Biblioteka Polska” w Bydgoszczy.

1 9 3 0

1280



Handwritten text, possibly a signature or date, located at the bottom center of the page.



K. Mordasewicz. Stefan Żeromski

OBJAŚNIENIA

TYTUŁ POWIEŚCI.

S y z y f — osobistość z mitologii greckiej: założyciel Koryntu, głoszny ze swych gwałtów i okrucieństw, po śmierci, w Tartarze (piekle) skazany na daremne wtaczanie na szczyt góry skalnego bloku, staczającego się ustawicznie.

Objaśnione wyrazy i zwroty ułożono tu — w obrębie każdego rozdziału — w porządku alfabetycznym.

ROZDZIAŁ I.

a, be, we, że, ze... — (właściwie: a, b, w, g, d, je, ż, z...) jest to kolejność początkowych liter alfabetu rosyjskiego.

baszłyk — okrycie na głowę i uszy, chroniące od mrozu, rodzaj spiczastego kaptura z długimi końcami w kształcie taśm (do wiązania pod szyją, sporządzony z miękkiej tkaniny wełnianej barwy zazwyczaj żółtawej); przez Rosjan, wraz z nazwą (turecką) przejęty ze Wschodu, w ostatnich dziesiątkach lat panowania rosyjskiego w Polsce używany także u nas, w zaborze rosyjskim.

b e k i e s z a — futro długie węgierskiego kroju: mocno wcięte, szamerowane.

chrestomatja — wypisy, czytanki (wyraz pochodzenia greckiego, używany w języku rosyjskim, jak zresztą i w wielu innych).

determinacja — rezygnacja, zdanie się na los.

d i k t o w k a — dyktando (po ros.).

dudy — kobza lub inny podobny instrument muzyczny dęty o monotonnym głuchym dźwięku: stąd użyte tu w znaczeniu przenośnem jako płacz głośny.

dukać — wolno i z trudem sylabizować nagłos.

dwa złote groszy dwadzieścia — była to wtedy w rosyjskiej monecie okrągła suma czterdziestu kopiejek.

dydaktyczny — pouczający.

dyscyplina — pospolite dawniej narzędzie do wymierzania fizycznej kary dzieciom: składało się z paru cienkich rzemieni, zwisających na rękojeści, wyrobionej z sarniej nóżki.

dziarsko — ochoczo, zuchowato.

elkowy — *elki* — futro z tchórza.

imia suszczestwitielnoje, imia priłagatielnoje, miestoimienje... — terminy gramatyczne rosyjskie: rzeczownik, przymiotnik, zaimek.

jak się patrzy — zwrot, oznaczający to samo, co: jak się należy, jak potrzeba.

janczary — dzwonki u sanek.

jest' — jest (po ros.).

Kol sławien nasz Gospod' w Syjonie... — Jak wielki jest nasz Pan w Syjonie... (początek tekstu pieśni religijnej rosyjskiej).

kozik — prosty jarmarczny scyzoryk, oprawny w drzewo (zwany także „cygankiem“).

„leguminy“ — tak nazywano część opłaty za stancję ucznia, uiszczaną „w naturze“: w postaci mąki, kaszy i t. p.

lejbik — stanik, kaftanik kobiecy.

Lejbuś — imię żydowskie.

litografja — ilustracja, odbita na papierze sposobem mechanicznym z rysunku, wykonanego na kamieniu.

lazanki — kluski, wykrajane z] ciasta w kształt wydłużonych czworokątów.

maśloch (gwarowe) — mazgaj; także w znaczeniu: maślak (gatunek grzyba); tu: wywołane pokrewieństwem dźwięków ludowe spolszczenie rosyjskiego „baszłyk“.

Naczalnoje Owczarskoje Uczyliszcze — Szkoła Początkowa w Owczarach (po ros.).

nostryfikacja — nadawanie praw krajowych osobom lub rzeczom cudzoziemskim.

pa russki umiejesz czitat'? — umiesz czytać po rosyjsku? (ros.).

piatiu szest' — tridcat' — pięć razy sześć — trzydzieści (po ros.).

pietuch — kogut (po ros.).

podleżaszczaje jest' tot przedmiot, o koto-rom goworitsia w przedłożenji — podmiot jest tym przedmiotem, o którym mówi się w zdaniu (po ros.).

po rusku — t. j.: po rosyjsku.

powala — sufit drewniany belkowany.

Prieblagij Gospodi, nisposzli nam blagodat'... — Przeświety Panie, ześlij nam łaskę... (początek tekstu modlitwy przed lekcjami, odmawianej w rosyjskich szkołach ówczesnych).

pytel — worek muślinowy, przez który w młynie przesiewa się mąka drobno zmielona (tak zwana pytłowa).

rachitycznie — od *rachitis* (krzywicy, choroby „angielskiej“), objawiającej się u dzieci przez wykrzywienie kości, zwłaszcza kości nóg.

samowarek — *samowar* — pękate duże naczynie miedziane na małych nóżkach z własnym paleniskiem i odprowadzającym dym kominkiem, służące do gotowania wody na herbatę — zwyczajem rosyjskim używane powszechnie w ówczesnym rosyjskim zaborze.

sanice — płozy u sań.

„sera“ dawać — ordynarna zabawa uczniowska, polegająca na tworzeniu umyślnego tłoku w długiej ławce szkolnej lub w kącie sali czy dziedzińca.

spancer (gwarowe) — kurtka, marynarka.

stichi — wiersze (po ros.).

szlify — błyszczące naramienniki wojskowe.

szipagaterja — żartobliwie-prostacka nazwa gorzałki, czystej mocnej wódki.

sympлак — prostaczek, nieuk.

„*ślabizok*“ — z chłopska: sylabizowanie.

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny...” — początek tekstu znanej polskiej pieśni kościelnej, zwanej Suplikacjami.

uczyliszcze — szkoła (po ros.).

Warłomiej — Bartłomiej (po ros.).

Wikientij — Wincenty (po ros.).

w kwandrans — uwydatniona w tekście książki kursywą forma błędna zamiast poprawnego „kwadrans“.

w miesiąc — rusycyzm, zamiast polskiego „na miesiąc“, „miesięcznie“.

W szapkie zoloto lito ho staryj russkij wielikan podżidał k siebie drugo ho... — Stary olbrzym rosyjski w złotolitej czapie oczekiwał na przyjsie innego... (początek wierszowanego utworu jednego z poetów rosyjskich XIX wieku).

„*wy wija s*“ — skoczna, taneczna nuta ludowa.

zapaska — ludowa nazwa fartucha z grubej wełny, noszonego także na ramionach (na sposób płaszcza).

Zelik — imię żydowskie.

z grzebny — o grubem, prostem, węzlastem płótnie samodziółem (t. j. domowej roboty).

ROZDZIAŁ II.

Ach, powstancy kochajoncy / Udirajut kak zajoncy... — rosyjska urągliwa piosenka żołdacka, przedrzeźniająca język polski i natrząsająca się z klęski powstania styczniowego (*udirajut* — umykają; *kak* — jak).

„bez“ trzy zimy — w gwarze chłopskiej przyimek *bez* używa się często tam, gdzie mowa literacka stosuje *przez* — i naodwrot. **bloń** — pastwisko gromadzkie.

dowolny — zadowolony (z rosyjska).

„drukowane“ — t. j. drukowane, książka (gwarowe).

dyrekcja naukowa. — Za rządów rosyjskich całe t. zw. Królestwo Polskie (złożone z 10 gubernij) w zakresie oświaty podlegało zarządowi jednego tylko kuratorjum szkolnego (z siedzibą w Warszawie), kuratorjum zaś warszawskiemu podlegały niższe urzędy administracyjno-szkolne — *dyrekcje naukowe*, rozsiane w paru większych miastach prowincjonalnych, roztańczające nadzór nad szkolnictwem elementarnem.

dyrektor — kierownik dyrekcji naukowej (zob. wyżej).

filologiczny wydział — wydział ten w uniwersytetach rosyjskich pod względem zakresu studjów odpowiadał wydziałowi humanistycznemu na naszych obecnych uniwersytetach.

gubernje — jednostki administracyjne w dawnym państwie rosyjskiem, odpowiadające polskim województwom.

„...i pokój“ — zwrot gwarowy, sensem odpowiadający wyrażeniom: i tyle! i nic więcej!

jat' i je — litery w alfabecie rosyjskim; ponieważ obie wymawiały się jednakowo (jak miękkie *e*), ich dźwiękowa tożsamość powodowała jeden z głównych szkopułów w należytem opanowaniu pisowni rosyjskiej przez ucznia.

klechda — podanie gminne, baśń.

Kol sławien... — zob. obj. do roz. I.

lapidarny — o sposobie mówienia: zwięzły, dobitny, mocny.

Machlejd — firma browaru.

Matwiej — Mateusz (po ros.).

monstrualny — potworny (od łac. *monstrum*, potwór).

„my“ — gwarowa wymowa celownika *mi*.

na skoro — naprędce, z pośpiechem (ros.).

na w zuby — masz w zęby! (po ros.).

niedowolen — niezadowolony (z rosyjska).

Nikołajewicz — syn Mikołaja; rosyjska forma *na-icz*, tworzona z imienia ojca i dodawana do imienia synowskiego (tak zwane *otczestwo*).

„*no m*“ — gwarowa wymowa celownika *nam* (z pochyleniem *a*).

osypka — opłata w zbożu, w ziarnie.

„**palice**“ — t. j. palce (gwarowe).

pa russki — po rosyjsku (ros.).

Pestalozzi — Jan Henryk (1746—1827), sławny pedagog szwajcarski, jeden z twórców nowoczesnych metod wychowawczych.

pierekliczka — głośnie sprawdzanie listy obecności (po ros.).

ponimajesz, chamskoje otrodje? — rozumiesz, chamskie nasienie? (po ros.).

ponimajesz, chołop, mużiczjo? — rozumiesz, chanie, chłopska duszo? (po ros.).

Primarschule — szkoła początkowa (po niem.).

Promyk — pseudonim Konrada Prószyńskiego (1851—1908), zasłużonego twórcy znakomitego polskiego elementarza.

„*przechodzowany*“ — o garderobie: znoszony, używany (forma żydowsko-żargonowa).

„**rypać**“ — gwarowy odpowiednik synonimów *biec*, *pędzić*.

„**sfaja**“ — (właściwie: *swaja*): belka, pal, pręt (po ros.).

„**stryjna**“ — stryjenka (gwar.).

szafarnia — spiżarnia, szafa służąca za spiżarnię.

szesťdiesiat'tri — sześćdziesiąt trzy (po ros.).

Szwicerland — nazwa Szwajcarii w tamtejszym dialekcie niemieckim.

„**święta Ruś**“ — tak rosyjscy patryjoci mieli zwyczaj nazywać Rosję.

węgiel — zewnętrzny róg domu i wogóle budowli.

wiedomosti — sprawozdania (urzędowe).

wot kak! — zwrot rosyjski, dający wyraz zdziwieniu mówiącego.

zadaczki — zadańka (po ros.).

zdorowo, rebiata! — witajcie, dzieci! (po ros.).

zdrowia żęłajem Waszemu Wysokorodju! — życzymy zdrowia waszej wielmożności! (rosyjski konwencjonalny okrzyk zbiorowy, stanowiący odpowiedź na powitanie zwierzchnika).

Zwergl — dobrotliwy karzełek z baśni, krasnoludek (niem.).

ROZDZIAŁ III.

akcyzny — ówczesny rosyjski poborca akcyzy, t. j. podatku skarbowego od spirytualij, zarazem urzędowy kontroler ich detalicznej sprzedaży po szynkach.

Akryzjusz — według mitologii greckiej władca miasta Argosu, którego mury z olbrzymich głazów wzniesić mieli *cyklopi*, mityczne olbrzymy o jednym oku na czole.

„...**corny kawy** z czytryną“ (zadać komu) — przysłowiowe wyrażenie w rodzaju „zadać bobu“, „sprawić łaźnię“, tu — w ustach prostaka-szynkarza, którego sposób wymawiania dźwięków zdradza jego prostactwo (mamy tu zespolone aż trzy zjawiska gwarowej fonetyki: *corny* = czarnej, gdzie występują pochyłki *a* i *e*, oraz „mazurzenie“ w wymawianiu dźwięku *cz* jako *c*, a zarazem zjawisko odwrotne, t. zw. „sączenie“ w wymawianiu *c* jako *cz*: „czytryną“).

cyklopi — zob. obj. do wyrazu „Akryzjusz“.

czterdziestówka — ówczesna rosyjska moneta srebrna, wynosząca 20 kopiejek czyli 40 groszy.

etaż — piętro (wyraz przez Rosjan przejęty z francuskiego *étage*).

fanaberje — zbytki, grymasy.

forsa — siła (z franc. *force*).

generacja — pokolenie.

ikona — u Rosjan (prawosławnych) obraz „święty“; zawieszają go w rogu pokoju.

kamaszki z gumami — t. j. takie, jak nosili podówczas dorośli mężczyźni do długich spodni: cholewki miały niesznutowane, a zato zaopatrzone z dwu boków we wstawki z ciągnącej się gumowej tkaniny. (Długie czarne spodnie należały do obowiązkowego uniformu ucznia rosyjskiego gimnazjum, podobnie, jak czarna bluza wojskowego kroju, ściągnięta wpół szerokim skórzanym paskiem, lub, zamiast niej, granatowy długopół mundur z posrebrzanymi guzikami w jeden rząd oraz z cienkim srebrnym galonem dokoła stojącego kołnierza).

„K a p k ą z“ — chłopskie spolszczenie rosyjskiego *Kawkaz* t. j. Kaukaz.

K i e r n o z j a — licha miejscina w woj. warszawskiem (pow. gostyński); nazwa używana przysłowiowo na oznaczenie zapadłego kąta, wszelkiej wogóle lichej osady prowincjonalnej.

k l a s y c z n e g i m n a z j u m — t. j. z obowiązkowem nauczaniem łaciny (od klasy I) i greki (od III); prócz tego typu szkoły średniej było za czasów rosyjskich w Polsce jeszcze gimnazjum realne, t. j. matematyczno-przyrodnicze (bez języków starożytnych).

„loch“ — t. j. dziura, przepaść (wyraz pochodzenia niemieckiego w polskiej mowie żyda-żargonowca).

mantyłka — krótki płaszczyk kobiecy bez rękawów.

...z a M i k o ł a j a — t. j. za cara Mikołaja I (1825—1855).

nie izwiestno — niewiadomo (po ros.).

n o t a b e n e — zwrot łac. (= „dobrze zauważ“) dla zwrócenia uwagi słuchacza lub czytelnika na szczególnie ważną okoliczność.

ostanowki p o s u b b o t a m (po ros.) — t. j. zatrzymywanie uczniów- winowajców w soboty po lekcjach dla wymierzenia im kary.

propinacja — szynk.

ryfa — prowincjonalizm oznaczający to samo, co: gapa, gamoń, niezdara.

stagnacja — zastój.

tak-li? — czy tak? (po ros.).

uczycieli — nauczyciele (po ros.).

udarenja — akcenty na słowach w mowie rosyjskiej, (na pierwszej, drugiej lub trzeciej sylabie od końca), szczególnie trudne do opanowania dla nie-Rosjanina.

wam czewo? — pan (pani) sobie czego życzysz? (po ros.).

wospreszcza się gadać po polski — zabrania się gadać po polsku! (zdanie — w łamanej rosyjszczyźnie).

znać — po rosyjsku znaczy: wiedzieć.

ROZDZIAŁ IV.

algierka — rodzaj długiego, sutego palta męskiego.

asystenci gospodarzy klas — zwani ich „pomocnikami”: ich funkcją w szkole rosyjskiej był wyłącznie dozór nad młodzieżą na pauzach i wolnych godzinach; „gospodarzami klas” nazywano opiekunów klasowych (wychowawców).

„a w a n t u r y” — legalista („ugodowiec”) Somonowicz tak określa powstania polskie.

„chustka” — chustką nazywano szeroki krawat do wiązania, jaki nosili mężczyźni z towarzystwa w drugiej ćwierci zeszłego wieku (radca Grzebicki ubiera się według mody z czasów swej młodości).

c z u p u r n y — sierzdysty, junacki, zawadjacki.

da-s, eto toczno! — tak, tak jest w istocie! (po ros.).

Drucki-Lubecki (Ksawery) — minister skarbu za Królestwa Kongresowego (1815—1831), zasłużony tem, że uporządkował finanse tego państwa.

„dziadek” — preferans z „dziadkiem”: tak określają, gdy w tej grze karcianej grają trzy osoby zamiast przepisowych czterech („dziadek” to niby fikcyjny, domyślny partner).

elki — zob. obj. do roz. I.

ergo — więc, zatem (łac.).

facecje — figle, zbytki.

„giel dy“ — t. j. pieniądze (żartobliwie, z niemiecka lub z żydowska).

g r a m a t y k a języka polskiego po rosyjsku — szerzej o niej w dalszym tekście powieści (roz. VIII).

„g u l o n“ — tak mieszczuchów (łyków) nazywają chłopci w stronach, gdzie toczy się akcja powieści.

huncwot — nicpoń, hultaj.

Kałmuk — *Kałmucy* — jedno z plemion mongolskich, zamieszkałych na obszarach Rosji, o skośnych wąskich oczkach i mocno wystających kościach policzkowych.

k a n c e l i s t a — tak nazywano dawniej urzędników biurowych.

Mateusz herbu Cholewa — biskup krakowski z XII w.; historyk polski XIX w. Lelewel przypisywał mu autorstwo pierwszych trzech ksiąg kroniki Wincentego Kadłubka (ur. ok. r. 1160).

M o c h n a c k i „M o r u s e k“ (t. j. Maurycy) — wybitny krytyk literacki i historyk (1804—1834); bierze żywy udział w wypadkach politycznych, które się rozegrały w Warszawie po wybuchu powstania 1830 r.: epizod z tych wypadków opowiedziany jest właśnie w powieści.

M u r a w j e w (Michał) — w okresie powstania styczniowego generał-gubernator wileński; stłumił krwawo powstanie na Litwie, setki ludzi powiesił, tysiące zesłał na Sybir; zyskał sobie przydomek „Wieszatiela“.

najjaśniejszy pan — radca Grzebicki mówi o cesarzu rosyjskim Mikołaju I, który w r. 1825 koronował się w Warszawie na króla polskiego.

pontyfikalnie — uroczyście, majestatycznie.

p o t e n t a t — mocarz.

„p r z y w i ś l a ń c y“ — t. j. mieszkańcy „Przywiślańskiego kraju“, jak nazywali Rosjanie ówczesne Królestwo Polskie.

rewolucja — t. j. powstanie listopadowe.

syngielton — jedynak (dosłownie: jedyna karta pewnego koloru w grze karcianej; od ang. *single*, pojedynczy).

„**s z n u p a c z**” — od *sznupać*, t. j. zażywać tabakę (z niem. *schnupfen*).

„**wtedy**” — ostrożny radca Somonowicz tak określa wypadki, poprzedzające powstanie styczniowe.

znaki n a r o d o w e — t. j. narodowe sztandary wojskowe.

ROZDZIAŁ V.

akcesorja — dodatki, uzupełnienia, przybory, przyprawy.

batalja — bitwa (z franc. *bataille*).

de facto — w istocie (po łac.).

extemporale — ćwiczenie klasowe, polegające na tłumaczeniu z jednego języka na drugi (łac.).

finfa — dym przez rurkę papierową w nos cudzy dla figla puszczoney; wszelki dokuczliwy figiel, afront.

f o r m a c j a — w znaczeniu geologicznem: warstwa skorupy ziemskiej o własnościach geologicznych określonego typu.

kapcan — chudopacholek, prostaczek, nieuk.

„**k a p r y**” — guzy, uderzenia, sińce (w żargonie uczniowskim).

manipulacje — skomplikowane czynności.

„**owczarnia**” — pogardliwie o klasie wstępnej (w żargonie uczniowskim).

„**palmy**” — tak nazywano znaczek ze srebrnej blachy, przedstawiający dwie gałązki, nakrzyż złożone, z inicjałami nazwy uczelni pośrodku; taki znaczek nosili uczniowie ówczesnych szkół rosyjskich na przedniej stronie czapek (nad daszkiem).

perispomenon — jeden z pięciu rodzajów akcentu gramatycznego w języku greckim.

p o k a — póki (po ros.).

prawoje pleczko w pieriod — prawe ramię naprzód (rosyjska komenda wojskowa).

pr z e m i a n a — t. j. pauza szkolna.

P y t j a — sławna w starożytności wróżka świątyni delfickiej, której wyrocznie były mgliste i zagadkowe; wygłaszać je miała w stanie oczadzenia dymem czy oparami, unoszącemi się ze szczeliny skalnej.

sześć' — sześć (po ros.).

tombakowy — tombak: aljaż miedzi z cynkiem (barwą zbliżony do mosiądzu).

trzecia deklinacja z wyjątkami — w gramatyce łacińskiej najbardziej skomplikowana z pięciu deklinacyj rzeczowników.

uroki — lekcje (po ros.).

Verstand — rozum (po niem.); posłać kogo do apteki po „verstand“ — figiel sztubacki.

Zakon Bożyj — religja (po ros.).

z w o n o k — dzwonek (po ros.).

ROZDZIAŁ VI.

cugowy — o koniu: koń, chodzący w karecie, zbytorny, rasowy.

kleszczyny — drewniana część chomąta końskiego z wystającemi ku górze dwoma ostremi końcami.

łabas — wykrzyknik na oznaczenie nagłego chwytu.

„machenik“ — z chłopska przekręcony wyraz *mechanik*.

„na fest“ — na moc, z całej mocy (z niemiecka).

„para“ — wyzwisko chłopskie (zwykle z jakimś przymiotnikiem: „psia para“, „żydowska para“).

p ó ł k o s z k i — nadwozie chłopskiej bryki plecione z łożyny.

„p u“ — gwarowa forma przyimka *ku*.

rozwora — poziomy drąg, łączący tylną i przednią oś podwozia, w oś tylną wpojony końcem rozwartym (stąd nazwa).

sak — workowata sieć na ryby, rozpięta na kabłąku drewnianym i umocowana na kiju.

s m u g — wąski a długi pas roli, łąki, lasu.

stajonko — zdrobniale od **staje** = kawał pola długi na 60 kroków ($\frac{2}{3}$ morga, 20 zagonów).

štanga — gwarowa forma wyrazu *sztang*a (niemieckiego pochodzenia nazwa sztaby żelaznej, zamykającej wrota).

trepy — sandały skórzane o grubych drewnianych podeszwach.

„trzunać” — runąć, skoczyć gładko, płasko (gwarowe).

ROZDZIAŁ VII.

Aleksander — t. j. Aleksander II, cesarz rosyjski (1855—1881).

eto wy, otiec — to wy, ojciec — dmśl.: duchowny (po ros.).

hymn państwowy — oczywiście ówczesny rosyjski, zaczynający się od słów: *Boże, carja chрани* (Boże, cesarza chroń).

kraszuarka — spluwaczka (z franc. *cracher* = pluć).

symplicjusz — prostaczek (od łac. *simplex* = prosty).

szynel — palto mundurowe wojskowego kroju (z ros.).

ROZDZIAŁ VIII.

Dubrowskiego Wypisy polskie — używane na lekcjach polskiego w szkołach rosyjskich: nagłówek książki i tytuły każdego ustępu były zredagowane w dwu językach — najprzód w rosyjskim, a potem w polskim.

dzień galowy — t. j. dzień imienin cara, carowej, carewicza i t. p. (takie dni, których było w roku około dziesięciu, nazywano po polsku „galówkami“).

„ekstra” — gra w piłkę.

fama — wieść (łac.).

farys — od bohatera poematu Mickiewicza *Farys*: w znaczeniu potocznem określenie człowieka o górnych porywach, szerokich dążeniach (w przeciwieństwie do „filistra“, „zjadacza chleba“).

gala — strój galowy.

„Grammatika polskawo jazyka sostawlenaja po Iwanowu Michailom Grubieckim”

— „Gramatyka języka polskiego ułożona według Iwanowa przez Michała Grubeckiego“: tytuł niewielkiej książeczki, z której uczniowie Polacy w rosyjskich szkołach uczyli się zasad ogólnego języka — po rosyjsku.

ineksprymable — spodnie (z franc.).

Kalmuk — zob. obj. do roz. IV.

Klej — żartobliwy przekład na język polski dosłownego znaczenia niemieckiego nazwiska Leim.

lukrecja — mdły w smaku wyciąg z korzenia rośliny (o tej samej nazwie), urobiony w laseczki.

mastodont — zaginiony („przedpotopowy“) gatunek zwierzęcia o kształcie zbliżonym do słonia; olbrzymie kości mastodonta odnajdują w pokładach skorupy ziemskiej.

paralelka — oddział równoległy klasy szkolnej.

„**p i e r o g**“ — t. j. kapelusz w kształcie pieroga ze świecącymi galonami, jako część składowa galowego stroju urzędnika.

rajwach — zamęt, rozgardjasz, zamieszanie.

sągi — równoległoboczny stos drzewa opałowego, mający sążen długości (sążen = 1,73 m).

socjologia — nauka o zjawiskach życia społecznego i ich prawach.

s o r o k — czterdzieści (po ros.).

szkoły wojewódzkie — tak się nazywały polskie szkoły średnie w miastach wojewódzkich w okresie Królestwa Kongresowego (przed powstaniem listopadowym).

szopowe futro — futro ze skór szopów — (*szop* — zwierzę drapieżne z rodziny niedźwiedzi).

tablice synchronistyczne — tablice współczesności, unaoczniające równoczesność wydarzeń w historii różnych krajów, w historii politycznej a historii kultury (t. j. wynalazków, sztuki, literatury etc.).

zaczinszczik — inicjator (po ros.).

Zakon Bożyj — religja (po ros.).

Za usmirenje polskawo miatieža — „za stłumienie polskiego buntu”: taki napis rosyjski widnieje na medalach, które rząd rosyjski nadawał swoim urzędnikom po zgnieceniu powstania styczniowego (*miedziak* — miedziany medal lub moneta).

ROZDZIAŁ IX.

archeologiczny zabytek — archeologia (z greckiego): nauka o starodawnych zabytkach i zwyczajach.

dardanelski — t. j. „osiel dardanelski”: przezwisko poniżające dla szkolnych próżniaków i nieuków.

gwiazda — mowa o znaczku urzędowym owalnego kształtu, jaki nosili na czapkach ówcześni urzędnicy i wojskowi rosyjscy.

infamja — sądowe pozbawienie czci; w potocznem znaczeniu: niesława, hańba, bezecność.

kapcan — chudopacholek, niedołęga, fuszer.

kindżał — długi nóż obosieczny w pochwie (z perskiego).

konspirator — spiskowiec (z łac.).

krypta — podziemie kościelne; tu — mroczny i sklepiony zakamarek właściwego kościoła (z grec.).

rząd gubernjalny — cywilny urząd państwowy rosyjski zarządzający sprawami gubernji (jednostki administracyjnej, równoznacznej z polskiem województwem).

systemat filozoficzny — całokształt poglądu na świat, ułożony w ten sposób, że jego części szczegółowe opierają się na głównych podstawowych zasadach.

tabaczarz — zażywający tabakę, wielki amator tabaki.

„wytrynić” — wyrzucić, wypędzić (w gwarze uczniowskiej).

ROZDZIAŁ X.

bałyk — „na bałyku”: na czworakach.

bandos — robota w polu, wykonywana przez najemników z odległych okolic; także: najemnik, udający się w dalekie strony kraju na polne roboty sezonowe.

b e k a s — niewielki ptak błotny na długich nogach, wydający chrapliwo-beczący głos.

b o k s e r — broń ręczna do zadawania ciosów, składająca się z czterech spojonych z sobą stalowych pierścieni, nakładanych na palce pięści.

b o r s u k — zwierzę z rodziny kun, mieszkające w norach leśnych; myśliwi wykurzają je z jamy dymem.

chylkiem — ukradkiem, przyczaiwszy się ku ziemi.

c k l i w o — mdło, przykro.

d y ć — przecie (gwarowe).

„**d y m**“ — ilością „dymów“ nazywają ilość zagród, obcejś, gospodarstw w osiedlach ludzkich.

„**farbować**“ — krwawić z rany, zostawiać krwawe ślady po sobie.

„**garus**“ — potrawa z gotowanych owoców zaprawionych mąką, zupa lub marmelada owocowa.

g ł u s z e c — ptak leśny z rodziny cietrzewi, wielkości indyka.

g o n t y — deszczulki do pokrywania dachów.

g m e r a ć — grzebać.

g r o b l a — nasyp, wał do powstrzymania wody w stawie, w rzece; także: pomost, usypany przez bagna.

g r z y w a c z — gołąb dziki.

jarząbek — niewielki ptak leśny z rodziny cietrzewi.

k ł u s o w n i k — zajmujący się kłusownictwem t. j. bezprawnym polowaniem na cudzą zwierzynę.

k o b y l i c a — to samo, co „kozieł“, t. j. dwie skrzyżowane belki (np. służące za podparcie pod blat prostego stołu i t. p.).

k o z u ń — polska ludowa nazwa pogardliwa dla kozaka (kozacy — jedna z formacyj wojskowej jazdy rosyjskiej).

k r a s k a — ptak wielkości wrony o barwnem zielono-niebieskiem upierzeniu (w innych swoich utworach używa Żeromski tej nazwy także na oznaczenie wilgi, wiwilgi).

k s z y k — niewielki ptak brodzący, zwany także dubeltem, kulikiem, słomką.

k u n s z t — sztuka, rzemiosło, zajęcie (z niem.).

k w i c z o ł — ptak wróblowaty z rodziny drozdów.

Liwjusz — Titus Livius, znakomity historyk rzymski (59 przed Chr. — 19 po Chr.).

lątka — owad błonkoskrzydły o cienkim barwnym tułowiu, gnieźdzący się nad brzegami wód.

magnąć kozła — to samo, co *fiknąć, wywinąć kozła*.

„**m a ł y**“ — to określenie pieszczotliwe-szelmowskie w ustach starego kłusownika dotyczy, jak się zdaje, zająca.

m a r k i — l. poj. *marek*: roślina wodna z rodziny baldaszkowatych (zwana także *potocznik*).

nahaja — *nahajka* (także *nahaj*) — bat z grubego rzemienia na krótkim trzonku, kańczug, bizun (lekka jazda rosyjska zwana „kozakami“ używa nahajek do popędzania swych koni).

n à m a — staropolski celownik liczby podwójnej zaimka osobowego pierwszej osoby, odpowiadający literackiemu *nam*, używany do dziś w gwarach i wymawiany przez *a* pochylone po *n* (t. j. *a* dźwiękiem zbliżone do *o*).

„**obsita... squalore vestis, foedior corporis habitus, pallore ac macie preremti...**“ — ...odzienie porośnięte brudem, jeszcze obrzydliwsze mizernictwo ciała, wyniszczeni błądzą (anemią) i gorączką...

o n y — gwarowa forma zaimka *one*.

osełka — kamień piaskowy, drobnoziarnisty do ostrzenia nożów i t. p.; używany do ostrzenia kos ma kształt wydłużonej osełki masła.

pakły — odpadkowy produkt z czesania lnu; przy domowym wyrobie naboju myśliwskich używano pakułów do przybijania ładunku.

p a p r a ć — nieumiejętnie coś robić, fuszerować.

p a s y j k a — krucyfiks, krzyż przydrożny lub nadgrobnny.

„**p l u n ą ć**“ — w znaczeniu *wystrzelić*.

p oklepywanie kos — uderzeniami młotka prostowanie ich ostrzy.

pornograficzny — o treści nieprzystojnej.

„precent“ — chłopskie zniekształcenie wyrazu *procent*.

przednówek — czas, poprzedzający nowe żniwo (kiedy drobni, ubodzy rolnicy cierpią głód).

przysiołek — mała wioska blisko większej leżąca.

raubszyc (z niem.) — kłusownik: zob. wyżej obj. tego ostatniego wyrazu.

rogacz — jelen.

rokiciny — niskopienny gatunek wierzby; zarośla wierzbowe.

rypnąć — nagle i mocno uderzyć; zdzielić.

serwantka — szafka oszklona do ustawiania cenniejszych naczyń, srebra, cacek (z franc.).

sotnia — setka kozaków, oddział kozacki (ros.).

smółka — kwiat łąkowy o koronie strzępiastej, barwy czerwonej, z łodygą lepką (smolistą).

smug — wąski a długi pas roli, łąki, lasu.

srokosz — ptak wróblowaty z rodziny dzierzb, wydający śpiew urywany o metalicznym dźwięku.

„szorc“ — spódnica (z niem.).

sztychowane portrety — sztych (drzeworyt, miedzioryt, staloryt): obraz wykonany przez odbicie na papierze wzoru, sporządzonego rylcem na deszczulce drewnianej albo płytce miedzianej lub stalowej.

„śrok“ — ? : wyraz gwarowy, nieznany Karłowiczowi (autorowi *Słownika gwar polskich*).

„śwarny“ — zgrabny, zręczny, ochoczy (gwarowe).

tarki — drobne, cierpkie, granatowej barwy owoce tarniny (krzewiastej dzikiej śliwy).

truchtem — trucht: bieg konia, prędszy od stępa, a wolniejszy od kłusa.

trznadel — ptak wróblowaty, stożkodzioby, z rodziny uszczaków.

turkawka — dziki gołąb.

„tyłośny“ — tak wielki (gwarowe).

ukaz — tak w Rosji nazywano reskrypt cesarski; tu mowa o „ukazie“ cara Aleksandra II z r. 1864, dotyczącym uwłaszczenia chłopów.

uświerknąć — skonać (gwar.).

Wasilew — nazwisko rosyjskie (tu nosi je, jak widać, strażnik rządowych lasów).

w trzy miga — „w trzy migi“ t. j. trzy mrugnięcia oczu (wyrażenie rosyjskie, oznaczające: w mgnieniu oka).

wygarnąć — wystrzelić.

wyrznąć — tu znaczy: wystrzelić.

zatatrac — zagrzebać, zatrzeć.

z bisurmanić się — rozpuścić się, rozwydrzyć się.

żołna — ptak wróblowaty owadożerny; inaczej: dzięcioł.

ROZDZIAŁ XI.

Alwar — nazwisko jezuitę portugalskiego XVI w., autora głośnego podręcznika gramatyki łacińskiej, używanego w szkołach jezuickich całej Europy, także i Polski przedrozbiorowej; *gryź Alwara* — dziś byśmy się wyrazili „kuj Alwara“; naganiając do Alwara ucznia z drugiej połowy XIX w., radca Somonowicz okazuje anachroniczność swojego sposobu mówienia.

demonicznie — szatańsko, ze złośliwym wyrafinowaniem.

extra muros — poza murami (łac.).

immigracja — gromadne sprowadzenie się, najazd pokojowy.

kammer-junkier — urząd pałacowy, dworski; wysoka ranga państwowego urzędnika rosyjskiego (z niem.).

kołorta — oddział piechoty u Rzymian, odpowiadający dzisiejszemu bataljonowi (a więc wynoszący parę setek żołnierzy); w znaczeniu potocznem używany na oznaczenie oddziału ludzi wogóle, także tłumu, mnóstwa.

mandryl — gatunek małpy.

„Nadwiślanie“ — ironiczny polski przekład rosyjskiego *Pri-wiślancy* (tem mianem rusyfikatorowie określali Polaków w b. Kongresówce).

obligować — zobowiązywać; uprzejmie prosić (z łac.).

oportunistyczny — naginający się do okoliczności; skłonny do ustępstwa od zasad (z łac. *opportunus* — dogodny).

paradne miejsca — w teatrze: miejsca honorowe, pierwsze rzędy krzeseł i łoże.

pijesa — sztuka teatralna (ros., z franc.).

pincesz — binokle; także damskie, oprawne w rączkę do trzymania (z franc.).

predestynacja — przeznaczenie, los (z łac.).

radca tytularny — nazwa niskiej rangi w rosyjskiej hierarchji urzędniczej.

ruszskij — t. j. rosyjski (po ros.).

satelita — bryła niebieska, krążąca dokoła planety (np. księżyc jest satelitą ziemi); w znaczeniu przenośnem: nieodstępny towarzysz.

spektakl — widowisko (z łac.).

„spietrać się“ — złąknąć się (w żargonie uczniowskim).

szowinizm — fanatyczny, nieprzejednany patryjotyzm, przeceniający wszystko ojczyste, a wrogi wszystkiemu, co obce (z franc.).

sztých — zob. obj. do roz. X.

vox populi — głos ludu, opinja ogółu (po łac.).

werdykt — wyrok sądu przysięgłych; w znaczeniu potocznem — ironicznie: o czyjemś apodyktycznem rozstrzygnięciu sprawy (z łac.).

ROZDZIAŁ XII.

„ady“ — gwarowe: a przecież.

Cezar — t. j. *Pamiętniki o wojnie galijskiej* Caiusa Juliusa Caesara, przerabiane na lekcjach łaciny już od 2-ej klasy ówczesnych gimnazjów.

chety — nędzne koniska, szkapy.

„**chyłóśny**“ — jakże wielki! (gwarowy wyraz podziwu nad wielkością zjawiska).

con amore — z miłością, z zamięłowaniem, z zapalem (włos.).

curiosa — dziwactwa, potworności (l. poj. *curiosum*; łac.).

ćwieknąć — zdzielić (gwarowe).

determinizm — teoria o bezwzględnem uwarunkowaniu przyczynowem zjawisk; w zastosowaniu do życia psychicznego — sprzeczna z teorią wolnej woli (z łac.).

Diogenes — sławny filozof grecki (413—323 przed Chr.), głoszący i stosujący jako naczelną zasadę mądrości życiowej — abnegację z wszelkiego zbytku i z konwenansów towarzyskich (stąd w przenośni „Diogenes“ o radkowym dobroczyńcy i mistrzu, Paluszkiewicz).

drelichowy — *drelích* — rodzaj prostego grubego płótna (inaczej: parcianka).

„**drozdowskie**“ piwo — od Drozdowa, nazwy wsi w pow. łomżyńskim; tamtejszy browar w połowie zeszłego wieku począł wyrabiać piwo, które zyskało tak wielkie wzięcie, iż wywołało liczne naśladownictwa ze strony innych browarów w kraju.

drumla — prostaczy instrument muzyczny, złożony z metalowej blaszki (wkładanej w usta) i z brzęczącej sprężynki (do szarpania palcem).

dudy — piszczałki, kobza lub inny ludowy instrument dęty; przenośnia *zerznąć dudy* znaczy tyleż, co *sprawić lanie*.

dwadzieścia groszy — t. j. ówczesne 10 kopiejek rosyjskich, warte mniej więcej tyle, co dzisiejsze polskie 50 groszy.

dyl — deska, bal drzewny, powstały z pnia drzewnego przepiłowanego wzdłuż na dwie połowy.

extra — gra w piłkę (z łac.).

finezja — subtelny dowcip, filuterja, przebiegłość (z włos.).

fornal — dworski parobek od koni (z niem.).

f u n d u s z — *brać kogoś na fundusz* — bawić się czyimś kosztem, podstępnie z kogoś drwić, zwodzić kogoś dla figla.

galonik srebrny na kołnierzu — zdobił granatowy mundur rosyjskich gimnazjastów (cienkiem pasemkiem biegł po obrębkę stojącego kołnierza munduru).

g n o j ó w k a — płynne odchody bydła, zbierające się w kałużę pod oborą.

indagacja — badanie oskarżonego lub podejrzanego o winę, śledztwo (z łac.).

i n t r a t n y — zyskowny (z włos.).

i n t r o d u k c j a — wprowadzenie, wstęp do czegoś, zwłaszcza do muzycznego utworu (z łac.).

juchtowy kolor — *jucht* — wygarbowana skóra zwierzęca w pospolitym gatunku, używana na grube obuwie (barwę ma żółtawą, cielistą).

„kamerdun“ — prostackie zniekształcenie wyrazu *kamerton*: przyrząd akustyczny, służący przy strojeniu strun w instrumentach muzycznych; przenośnie: tyleż, co *ton*.

k e z — gdzież (gwarowe).

k i m — znaczy *pójdź* w żargonie żydowskim (tu — użyte przez nie żyda żartobliwie).

„k o n d a“ — uczniowski skrót wyrazu *kondycja* (zob. dalej).

k o n d y c j a — tak nazywają posadę (zwłaszcza na prowincji), objętą w charakterze korepetytora (od łac. *conditio*, warunek).

k r z y w — winien (gwarowe).

K s e n o f o n t — sławny historyk i wódz ateński (430—352 przed Chr.), którego dzieła (zwłaszcza *Anabasis* oraz *Wspomnienia o Sokratesie*) przerabiano na lekcjach greckiego już od czwartej klasy w ówczesnych gimnazjach.

k's o b i e — na lewo! (chłopskie wołanie na woły lub konie, np. przy orce; odpowiednik: *odsieb*, na prawo!).

k u m o s i c e k — chłopskie pieśczośliwe od *kum* (wyraz, oznaczający powinowactwo między rodzicami chrzestnymi, a zresztą — akcentujący wogóle stosunki zażyłe, przyjacielskie).

lezesztyki — niemieckie czytanki, wypisy (*Lesestücke*).

locum — miejsce (łac.); w potocznej polszczyźnie używane w znaczeniu: mieszkanie, nocleg, dach nad głową.

lubować — smakować, podobać się, trafiać do gustu (gwarowe).

mastodont — zwierzę zaginione („przedpotopowe”) w kształcie olbrzymiego słonia; w przenośni: człowiek niedzielszy, o przestarzałych poglądach.

maść — u konia: barwa sierści.

maślanka — produkt uboczny przy przeróbce śmietany na masło, o wyglądzie wodnistej białawej cieczy (w wymowie chłopskiej: środkowe *ą* pochylone o dźwięku zbliżonym do *o*).

mila — w dawnym zaborze rosyjskim odległość liczono na mile i wiorsty (mila — 7 wiorst, około 8 km).

„**miso**” — gwarowa forma wyrazu *mięso*.

„**niali**” — jeśli chce, jeśli wola (gwarowe).

„**oha**” — t. j. „o, ha!”; „siedm mil — i oha”: siedm mil z okładem, z ogonkiem (*mila* — zob. wyżej).

okólnik (dworski) — obszerny dziedziniec między zabudowaniami gospodarskimi na folwarku.

onuce — kawałki płótna, służące do owijania nóg przed wciągnięciem na nie butów (spełniające rolę skarpetek).

„**palmy**” — na ówczesnej czapce uczniowskiej: zob. obj. do roz. V.

pàn — wymowa chłopska z pochyleniem *ą* w kształt dźwięku *o* (to samo zjawisko w stojącym obok wyrazie *dął*).

„**para**” — chłopskie wyzwisko, używane także z okreśnikami: psia para, żydowska para i t. p.

parantela — pochodzenie, pokrewieństwo (z włos.).

pauper — malec (dosłownie *biedak*, z łac.).

pensa — l. mn. od l. poj. *pensum*: zadanie, lekcja zadana (z łac.).

piołun — dzika roślina o gorzkim smaku liści.

powiadać — o *à* pochylonem zob. obj. wyżej do wyrazu *pàn*.

pozytywizm — kierunek filozoficzny, opierający się wyłącznie na ustalonych wynikach nauki, na doświadczeniu, zwalczający poglądy, oparte na uczuciu, wierze, tradycji; w Polsce, pod zaborem rosyjskim, podbił umysły młodego pokolenia w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku (na te właśnie lata przypada akcja *Syzyfowych prac*).

primo — po pierwsze (łac.).

progimnazjum — tak nazywano gimnazja czteroklasowe (istniejące wówczas obok ośmioklasowych).

„protega“ — t. j. protekcja (w gwarze inteligenckiej).

pryncypja — zasady (z łac.).

rataj — parobek dworski, chodzący za pługiem; oracz.

rosochaty — widłowaty, gałęzisty, mocno rozgałęziony (o drzewie, o rogach jelenia).

„ruskie“ — t. j. język rosyjski (z chłopska).

rynka — naczynie kuchenne o rączce prostej, na trzech nogach; tygielek.

Sallustjusz — historyk rzymski (86—34 przed Chr.), tłumaczony w wyższych klasach gimnazjum klasycznego.

secundo — po wtóre (łac.).

siwucha — wódka czysta.

skapieć — zmarnieć, znędnieć.

słowiesność — po ros.: piśmiennictwo, literatura; tu — zapewne podręcznik teorii literatury rosyjskiej, z którego uczono się w gimnazjum niższym.

sopor z ogórków — sos powstały z wody, w której zakwaszono ogórki.

stygmat — ślad, znamię, piętno, pieczęć (z grec.).

tarcice — deski nieheblowane.

teorema — twierdzenie (tu: geometryczne; z grec.).

tertio — po trzecie (łac.).

werko — pospolite łóżko zbite z desek.

wo front — (stanąć) na baczność (po ros.).

wolno myślny — usposobiony krytycznie względem tradycji religijnej.

w o m a — wam (dawny celownik liczby podwójnej, używany i dziś w gwarach).

w y t a t a r o w a ć (skórę) — obić, strzepać.

zâpole — jeden z przedziałów sąsięka w stodole (sąsięki w stodole: miejsca po obu stronach klepiska, przeznaczone na składanie zboża); *â* wskazuje, że wyraz *zâpole* był tu wymówiony z chłopska, przez *a* pochylone (zbliżone dźwiękiem do *o*).

z b i e s i ć się — rozpuścić się, zbisurmanić się, rozwydrzyć się.

„*z i m i o k i*“ — t. j. ziemniaki (w wymowie chłopskiej).

„*z o b o c e ł*“ — t. j. zabaczył (gwarowy odpowiednik do *zapomniał*, podany według wymowy chłopskiej: *â* pochylone, zbliżone dźwiękiem do *o*; *ê* pochylone, zbliżone do *y*; *cz* „zmazurzone“ t. j. brzmiące, jak *c*).

ROZDZIAŁ XIII.

adept — wtajemniczony w pewną doktrynę.

a n t a g o n i s t a — przeciwnik.

a u d i a t u r e t a l t e r a p a r s — trzeba wysłuchać i drugiej strony (łac.).

a r c h e o l o g — starożytnik; badacz z zakresu archeologii (nauki o starodawnych zabytkach i zwyczajach, o zamierchłej przeszłości).

Bobrzyński Michał (ur. w r. 1849) — współczesny historyk polski, którego poglądy na przyczyny upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej zacytowane są wiernie w samym tekście *Szyzofowych prac*.

B u c k l e (czytaj *Bokl*) Henryk Tomasz — znakomity historyk angielski (1821—1862), autor sławnego dzieła *Historja cywilizacji*

w Anglii, które wywarło wpływ niemal na umysły polskiej inteligencji lat siedemdziesiątych zeszłego wieku; przekład polski wyszedł we Lwowie w latach 1865—8 (bohaterowie *Syzyfowych prac* czytają to dzieło po rosyjsku; jego charakter i tendencja są wiernie przedstawione w powieści).

byliny — ruskie ludowe wierszowane utwory epickie, których czytanie i rozbiór należały do szkolnego kursu literatury rosyjskiej; treścią bylin są fantastyczne czyny mitycznych bohaterów (wyliczonych na kartach powieści), m. i. bohaterów *przedwłodzimierzowskich*, t. j. z czasów przed Włodzimierzem I, księciem kijowskim (zm. w r. 1013).

Cooper (czytaj *Kuper*) Fenimore — bardzo poczytny w swoim czasie amerykański autor powieści egzotycznych o Indjanach (1789—1851).

c z u p i r a d ł o — straszycieł, dziwadł; zdziwaczał człowiek starej daty.

c z y n s z — opłata dzierżawna za użytkowanie z cudzej własności nieruchomości.

Demostenes — najslawniejszy mówca ateński (384—322 przed Chr.).

d i a l e k t y k — biegły w dialektyce, t. j. w sztuce rozumowego dochodzenia prawdy (z grec.).

ekscytarz — budziciel, pobudzacz (z łac.).

e k s t a t y c z n y — nacechowany ekstazą, t. j. uniesieniem duchowem, zachwytem wyobraźni (z grec.).

Fichte Jan Bogumił — filozof niemiecki (1762—1814), uczeń Kanta a nauczyciel Schellinga, wraz z nimi przedstawiciel szkoły t. zw. idealizmu filozoficznego (zwalczanego zaciekle w sławnej książce Buckle'a: zob. obj. do *Buckle* i do *idealizmu*).

Gogol Mikołaj — znakomity beletrysta rosyjski (1809—1852), świetny nowelista i wybitny pisarz dramatyczny (komedia wszechświatowej sławy p. t. *Rewizor*); mowa o nim w powieści jako o „nękającym *Polszę*“ (t. j. Polskę), bo niektóre jego utwory,

rozbierane w gimnazjach rosyjskich, ujawniały wrogi stosunek autora do Polski (np. powieść *Taras Bulba*).

Hegel Jerzy Wilhelm — filozof niemiecki (1777—1831), kontynuator filozofji Kanta, Fichtego i Schellinga, wraz z nimi przedstawiciel t. zw. idealizmu filozoficznego (zwalczanego zaciekle w sławnej książce Buckle'a: zob. obj. do *Buckle* i do *idealizm*).

high life (czytaj *aj lajf*) — zwrot angielski (dosłownie: „wysokie życie”), oznaczający t. zw. „wielki świat”, t. j. najwyższe towarzystwo, towarzystwo ludzi żyjących na wysokiej stopie.

hippika — sztuka jazdy konnej.

historia magistra vitae — historja mistrzynią życia (zdanie sławnego rzymskiego pisarza i mówcy, Marka Tulljusza Cyserona).

idealista — wyznawca doktryny filozoficznej, zwanej *idealizmem* (zob. niżej).

idealizm filozoficzny — w przeciwieństwie do filozoficznego materializmu (zob. obj. do tego wyrazu) głosi zasadę że byt istotny posiadają tylko: duch, idea, pojęcie, — materja zaś ma byt nieistotny, wtórny, pochodny; to też idealizm filozoficzny to kierunek zaciekle zwalczany przez sławną książkę Buckle'a, o której szeroko się mówi w niniejszym rozdziale *Szyzyfowych prac*).

Kant Emanuel — najwybitniejszy przedstawiciel filozofji idealistycznej niemieckiej (1724—1804), autor sławnych dzieł *Krytyka czystego rozumu* i *Krytyka praktycznego rozumu* (zob. obj. do wyrazu *idealizm*).

Karamzin i inni wymienieni wraz z nim w jednym szeregu nazwisk (w toku drugiego ustępu niniejszego rozdziału powieści) — wybitni pisarze rosyjscy wieku XIX, wykładani w ówczesnym szkolnym kursie literatury.

lewar — prosty przyrząd mechaniczny do podnoszenia ciężarów (od łac. *levare* = podnosić).

l o j a l n o ś ć — prawość, rzetelność, szczerłość; w znaczeniu politycznem: postępowanie w myśl życzeń rządu, prawomyślność, wiernopoddańczość.

L u k i a n o s (z Samosaty) — pisarz grecki z II w. po Chr., autor sławnego dzieła *Rozmowy zmarłych* (w wydaniach wcześniejszych *Syzyfowych prac* jest mowa o *dialogach Lukana*, gdzie z Lukianosem został pomieszany Lukan, poeta łaciński z I w. po Chr.).

Ł o m o n o s o w Michał — poeta rosyjski w. XVIII, autor napuszonych ód pseudoklasycznych.

m a k s y m a — reguła, prawidło, zasada postępowania; sentencja moralna, aforyzm.

M a r e k T u l l j u s z — imię i nazwisko sławnego mówcy i filozofa rzymskiego, znanego pod przezwiskiem Cyclerona (106—46 przed Chr.).

m a t e r j a l i s t a — zwolennik materializmu filozoficznego (zob. niżej).

m a t e r j a l i z m, materialistyczna szkoła w filozofji — kierunek filozoficzny, głoszący zasadę, iż wszelkie zjawiska duchowe są jedynie wytworem lub przejawem materji; przeciwieństwem filozoficznego materializmu jest idealizm filozoficzny.

M a y n e - R e i d Tomasz (czytaj *Majn-Rid*) — angielski autor cenionych przez młodzież powieści podróżniczo-egzotycznych (1818—1883).

m e t a f i z y k — zwolennik metafizyki, t. j. takiego sytemu filozoficznego, który nie poprzestaje na powiązaniu w jednolity pogląd na świat zjawisk dostępnych poznaniu rozumowemu, lecz poszukuje przede wszystkim ich pierwszych przyczyn oraz ich celów ostatecznych; system t. zw. pozytywistyczny, reprezentowany przez książkę Buckle'a, był wrogi tego rodzaju metafizyce.

m o n i t a — l. mn. od łac. *monitum*: napomnienie.

n o n v i t a e, s e d s c h o l a e d i s c i m u s — „uczymy się nie dla życia, lecz dla szkoły”: ironiczne odwrócenie sensu

właściwego znanej łacińskiej sentencji, która głosi: „uczymy się nie dla szkoły, lecz dla życia“.

obrusienie — zruszczenie, russyfikacja (ros.).

Oszczercom Rosji — głośny wiersz znakomitego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina (1799—1837), napisany po upadku powstania listopadowego w Polsce, wysławiający rosyjskie zwycięstwo, natrzęsający się z przyjaciół pokonanej Polski i wyrażający przekonanie, iż „wewnętrzne spory Słowian“ skończą się na tem, że „strumienie słowiańskie“ zespola się wkońcu z „rosyjskiem morzem“.

ościenie — ostro zakończony kij do popędzania ukluciami wołów w zaprzęgu lub pędzonego bydła; stąd przysłowiowe „wierzgać przeciw ościeniowi“ na określenie czegoś daremnego, bezskutecznego.

otczizna — urągliwe rosyjskie przedrzeźnianie polskiego *ojczyzna* (ten ostatni wyraz tłumaczy się na rosyjski słowem innem: *otieczestwo*).

panslawizm — dążność polityczna, mająca na celu połączenie wszystkich plemion słowiańskich w jedną całość, i to (jak pragnęli wzmiankowani w powieści „panslawiści“) koniecznie pod protektorem Rosji.

pa russki — po rosyjsku (ros.).

par excellence — w całym znaczeniu wyrazu, bez zastrzeżeń (franc.).

Piękna Helena — popularna operetka kompozytora francuskiego Offenbacha, której *libretto* (tekst) stanowi, płytka, choć zabawna parodia mitu o porwaniu Heleny przez Parysa.

„**pomidorowiec**“ — urągliwie o klerykale, o uznającym autorytet duchowieństwa katolickiego (od łobuzerskiego przezwiska „pomidor“, nadawanego księżom).

proceder — zajęcie, profesja, kunszt.

„**przywiślański**“ — t. j. nadwiślański (tak nazywali Rosjanie kraj, tworzący dziesięć gubernij dawnej Kongresówki).

renta — stały roczny dochód z majątku lub kapitału.

rusobilstwo — sprzyjanie Rosji; uczucia przyjacielskie względem Rosji.

r z e z a l n i a — rzeźnia bydła przeznaczonego na mięso.

Schelling Fryderyk Wilhelm (czytaj *Szelling*) — filozof niemiecki (1775—1854), uczeń Fichtego, jeden z przedstawicieli t. zw. idealistycznej filozofii (zob. obj. do wyrazu *idealizm*).

sławista — badacz języków lub literatur słowiańskich; ich znawca.

s m i e k a ł k a — bystrość umysłu, domyślność (ros.).

Spinoza Baruch — sławny filozof holenderski (1632—1677), umiejący ujmować wywody filozoficzne (np. w dziedzinie etyki) w ścisłą formę matematycznego rozumowania (stąd w *Syzyfowych pracach* przewisko „Spinozy“ nadali koledzy dobremu matematykowi o filozoficznych zamięłowaniach).

stukałka — prostacka hazardowa gra karciana.

s z o w i n i s t y c z n y — od *szowinizm*: ciasny nietolerancyjny patryjotyzm (z franc.).

udziałów i wieców epoka w historii rosyjskiej (i ruskiej) — okres, charakterem stosunków politycznych i losów dziejowych odpowiadający okresowi Polski dzielnicowej (przypada na wieki XI i XII).

ugodowe stronnictwo — opierające swój program polityczny na wysiłkach porozumienia się z rządem zaborczym.

Vajansky Swetozar — pisarz słowacki drugiej połowy zeszłego wieku o tendencjach panslawistycznych (zob. obj. do wyrazu *panslawizm*).

Verne Juliusz — poczytny wśród młodzieży francuski twórca powieści podróżniczo-awanturniczych o podkładzie popularyzatorsko-naukowym (1828—1905).

zucheleczek — kawałeczek (gwarowe).

ROZDZIAŁ XIV.

Iłowajski — autor podręczników do historii Rosji i historii powszechnej, używanych w rządowych szkołach rosyjskich w Polsce: pełne one były tendencyjnych fałszów, a utrzymane w tonie szowinistyczno-rosyjskim, carosławnym i polakożerczym.

libertyn — niedowiarek (z franc.).

pieprzoad — ptak indyjski wielkości gołębia z długim i grubym dziobem (stąd żartobliwe przezwisko uczniowskie dla kolegi o „potężnym nosie”).

„pomidorowiec” — zob. obj. do roz. XIII.

wilczy bilet — gdy wydalało ucznia za poważne przekroczenie (zwłaszcza natury politycznej), odbierano mu zarazem prawo wstępu do jakiegokolwiek szkoły rządowej w całym imperjum rosyjskim: takie świadectwo odejścia nazywano „wilczym biletem”.

ROZDZIAŁ XV.

autochton — tubylec (z grec.).

Czajkowski — *Antoni Czajkowski* (1816—1873) — jeden z drugorzędnych poetów polskich okresu mickiewiczowskiego.

deportacja — zesłanie.

Disputationes tusculanae — *Rozmowy tuskańskie*, dzieło filozofa i mówcy rzymskiego Cyserona (106—46 przed Chr.), zatytułowane od nazwy wiejskiej siedziby autora pod Rzymem: Tusculum; wyjątki z tego dzieła należą do programu języka łacińskiego w wyższych klasach klasycznego gimnazjum.

Dra per Jan Wilhelm — historyk angielski (1811—1882), autor sławnego dzieła *Dzieje rozwoju umysłowego Europy* (przekład polski w r. 1873), bardzo poczytnego i w Polsce w czasach t. zw. pozytywizmu (zob. obj. tego wyrazu w roz. XII).

„**Nam strzelać nie kazano**“... — pierwsze słowa utworu Mickiewicza *Reduta Ordona*, przedstawiającego epizod z obrony szaniców przedmieścia Woli przed szturmującymi War-

szawę Moskalami (w czasie powstania 1831 r.); utwór ten należał do zakazanych w zaborze rosyjskim: nie wolno go było drukować, rozpowszechniać, wygłaszać publicznie (tem więcej na lekcjach szkolnych!). Dalsze w tekście powieści urywki z *Reduty Ordona* Żeromski cytuje najwidoczniej z pamięci, stąd szereg drobnych niezgodności z tekstem Mickiewicza: „Gdy poselstwo *francuskie* twoje stopy liże...” (zamiast: „poselstwo *paryskie*”), „Warszawa jedna *mocy twej urąga*” (zamiast: „Warszawa jedna *twojej mocy się urąga*”) oraz dwie pomniejsze niedokładności w dwu końcowych wierszach przytoczonych urywków („I poczuł...” zamiast: „I uczuł...”; „I puścił...” zamiast: „Upuścił...”).

nie bła g o n a d i o z n o s t' — nieprawomyślność polityczna (podejrzana u zaborczego rządu); wyraz rosyjski.

Sieger — zdaje się, że nie bez intencji dał Żeromski takie nazwisko bohaterowi XV-go rozdziału swej powieści: *Sieger* (czytaj *Zygier*) znaczy po niemiecku *zwycięzca*.

ślawista — zob. obj. do roz. XIII.

Wasza familja? — „Pańskie nazwisko?” (po ros.)

Wierzbowskiego wypisy — były to używane na lekcjach polskiego w wyższych klasach gimnazjum rosyjskiego wypisy, ułożone przez Teodora Wierzbowskiego, ówczesnego profesora uniwersytetu rosyjskiego w Warszawie, zawierające wyjątki z dzieł najwybitniejszych pisarzy polskich (w porządku chronologicznym ich pojawienia się w literaturze), oczywiście z pominięciem wszelkich utworów „zakazanych”; tytuł książki był dwujęzyczny (na pierwszym miejscu po rosyjsku), krótkie zaś wzmianki biograficzno-bibliograficzne o każdym z przytoczonych pisarzy zredagowane były wyłącznie po rosyjsku.

ROZDZIAŁ XVI.

abominacja — wstręt, odraza (łac.).

ad calendas graecas — zwrot przysłowiowy łaciński, oznaczający odłożenie terminu na czas nieokreślony.

andres klerykowi ajoj — „mężowie klerykowscy“ — z kiego po grecku: żartobliwa parafraza analogicznych apostołów w oryginalnym tekście poematów Homera.

Antygona — tytuł sławnej tragedji Sofoklesa (497—405 przed Chr.), którą w gimnazjach klasycznych czyta się w oryginale greckim.

Balzac Honorjusz — znakomity powieściopisarz francuski pierwszej połowy zeszłego wieku (1799—1850), twórca wielkiego cyklu powieści pod ogólnym tytułem *Komedja ludzka* (świetne przekłady polskie dokonane przez Boya-Żeleńskiego).

Boska komedja — tytuł sławnego poematu włoskiego (złożonego z trzech wielkich części: *Piekło, Czyściec, Raj*), którego twórcą był florentyńczyk Dante Alighieri (1265—1321); znakomity przekład polski Edwarda Porębowicza.

bretnal — gwóźdź z dużym łebkiem do przybijania desek.

Carlyle Tomasz (czytaj *Karlał*) — historyk angielski (1795—1881), autor sławnej książki *Bohaterowie* (cześć dla bohaterów i pierwiastek bohaterstwa w historii), zawierającej pięknie napisane życiorysy wielkich ludzi (jak Dantego, Szekspira, Kromwella, Napoleona i innych); istnieje przekład polski.

con amore — z zamiłowaniem, z zapalem (włos.).

Dante — zob. obj. do słów *Boska Komedja*.

Dziady — sławny poemat dramatyczny Mickiewicza; tu mowa o III części tego poematu, osnutej na tle prześladowania młodzieży polskiej na Litwie przez Rosjan w trzecim dziesiątku lat zeszłego wieku.

Efialtes — Grek-zdrajca, który w r. 480 przed Chrystusem wskazał Persom drogę przez kręte przejścia górskie („dziura Efialtesa“) do obejścia Termopil i napadu na tyły oddziału Leonidas.

elew — uczeń (z franc.).

Faust — sławny niemiecki poemat dramatyczny Jana Wolfgang Goethego (1749—1832).

forteca — t. j. więzienie polityczne, w którym Moskale trzymali podejrzanych o udział w spiskach i ruchach wyzwolenicznych.

Hugo Wiktor (czytaj: *Igo*) — znakomity pisarz francuski zeszłego wieku (1802—1885), znany w Polsce głównie ze swych poczytnych powieści (*Najświętsza Panna Paryska*, *Nędznicy*, *Pracownicy morza*).

Jerozolima wyzwolona — sławny poemat włoski Torquata Tassa (1544—1595), osnuty na tle historii wypraw krzyżowych; w tłumaczeniu polskiem Piotra Kochanowskiego wydany już w XVII wieku.

junior — młodszy (po łac.); wyraz stawiany przy nazwisku dla odróżnienia ojca (*senior*) od syna (*junior*).

„Kraj Przywiślański“ — tak przez działaczy politycznych rosyjskich była nazywana dawna Kongresówka.

krówki — wielkie kozły drewniane, tworzące szkielet dachu.

Król Lir — jedna z tragedyj wielkiego angielskiego poety dramatycznego Wiljama Szekspira (1564—1616).

lady (czytaj *ledi*) — tytuł angielski przysługujący szlachciance; tu użyty z żartobliwą rewerencją.

Majevius — nazwisko *Majewski* z końcówką, przerobioną żartobliwie na modłę imion łacińskich.

Ma z a s — więzienie celkowe w Paryżu, zbudowane w połowie zeszłego wieku.

„Młoty w dłoń...“ i t. d. — początek refrenu pieśni socjalistycznej *Na barykady* (słowa Eugenjusza Pottier); pierwsza jej zwrotka brzmi, jak następuje:

Na barykady, ludu roboczy!

Czerwony sztandar dogóry wznies!

Śmiało do boju wyteż swe ramię,

Bo na cię czeka zwycięstwa cześć.

Młoty w dłoń, kujmy broń!

Miotnie stal czerwone iskry wdał,

Żar iskry tej tli w piersi mej.
 Powstań, zburz! pobudka gra nam już,
 Pobudka gra nam już.

Pojawienie się tej pieśni na zebraniu uczniowskiem w powieści byłoby świadectwem początków przenikania w koła młodzieży prowincjonalnej, w latach osiemdziesiątych zeszłego wieku, ruchu socjalistycznego z wielkich ośrodków przemysłowych ówczesnego Królestwa; a może tylko zaznaczeniem przez autora powieści tej okoliczności, że śpiewający ową pieśń miał się zczasem stać jednym z wybitnych działaczy socjalistycznych (zob. w Przypisach o pierwowzorze postaci Andrzeja Radka).

„*omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci*” — „zyskał wszystkie głosy (odniósł sukces u wszystkich), kto zespolił pożyteczne z przyjemnem”: cytat przysłowiowy z łacińskiego poematu dydaktycznego Horacego (64—8 przed Chr.) p. t. *Sztuka poetycka*.

Piekło — zob. obj. do słów *Boska komedja*.

Plutarch — grecki historyk i moralista (45—125 po Chr.), autor sławnego dzieła *Żywoty znakomitych mężów*.

Ponte Rialto — most osobiwej konstrukcji nad Wielkim Kanałem w Wenecji.

„*prefer ek*” — potoczne zdrobnienie nazwy gry karcianej zwanej *preferans*.

przęsło — w parkanie: belka poprzeczna, umocowana końcami na dwu sąsiednich słupach parkanu, do której przybija się jego deski pionowe.

respons — odpowiedź (z łac.).

sągi — zob. obj. do rozdz. VIII.

Schelling — zob. obj. do rozdz. XIII.

skandować — wypowiadać wiersze, uwydatniając ich rytm; w poezji greckiej i łacińskiej prawidłowe skandowanie wierszy sprawia szczególną trudność z tego powodu, że podstawą rytmu jest tam następstwo zgłosek długich i krótkich (pod

względem iloczasu), a nie zwykle następstwo, jak u nas, zgłosek akcentowanych i nieakcentowanych.

s t r a ż n i k — „strażnikami” nazywano rosyjskich policjantów na prowincji.

S u e Eugenjusz (czytaj *Si*) — poczytny francuski autor powieści sensacyjnych (1804—1857).

s y m b o l — znak, godło, emblemat, uzmysłowanie abstrakcji (z grec.).

uprzątnienia — wypracowania (po ros.).

ROZDZIAŁ XVII.

„**Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze**”... i t. d. — zwrotka z utworu *Kiedyż?* pióra Mieczysława Romanowskiego (1834—1863), poety, poległego w powstaniu styczniowym; niewielki, a wymowny ten utwór poety-powstańca (datowany z r. 1857) w całości brzmi, jak następuje:

Nam dzisiaj tak w duszach, jak kiedy się wiosna

Z zimowej wrywa niemocy:

To smutek i żalność, to zorza radosna,

To rozpacz, jak wicher północy.

Ach, kiedyż za Ciebie w bój skoczym spragnieni,

O Polsko, Ty matko miłości?

I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni

Podniosiem okrzyki wolności?

I kiedyż uczynim, swobodni oracze,

Lemiesze z pałaszy skrwawionych?

Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłaczę,

Prócz rosy pól naszych zielonych!

a o r y s t — jeden z czasów przeszłych w konjugacji greckiej.

A n t y g o n a — zob. obj. do rodz. XVI.

Biruta — kapłanka-dziewica przy pogańskiej świątyni litewskiej w Połędzie; w w. XIV porwana przez Kiejstutą i poślubiona; po ochrzczeniu Litwy żarliwa opiekunka dawnej wiary, czczona długo w podaniach litewskiego ludu.

chimera — fantazja, przywidzenie, zjawia (z grec.).

c z y n o w n i k — urzędnik (po ros.).

dzierlatka (inaczej *śmieciszka*) — ptak wróblowaty stożkodzioby z rodziny skowronków.

faun — mitologiczny potworek: pół-człowiek a pół-kozieł, zwany także panem, satyrem; studnie i fontanny zdobią płaskorzeźbami, przedstawiającymi rogate i brodate a uśmiechnięte oblicze fauna.

f e r t y c z n y — zgrabny, żywy, hoży.

f l i z y — płyty kamienne.

makolągwa — leśny ptak wróblowaty stożkodzioby z rodziny łuszczaków.

m a t u r i t a s — dojrzałość (łac.).

m o s k w i c y z m — „duch moskwicyzmu”: tendencje rusyfikatorskie, wpływ wynarodowiający rosyjski.

nacja — naród (łac.).

„**n ó ż o s t r z y ł a t a j e m n i e**” — parafraza słów (i myśli) z Powieści Wajdeloty w *Konradzie Wallenrodzie* Mickiewicza: młody Walter Alf opowiada księciu Kiejstutowi, jakich uczuć doznawał w stosunku do krzyżaków, którzy go — porwane rodzicom dziecko litewskie — zniemczyć chcieli.

...Lata dzieciństwa płynęły, żyłem wśród Niemców, jak Niemiec, Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano;

Imię było niemieckie, dusza litewska została,

Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść.

Winrich, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,

On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił, jak syna.

Jam się nudził w pałacach, z kolan Winrycha uciekał

Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami

Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty,
 Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie dowiedział,
 Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
 Rozповідаł o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
 Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
 On mię często ku brzegom Niemna siniego prowadził:
 Stamtąd lubilem na mile góry ojczyste poglądać.
 Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał,
 Aby nie wzbudzić podejrzeń; łzy mi ocierał, a zemstę
 Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę, jak w zamek wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą
 Rznąłem kobierce Winricha lub kaleczyłem zwierciadła,
 Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.

Pallada Atene — grecka bogini mądrości o pięknej, rozumnej, poważnej twarzy i czystym, prostym („klasycznym“) profilu.

piaskowiec — rodzaj szarego kamienia, który wygląda, jakby był zlepiiony z ziarn piasku; łupanego w płyty używają do budowli i do wykładania chodników ulicznych.

pliszka — ptak wróblowaty zębodzioby, barwy żółtawej o grzbiecie oliwkowym.

Romanowski — zob. wyżej obj. do słów: *Ach, kiedyż wykujęm...*

rusofilski — życzliwy dla Rosjan, sprzyjający kulturze rosyjskiej.

scytyjska wojna — *Scytowie* — dzikie plemię w starożytności, zamieszkujące na północ od Czarnego morza, według Herodota (greckiego historyka V w. przed Chr.) słynne z tego, że prowadziło wojny z okrutnem niszczycielstwem, nie przepuszczającym nikomu i niczemu.

srokosz — ptak wróblowaty zębodzioby z rodziny dzierzb.

sztambuch — imionnik, album pamiątkowy do wpisywania się przez znajomych i przyjaciół właścicieli lub właściciela (z niem.).

ROZDZIAŁ XVIII.

„dzięszczyk“ — ordynans, szeregowiec pełniący osobistą służbę przy oficerze (po ros.).

Hamlet — bohater tytułowy sławnej tragedji Wiljama Szekspira (1564—1616).

„jednorąg“ — prostackie przekręcenie wyrazu *generał*.

kabalistyczny — zagadkowy, tajemniczy (od nazwy książki religijnej hebrajskiej, zwanej *kabała*, mającej zawierać najistotniejsze tajemnice poznania, a napisanej trudnym stylem).

lunatyk — dotknięty lunatyzmem, chorobą nerwową, którą opłowani chodzą śpiąc i wykonywają różne czynności bezwiednie (od łacińskiego *luna*, księżyc: dawniej sądzono, że lunatycy podlegają tajemniczemu wpływowi księżyca).

patent dojrzałości — „Biruta“ składa maturę jako siódmo-klasistka: za czasów rosyjskich gimnazja żeńskie miały tylko siedem klas.

Rosija — prostackie wymawianie wyrazu *Rosja* na sposób rosyjski (*Rassija*).

Śmierno — takiego miasta niema w Rosji: jakaś właściwa nazwa miasta poplątała się w pamięci ciemnej babiny z rosyjskim wyrazem *smirno*, oznaczającym komendę: *baczność!*

ś n i a d y — smagły, ciemny, ogorzały (o cerze twarzy).

PRZYPISY

I.

ŻYCIORYS AUTORA „SYZYFOWYCH PRAC”.

Stefan Żeromski urodził się 1 listopada 1864 roku we wsi Strawczyniemi ziemi kieleckiej. Rodzice jego, Wincenty i Józefa z Katerłów, żyli z dzierżawy ubogich folwarcz-ków, a przenosząc się w dzieciństwie przyszłego pisarza kilkakroć z miejsca na miejsce, ostatecznie, gdy miał lat cztery, osiedli w Ciekotach — i tu upływały przedszkolne lata Żeromskiego, tu też zjeżdżał na każde ferje czy wakacje szkolne. Ciekoty (odległe od Kielc o 3 mile) leżą w malowniczej falistej okolicy, wśród tak zwanych Gór Świętokrzyskich, u wylotu pięknej doliny Wilkowskiej, w pobliżu góry Łysicy, na której zboczu porasta sławna puszcza jodłowa (dziś nazwana imieniem Stefana Żeromskiego); urok tych stron rodzinnych odmalował potem Żeromski już w pierwszej swojej powieści *Syzyfowe prace*, a potem jeszcze nieraz (m. i. w *Promieniu*, *Popiołach*, *Puszczy jodłowej*).

Nauki szkolne odbywał przyszły pisarz najprzód w okolicznych Psarach, gdzie tamtejszy nauczyciel ludowy przygotował go do egzaminu gimnazjalnego, a potem przez lat jedenaście w rosyjskiem gimnazjum państwowem w Kielcach. Gdy ma lat piętnaście, traci ukochaną matkę, a że około tegoż czasu i stan interesów ojca znacznie się pogorszył, młody Żeromski odtąd przebija się przez życie o własnych siłach, już w wyższych klasach gimnazjum utrzymując się sam z udzielania korepetycyj. Obcy

i wrogi duch szkoły, w której się kształcił, odmalowany został w późniejszych *Syzyfowych pracach*, a o intensywnym życiu koleżeńskim, jakie Żeromski prowadził, oraz o pierwszej jego miłości informują dalsze przypisy niniejszej książeczki.

Gimnazjum Żeromski nie skończył. Obciążwszy się przy maturze z matematyki, opuścił Kielce, już jako zupełny sierota (ojca bowiem także stracił w parę lat po matce) i udał się w r. 1887 do Warszawy, aby się zapisać na istniejący tam wówczas instytut weterynaryjny, gdzie do wstępu uprawniało i sześcioklasowe świadectwo. Tutaj jednak w Warszawie (choć ją polubi i nieraz później w swych pismach nazwie ukochanem miastem), w tem obcym podówczas mu mieście niełatwo było utrzymać się z korepetycyj; zwłaszcza, że nurtuje go choroba piersiowa, odziedziczona po matce, i w sprzyjających temu warunkach studenckiego głodowania podrywa zdrowie, mimo silnego i rosnącego organizmu, jaki przyniósł Żeromski na świat. To też zmuszony jest porzucić Warszawę i puścić się na guwernerkę po kraju, przyjmując t. zw. kondycje w różnych stronach kraju, jak na Podlasiu, w Lubelskiem, m. i. także w Nałęczowie.

W tych latach poznaje przyszłą swoją żonę, Oktawję z Radziwiłłowiczów (wdowę po inżynierze Rodkiewiczu¹⁾), którą poślubił w roku 1892. Dzięki jej stosunkom udało się młodemu pisarzowi zamieścić pierwsze nowele w czasopiśmie warszawskich, a, co ważniejsze, porzucić niewdzięczną pracę guwernerską, otrzymawszy posadę pomocnika bibliotekarza przy ówczesnem polskiem Muzeum Narodowem w Rapperswyłu w Szwajcarji, gdzie pracował przez cztery lata (1892—1896). Tu, w sprzyjającym kli-

¹⁾ Podobno miała być ona prototypem Madzi w *Emancypantkach* Prusa oraz Joasi w późniejszych *Ludziach bezdomnych* Żeromskiego.

macie, powiodło się energiczną kuracją powstrzymać postępy gruźlicy u Żeromskiego. Tu przygotowuje Żeromski do druku pierwsze dwa tomy swoich nowel, które pojawiły się w roku 1895: cenzuralne w Warszawie p. t. *Opowiadania*, a niecenzuralne w Krakowie p. t. *Rozdziobią nas kruki, wrony*, pod pseudonimem Maurycego Zycha. W ciągu dalszych sześciu lat (do r. 1904) utrzymuje się Żeromski z pracy w Bibliotece Zamoyskich w Warszawie, póki wreszcie powodzenie pierwszych powieści pisarza (*Syzyfowych prac*, wydanych we Lwowie 1898 r. pod pseudonimem Zycha, oraz *Ludzi bezdomnych i Popiołów*) nie umożliwia pisarzowi porzucenia ubocznych zajęć zarobkowych i poświęcenia się odtąd już wyłącznie pracy pisarskiej.

Dalsze życie pisarza (mniej dotąd, niż wcześniejsze, znane w szczegółach) upływa częściowo zagranicą (dłuższy pobyt w Paryżu, częste wyjazdy do Włoch), głównie jednak w kraju: w Nałęczowie (gdzie mu po śmierci wzniesiono pierwszy, skromny pomnik), w Krakowie i w Zakopanem (za lat wielkiej wojny) oraz w Warszawie (lub w Konstancinie pod Warszawą), gdzie spędził lata powojenne. Umiera w Warszawie, 20 listopada 1925 roku, uczczony wspaniałym pogrzebem na koszt państwa.

UZUPEŁNIENIA DO ŻYCIORYSU ŻEROMSKIEGO¹⁾.

a) O matce poety.

Fizycznie chłopiec rozwijał się normalnie. Wyrósł, jak świerki ciekockie, po ojcu odziedziczył bary szerokie i siłę niepoślednią.

¹⁾ Z książki Stanisława Piołun-Noyszewskiego o Stefan Żeromski (*dom, dzieciństwo, młodość*), Warszawa-Kraków 1928, wydawnictwo J. Mortkowicza.

Nie znać w nim było jeszcze zadatków tej ciężkiej choroby, która go później przez całe życie trawić miała.

Na rozwój duchowy w normalnych warunkach większy wpływ wyrzeźbić mogła w tym wypadku pogodna natura ojca, z którym nieustannie obcował, wtajemniczając się z zachłanną ciekawością chłopca w arkana myśliwskie, towarzysząc w wy-cieczkach, leśnych wędrówkach i pracy gospodarskiej. Nić wspólnoty ojca i syna zaznaczała się zresztą silnie i przetrwała, jako ślad niezatarty, w rzadkich, lecz niezrównanych prze-błyaskach humoru, jakie Stefan Żeromski rozsiał na kartach swoich ksiąg.

Rodzice kochali jedynaka nad życie. Ojciec wyróżniał go z pośród dzieci w sposób manifestacyjny ¹⁾, matka zaś pieściła i kochała do szaleństwa, jak tylko umieją kochać osoby chore, które, zdając sobie sprawę, że z nich życie uchodzi, umiłowaniem dziecięciem nigdy się dość nacieszyć nie mogą.

Miłość ta czasem, z całym bezwzględny egoizmem uczucia zagarnęła w swój świat życie chłopca.

Matka to zazdrośnie kierowała jego wychowaniem, strzegąc, by na rozwój umysłu nie wpływał nikt obcy i niepowołany. Stało się więc, że pomiędzy cierpiącą matką a chłopcem zadzierżgnął się ścisły węzeł nieustannego myślowego kontaktu, nieosłabianego przez zabawy z rówieśnikami, których malcowi brakło.

To ścisłe współżycie z matką, która całą gasnącą już energję wkładała w rozwój umysłu i ukształcenie charakteru przyszłego twórcy *Popiołów*, wycisnęło na duszy pisarza piętno przemożne, młode lata zatręło goryczą cierpień i było najsilniejszym czynnikiem jego pesymistycznego światopoglądu. Nie chcemy tu twierdzić, że był to czynnik jedyny, później bowiem występowały i inne, o których jeszcze pomówimy, ta jednak atmosfera cierpienia, którą w dzieciństwie wrażliwem sercem wchłonał, była niejako zwrotnicą, wytykającą kierunek psychicznego rozwoju.

¹⁾ Miał Stefan Żeromski trzy siostry. (Przypisek wydawcy).

Matka więc była tą jedyną przewodniczką, która małemu chłopcu wpajała w duszę podstawowe zasady życia i dała książkę do ręki, by mu w niej polskie pokazać litery i wraz z sztuką czytania historję polskiej niewoli wyryć w pamięci.

Pani Józefa, jak już wspomnieliśmy, otrzymała wykształcenie staranne i poziom jej umysłu, jak na kobietę owych czasów, był nieprzeciętny. Wychowanie klasztorne i rodzinna pobożność Katerlów wytworzyły w jej duszy, obok żarliwego patriotyzmu, religijność szczerą i głęboką. Dzięki temu, odczuwając boleśnie cierpienia gnębionej ojczyzny, kojarzyła je wśród pobożnych rozmyślań z cierpieniami Chrystusa, co złożyło się zczasem na światopogląd, do egzaltacji mesjanistycznej zbliżony. Potęgowały ten stan i niedomagania fizyczne, jako grunt niezmiennie dla wszelkich nerwowych przeczuień przyjazny.

Chłopcu nie dała do rąk stereotypowego elementarza. Romantyczka w całej duchowej swej treści, za lat młodszych udatne pisująca poezję, uczyła syna też na poematach. Biblioteczka ciekocka była nieduża, ale podobno bardzo wartościowa i często nawiedzana. To też chłopiec odgadywał niejako litery i sylaby harmonijnego wiersza, który częstokroć zdawna już z głośnej lektury znał na pamięć.

Jedną z tych książek, które autorowi *Popiołów* zastępowały dziecinny elementarz, był podobno polski przekład poezyj de Vigny'ego ¹⁾.

Na jeden jeszcze rys znamieny zwrócić tu należy uwagę. Matka pisarza dawała mu pierwszy żywy, bo w imię miłosierdzia przez prawdziwą chrześcijankę praktykowany przykład współczucia dla nędzy maluczkich i poniżonych. Słaba i chora, póki jej sił starczyło, odbywała wielekroć po wsiach okolicznych samarytańskie wędrówki do chorych i biedaków, niosąc im słowo pocieszenia, wsparcie lub ulgę w cierpieniu.

¹⁾ Alfred de Vigny (1797—1863) — francuski poeta romantyczny; był to zapewne przekład Apolla Korzeniowskiego.

Dużo mu dobra i szlachetności dała z siebie ta nieszczęsna, na śmierć przedwczesną skazana istota, chociaż tak mało słońca...¹⁾

b) O pierwszej miłości poety.

Na rok 1882, gdy chłopiec miał już rok ósmnasty, przypada niezmiernie ważna epoka jego młodości. Zbudziło się w nim serce. Przemówiło pierwsze uczucie z całą siłą entuzjazmu i wybuchowości.

...W domu ciotki (Stefana) Matyldy²⁾ wychowywała się wnuczka jej siostry. Była to panna Ludwika Dunin-Borkowska, rówieśnica pisarza i bliska kuzynka... dziewczę wyjątkowej słodczy charakteru. Za życia pani Matyldy, gdy Stefan mieszkał u ciotki, widywali się dość rzadko, panienka bowiem przyjeżdżała z pensjonatu pani Pecqowej w Suchedniowie tylko na święta. Znali się jednak, jako dzieci, doskonale. Przyjaźń to była dziecinna, ale serdeczna. Różnice upodobań były ogromne. Stefanek — poważny sensat, a Ludwinia — istny wicher psoty, humoru i wesołości.

Po śmierci matki... nadszedł okres czasu, gdy Stefan nie wrywał się już do Ciekot z takim zapalem i tęsknotą, jak dawniej. Niejednokrotnie zostawał na święta w Kielcach, gdzie zatrzymywały go zaległości szkolne i korepetycje. Wówczas to zetknął się ponownie z Ludwinią, kończącą już wtedy nauki. Ludwinia podczas feryj szkolnych przebywała najczęściej u ciotki swej, adwokatowej Walentyny Koczanowiczowej, gdzie częstym gościem bywał i Stefan. W tym czasie po raz pierwszy spojrzął na prześliczną dziewczynę innemi, niż dotychczas, oczyma. Bo Ludwinia była wyjątkowo piękna. Miała olbrzymie ciemnoniebieskie źrenice, bujne czarne warkocze, profil czysty i nieskalany, a nadewszystko wdzięk dziewczęcy, wdzięk niezrównany, którym, nie wiedząc jeszcze o tem, rozbrajała i ujarzmiała

¹⁾ O matce pisarza zob. też w dalszym ciągu: urywek z korespondencji Żeromskiego (str. 100—101).

²⁾ Zamieszkałej w Kielcach.

najbardziej opancerzone serca młodzieży. Kochało się w niej i słało grad westchnień pod stopy całe pokolenie uczniowskie.

I Stefan rozkochał się w „siostrzenicy“ swej bez pamięci. Pisywał skrycie na jej cześć sonety, modlił się przed swym ołtarzykiem w kościele św. Trójcy o jej szczęście i zachowanie tej wyjątkowej czystości serca, jaka w niej była. Pisz o tem w swym pamiętniku. Kreśli dzieje swego serca rzewnie i boleśnie, widzi bowiem aż nadto, że, niestety, szans żadnych na zdobycie serduszka nie posiada. Serduszko to uderzało dlań zresztą bardzo tkliwie, ale tylko uczuciem siostry. Przemily trzpiot nie pojmował, że Stefanek, towarzysz zabaw dziecinnych, Stefanek-mruk i samotnik, Stefanek, jeden z najbliższych krewnych, chłopiec swój, brat niemal — może się w niej kochać. Na samą myśl o tem śmiech ją pusty ogarniał i z komicznem namaszczeniem przywoływała go do porządku, zalecając w pensjonarskich liścikach, by się zajął książką i pracą. Stefanek zaś listy te z nabożeństwem wklejał do swego dzienniczka i coraz głębszy smutek spływał mu do biednego, odrąconego serca.

...Młodzieniec rozpaczał cicho, ale czuł, że inaczej być nie może. Ludwinia, choć o parę miesięcy młodsza, była już dorastającą panną, a on, biedaczysko, zaledwo dobrnął do piątej klasy i Bóg wie, ile lat jeszcze dzieli go od chwili, kiedy zdobędzie chleb i jakie takie podstawy bytu. A choćby nawet było inaczej, cóż poradzi, skoro Ludwinia ma dla niego uczucia tylko siostrzane?

Zamknął więc w głębi serca swój bolesny zawód i zwierzał się tylko pamiętnikowi. Ileż tam jest zachwyty i uniesień! Jakie słodkie i poetyczne imiona nosi wyśniony ideał! Ludwinia, Ludwisia, Luiza, Ludka, Luda i t. d. w rozlicznych odmianach.

Ludwinia tymczasem wiosną roku 1883 ukończyła pensję i... zaręczyła się. Wiadomość tę poeta odczuł boleśnie i pocichutku opłakał ¹⁾).

¹⁾ Zawód ten natchnął młodzieńca do napisania elegijnego wiersza (wiersz ten przytoczony jest w książce Noyszewskiego na str. 124—6).

II.

TŁO LOKALNE I HISTORYCZNE „SYZYFOWYCH PRAC”.

A. Krajobraz rodzinnych stron Stefana Żeromskiego ¹⁾.

Okazałe w okolicy Kielc łańcuchy Gór Świętokrzyskich dosyć szybko maleją w kierunku północno-zachodnim, a w odległości 12—15 klm. od tego miasta niektóre z nich zupełnie nawet znikają. Zostają jeno co silniejsze grzbiety. Na południu krzepkie, grubo ociosane masywy słynnej Miedzianki, na północy zaś Oblęgorskie wzniesienia ze stożkowatą, legendami osnutą górą Perzową na czele. Pośrodku, między temi łańcuchami, rozciąga się duży padół Strawczyński.

Naogół płaski. Znajdujące się na nim wzniesienia małe i trochę większe, jak Piekoszowskie, Micigozdskie i Promnickie, są podobne do wielkich, nisko obsiadłych kup piasku nieregularnego kształtu. Rozpłaszczone formy rozległej przestrzeni padołu, obramione z północy i południa linją gór, wywołują wrażenie smutku i opuszczenia, do czego przyczynia się wyraźnie widoczna jałowość ziemi.

Na tym to smętnym padole, bliżej ku Oblęgorskiej grzędzie, uczepił się macochy-ziemi Strawczyn. Nie należy jednak ani on, ani jego okolica do pospolitych. Oddawna i przez całe wieki siedziała tu brać gwarecka i przysparzała Polsce miedzi oraz

¹⁾ Z książki *Kraina Stefana Żeromskiego (opisy i obrazy)* przez Martę Hubicką i Edmunda Massalskiego; nakładem Kieleckiego Oddziału Pol. Tow. Krajoznawczego, 1928.

żelaza. Obecnie o jej pracy świadczą już tylko nazwy miejscowości i wspomnienia nikłe, niby pajęczą nicią oplatające cichą duszę dzisiejszego biednego rolnika. Biorąc tylko poblizę Strawczyna, głoszą te stare dzieje nazwy takie, jak: Ruda Strawczyńska, Ruda Strawczyńska Zastawie, Czubacz Ruda Strawczyńska, Kuźniaki, Hucisko, Huta Obłęgorska.

Swym wyglądem i planem budowy Strawczyn wyróżnia się od zwykłej jednoulicznej wsi świętokrzyskiej. Ulic w nim kilka o rozmaitych kierunkach. Rzucają się też w oczy wybitnie małe schludne domki. Bieda wielka.

Dworek, w którym urodził się St. Żeromski, stał trochę na uboczu na małym wzgórku, skąd roztacza się widok na całą wieś. Obok miejsca, gdzie stał dworek, znajdują się zupełnie rozsypane mury jakiegoś większego budynku o nieznanym prześłości. Dalej w tym samym kierunku kościółek.

Tylko pierwsze kilka lat życia przeżył St. Żeromski w Strawczynie. Reszta jego dzieciństwa i lata młodzieńcze przypadają na Ciekoty — w jądrze najwyższej części Gór Świętokrzyskich.

Leżą Ciekoty w Wilkowskiej dolinie u północnego podnóża góry Radostowej o kilka kilometrów na zachód od klasztoru św. Katarzyny z pod Łysicy. Znana wszystkim wędrowcom świętokrzyskim dolina Wilkowska jest może najbardziej typową, a z pewnością najpiękniejszą z pośród dużych podłużnych dolin w Górach Świętokrzyskich. Rozciąga się wzdłuż ich Głównego grzbietu, podokąd biegnie równoległy do niego, a odgradzający dolinę od północy łańcuch Klonowski. Ostatnie tego łańcucha dwuczube wzniesienie, Stawiana i Miejska góra, kończące grzbiet Klonowski, leży zarazem u wschodniego kresu Wilkowskiej doliny. Wypada on prawie tuż naprzeciw Łysicy, z której spływa w dolinę królewski płaszcz puszczy jodłowej i bez żadnej przerwy przerzuca swe treny na Stawianą i Miejską górę, tworząc półował ciemnej zieleni. Dla patrzącego z pod Ciekot właśnie ta kojąca duszę łagodna linja półowalu znaczy wschodni koniec

Wilkowskiej doliny. Jej zachodni początek widać z Ciekot w mglistej dali u podnóża wzgórz Zagnańska.

Dolina jest wąska, liczy zaledwie 4 km. wszerz. Jej podłużne brzegi wznoszą się dosyć stromo wgórę do 200 m. ponad płaskie dno. Powoduje to wyrazistość kształtu dolinnego na podobieństwo wielkiej wydłużonej niecki, co widać dobrze ze szczytu potężnej, wznoszącej się nad Ciekotami góry Radostowej. Z tego też szczytu najlepiej odczuwa się smutek dziwny, który spowija milczącą dolinę. Smutek to przedewszystkiem starczego wieku jej krajobrazu. — Wybujałości starte, zrównana ostra kanciastość przedwiecznej rzeźby, zapanował spokój wielewiedzącej równowagi. A oprócz tego, podobnie, jak na Strawczyńskim padole, jałowość ziemi swoistym obrazem chudych pól zapewne działa w tym samym kierunku, choćby podświadomie, na naszą duszę Polanina. Pradziadowie nasi krwawiącemi palcami wydzierać tu musieli skrawki roli z pośród kisnących mokradeł leśnej krainy, zakładając przed wiekami Wilków. — Wygląda on na patriarchę tych stron. Później chyba powstały Ciekoty, Brzezinki, Barcza, Smuga, Klonów. Leśne to miana. Ale już dawno na dnie doliny lasu mało. Wycięto go też i z dumnego Głównego grzbietu aż do Łysicy. Został po nim kamienisty nieużytek. Tylko Klonowskie góry bór dawny zachowały.

Ożywieniem doliny są rzeczki i strumienie. — Płyńie od Zagnańska najznacniejsza ale, nieduża Lubrzanka, przyjmując kilka dopływów, między innemi strumień bezimienny z pól Wilkowa, płynący przez Ciekoty wśród olch i rokiciny u stóp niskiego pagórka, na którym stał niegdyś dwór Żeromskich. Był wówczas i młyn mały przy strumieniu.

Największym jednak urokiem Wilkowskiej doliny jest widok na Łysicę, wznoszącą się u jej końca. Chyba znikąd nie wygląda potężna sylwetka pięknej góry tak majestatycznie, jak z pod Ciekot.

Oprócz tej najwyższej świętokrzyskiej góry związany jest krajobrazowo z Wilkowską doliną również i największy w Gó-

rach Świętokrzyskich przełom, stanowiący w ich głównym grzbiecie tuż koło Ciekot bramę, przez którą Lubrzanka wyprowadza wody z wilkowskich obszarów. Przeszło z km. ciągnie się ten na 300 m. głęboki rozdół, zwany Mąchocką doliną, upiękaszony nurtem rzeki, wartko płynącej wśród rumowiska skalnego, zacienionej wierzbą i olszyną. Podmywa Lubrzanka lewy brzeg doliny, będący zboczem Radostowej. Prawym brzegiem droga idzie, a nad nią wznoszą się bliźnie szczyty Dąbrówki i Kamienia, nazywane też Masłowskiemi górami. Poorały się bardzo ich sypkie stoki w liczne garby, terasy i głębokie strome wąwozy, kamecznicami tu zwane. A wszystko ukryte w sosnowo-brzozowym gaju.

Radośnie w Mąchockiej dolinie!

Tędy do Kielc droga z Ciekot prowadzi. I do parafjalnych Leszczyn przez występujące dalej piaszczyste i naprzemian ilaste terasy, w których kręta Lubrzanka rzeźbi świeżo dosyć głęboki rów rzeczny szczególnie ładny w Leszczynach i niżej za nimi.

Leszczyny liczą się już do ściśle kieleckiej krainy, która jest sercem Gór Świętokrzyskich. W formach swych zawiera wszystko, co je charakteryzuje. Od Kielc pod Łągów się ciągnie. Łągowską doliną u geografów się nazywa. Przestronna i długa wykazuje wielką różnorodność wzniesień, równin i wtórnych dolinek rozmaitego pochodzenia. Wszystko o liniach spokojnych, co razem czyni krajobraz kielecki łagodnym, ale zarazem i ożywionym.

Różne warunki bytowania spotyka tu człowiek. Najwięcej lichej piaszczystej gleby. Są i piaski, i lessem przyprawione pszeniczne role. Dużo łąk soczystych przy licznych wstęgach rzecznych. Są ugorne wrzosowiska i z dawnej puszczy pozostałe lasy.

Nad wszystkim błyszczy skromnie na niewysokim wzgórzu złocista kula smukłej sygnaturki kolegiaty kieleckiej. Dalej ku zachodowi widnieje nieodłączna od obrazu Kielc zielona kopa Karczówki z miłym widokiem klasztornej kościółki

nad pinjowatemi sosnami. A na horyzoncie za Kielcami, jako tło, ciemnoniebieski wał jodłowy gór Dymińskich. Ich widoczny zewsząd wysoki szczyt Telegrafu wieści z oddali podróżnemu o bliskości Kielc.

Miasto leży na terasach i na zboczach jednego z niewielkich wzgórz Kadzielniańskiego grzbietu. Zeszło też i w północną dolinę. Przez tę niską dzielnicę płynie maleńka rzeczka Silnica; dążąc na południe, podchodzi do samego wzgórza kieleckiego, ściągwszy je ongi stromo z jednej strony. Doniedawna szeroko się tu jej wody rozlewały. Na wysokiej terasie tego zbocza stoi duma Kielc: monumentalny renesansowy zamek pobiskupi, a obok niego kościół kolegiacki, obecnie katedra. Ogólnie masa domostw miasta wygląda bardzo pospolicie. Małe, stłoczone przeważnie w ciasnych ulicach. W takich uliczkach mieszkał tu Żeromski czasu swych szkolnych lat.

Nie wewnątrz miasta jest źródłem uroku, który idzie od Kielc!... Widocznie zestrzeliwiają się w nich wszystkie sentymenty Świętokrzyskiej krainy, stwarzając swoisty nastrój. To też mało które miasto wydaje się tak silnie zespolonem ze swem bliższem i dal-szem otoczeniem. Łączne z kieleckiem wzgórzem Psie Górki, bliska góra Wietrznia, a z drugiej strony jeszcze bliższa Kadzielnia są jakby częściami Kielc. Szczególniej pociągają urwiste skały Kadzielni z lochami i grotami. Szeroko rozglądać się stąd można!

Dalej w tym samym szeregu wzgórz Kadzielniańskiego łań-cucha wznosi się Karczówka, będąca perłą krajobrazu najbliższej okolicy Kielc. Prowadzi do niej od samego miasta przez półtora kilometra szeroka aleja w dużej części wysadzona czterema rzędami parusetletnich topoli. Na szczytowych nierównościach góry klasztor stary niezwykle malowniczo rozłożony. Cała góra pokryta zwartą masą starych sosen. Tylko od strony Kielc naga. Stąd z pod bramy murów podwórca rozciąga się jeden z najpiękniejszych widoków Gór Świętokrzyskich: na Kielce, na daleką zadumaną Łysicę, na jasny padół Łagowski, na łań-

cuchy wzgórz, na długie doliny, ciemne lesiste wały, sznury wiosek, wstęgi białych wapiennych dróg... Obraz do syn-tezy.

Niewielka jest kraina Gór Świętokrzyskich, ale duże bogactwo treści ich wielce odrębnego krajobrazu. Łatwo wobec niego budzą się w duszy różnorodne uczucia. Przedewszystkiem jednak zniewala on nas urocznym spokojem łagodnych linii w całej pełni wykształconego typu starych gór.

Edmund Massalski.

B. Kielce ¹⁾.

Miasto wojewódzkie nad Silnicą, liczące ok. 40 tys. mieszkańców, bardzo skromnie i niezbyt czysto się przedstawiające, lecz położone w bardzo malowniczej okolicy.

Początki Kielc giną w pomroce dziejów. Łącznie z Tarczkiem stanowiły bezwarunkowo najstarsze osiedle ludzkie w Łysogórach. Najdawniejsze wzmianki historyczne o Kielcach sięgają r. 1084 i r. 1101, podawanych jako daty założenia kościoła św. Wojciecha. Już w drugiej połowie XI w., zdaje się, Kielce zostały własnością biskupstwa krakowskiego i od tej pory datuje się rozwój tej siedziby. Według posiadanych dotąd źródeł z w. XIV wiadomo, że w r. 1171 założona została w Kielcach przez bp. Gedka kolegiata, do której przeniesiono parafję z kościoła św. Wojciecha. Miasto w w. XIV podległo kilkakrotnym napadom Tatarów. Gdy nastąpiły czasy spokojniejsze, jak od samego początku prawie, ośrodkiem jego stał się pałac biskupi i kolegiata. W XVIII w. po drugim najeździe Szwedów, całe niemal miasto było jeszcze drewniane. Po rozbiorach podupadło zupełnie i dopiero za czasów Król. Kongresowego, dzięki Staszi-

¹⁾ Z *Przewodnika po Łysogórach* d-ra Tadeusza Dyb-czyńskiego. (Warszawa 1924, nakład Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego).

cowi, który tu założył szkołę górniczą, dzięki przeprowadzonemu traktowi Warszawa-Kraków — ostatnio wskutek przeprowadzenia kolei — Kielce zaczęły znów się podnosić i dziś rozwijają się zwolna na nieostatnie z miast wojewódzkich.

Kielce dzisiejsze zajmują przestrzeń przeszło 3 km. kwadrat., liczą przeszło 70 ulic, — trzy większe place: Rynek, Pl. P. Marji i Bazarowy, i publiczny ogród spacerowy im. Staszica. Stacja kolejowa niezbyt oddalona od środka miasta (1 km). Główna ulica — Kolejowa — ciągnie się od stacji do zbiegu z ul. Dużą, łączącą Plac P. Marji z Rynkiem i będący doniedawna jeszcze ośrodkiem miasta. Dziś główną arterją uliczną jest ul. Kolejowa na przestrzeni między ul. Czystą i Dużą. Do główniejszych ulic należy zaliczyć jeszcze ul. Pocztową i 3-go Maja. Plac P. Marji z stojącą na nim kolegiatą jest najwysokościjszym punktem miasta. Ujemną stroną miasta jest brak większej rzeczki. Przepływająca przez nie Silnica, z dopływem zwanym Silniczką, jest raczej cuchnącym kanałem, nad którym rozłożona ulica nazwana została Plantami, chyba przez ironję, choć posiada trochę zadrzewienia.

Kolegiata katedralna, o której wspomnieliśmy już, wzniesiona pod wezwaniem N. P. Marji, znajduje się na placu tejże nazwy i przedstawia się w postaci dużego, stosunkowo zbyt niskiego jednak budynku z niewielką wieżyczką, obok zaś niego potężnej dzwonnicy; obydwie te budowle wraz z maleńką obok dzwonnicy kaplicą pogrzebową otoczone są żelaznemi kratami i murem, w obręb których prowadzą z trzech stron kamienne schody. Pierwotnie budynek kościelny był w stylu romańskim, jak to świadczą słabe ślady, pozostałe w filarach, ale później wielokrotnie rozszerzany i zmieniany, zatracił pewnie i o gotyk, ostatecznie o styl odrodzenia... Stojącą w pobliżu kościoła dzisiejszą dzwonicę zbudował biskup Szaniawski i Gębicki. Pierwotną zdołił pozostały do dziś wielki dzwon śpiżowy z napisem: „Piotr Tomicki, biskup krakowski, wicekanclerz Król. Polskiego, r. 1527“. Obok dzwonnicy 4 posągi z piaskowca, dłóta Cenglera,

pochodzą z 1871 r.; Matka Boska z 1760 r. Według tradycji przed kolegiatą w rogu przy murze zamkowym pochowany jest Bartosz Głowacki, który tu, lecząc się z ran, zmarł.

W ścisłym związku dziejowym i architektonicznym z katedrą jest stojący przed nią, nieco niżej b. pałac biskupi, obecnie gmach województwa kieleckiego. Wzniesiony on został r. 1638 na miejscu dawnego dworu drewnianego przez bp. Jakóba Zadziką, kanclerza Rzeczypospolitej, dokończony przez jego drugiego następcę, bp. Andrzeja Trzebiskiego. Przedstawia on z siebie duży, prawie kwadratowy budynek w stylu odrodzenia francuskiego, pokryty podwójnym dachem z dzielącą go rynną, t. zw. hultajem, z pięknym portalem, wystawionym z chęcińskich marmurów, a ozdobionym herbem Zadzika - Korabiem, kapituły — trzema złotymi koronami i królewskim: Orłem Białym ze Snopkiem Wazów. Moskale orła kazali zamalować na czarno. Do r. 1867 na czterech narożnych basztach istniały smukłe i piękne wieżyczki. Wtedy to również zniszczono stojące obok obelisków na I piętrze 4 posągi posłów szwedzkich i moskiewskich, z którymi bp. Zadzik zawierał pokój w Polanówce i Sztumdorfie. Wewnątrz pałacu na I-em piętrze piękna sala z galerją portretów biskupów krakowskich (doprowadzonych do 1851 r.), malowanych z polecenia bp. Zadzika przez Dolabellę, a po Zadziku — przez Rycleskiego dopiero w r. 1861. W tej samej sali wspinały sufit modrzewiowy. W jednej z bocznych sal na suficie obraz na płótnie, przedstawiający sejm r. 1635 w Grudziądzu, gdzie sportretowany jest bp. Zadzik (po lewej ręce) i Rafał Leszczyński (po prawej), poza tem w rogach — sceny historyczne, w których brał udział bp. Zadzik. W sąsiedniej znowu sali znajduje się uszkodzony obraz: Pożar Moskwy i po rogach 4 piękne symboliczne malowidła „Pory roku“. Lewe skrzydło pałacu (patrząc w stronę katedry) zwano pokojami królewskimi, prawe — biskupimi. Otóż w tych pokojach biskupich, gdzie była niegdyś kaplica bp. Kajetana Sołtyka — malowidło na suficie przedstawia sejm warszawski z r. 1638, na którym sam bp. Zadzik

oskarża arjan wobec króla Władysława IV i przy nim z prawej strony Sarbiewskiego.

...Kościół św. Trójcy, do którego prowadził korytarz z palacu — znajdującego się przy ul. 3 Maja — zbudowany został r. 1620 przez bp. Szyszkowskiego; posiada ładną kaplicę na pamiątkę konsekracji oraz potrójny chór z herbem i inicjałami bp. Sołtyka. Obok niego seminarjum duchowne — z nadbudowaniem z piętrem — bez stylu żadnego.

Trzeci kościół — to najdawniejsza kielecka świątynia — według podania zbudowana na pamiątkę pobytu tu św. Wojciecha i jego imieniem ochrzczona. W dzisiejszym stanie pochodzi jednak z r. 1762 załedwie. Posiada w lewej nawie na ścianie frontowej obraz szkoły staroniemieckiej z klęczącym u dołu bp. Konarskim, w ołtarzu zaś obraz Styki (tutaj urodzonego): *Chrystus, rozmnażający chleb*. Znajduje się przy ul. św. Wojciecha, w miejscu, gdzie łączy się ona z ul. Bodzentyńską.

Przy ul. Starowarszawskiej — wznosi się najnowszy kościół pod wezw. św. Krzyża, jeszcze nie ukończony zupełnie.

Kielce poza tem posiadają jeszcze trzy obce kościoły: dwie cerkwie i zbór ewangelicki. Jedna z cerkwi parafjalna — od czasu okupacji austriackiej zamieniona na kościół garnizonowy, w stanie upadku, była wzniesiona r. 1818 na okrągłym placu nawprost prawie katedry. Druga — służąca dawniej garnizonowi moskiewskiemu, wzniesiona była znacznie później, na narożu ul. Karczówkowskiej i Chęcińskiej. Zbór ewangelicki — wznosi się przy ul. Pocztowej — zbudowany r. 1835, posiada w ołtarzu *Wieczerzę Pańską* Kokulara ¹⁾.

Z innych osobliwości Kielc należy wymienić dość ładny ogród miejski, zwany ogrodem Staszica, mający 4 wejścia: główne od ul. 3 Maja — pozostałe — od ul. Staszica, Karczówkowskiej

¹⁾ Kokular Aleksander (1793—1846) — malarz historyczny i portrecista polski. Ważniejsze prace: *Edyp i Antygona*, *Śmierć Priama*, *Ślub Jadwigi z Jagiellą*.

oraz Ogrodowej (furtka). W ogrodzie od r. 1906 pomnik Staszica, pomysłu St. Szpakowskiego (popiersie), wykonany przez Smyczyńskiego.

C. Szkoły kieleckie¹⁾.

...Przyszedł trzeci rozbiór. Kielce dostały się pod panowanie austriackie. Szkoły otrzymały teraz nazwę „Ces.-Król. Gimnazjum“, o klasach pięciu. Stan szkół w zaborze austriackim był ciężki, moralnie i materialnie. Materialnie — gospodarka finansowa nieudolna; fundusze edukacyjne, źle zabezpieczone na hipotekach, przepadały; dochody z tych funduszy nie stanowiły osobnej pozycji budżetowej, jak niegdyś, lecz należały do tak zwanych „funduszy publicznych“. Niedobory w dochodach ogólnych łątano dochodami z funduszy edukacyjnych.

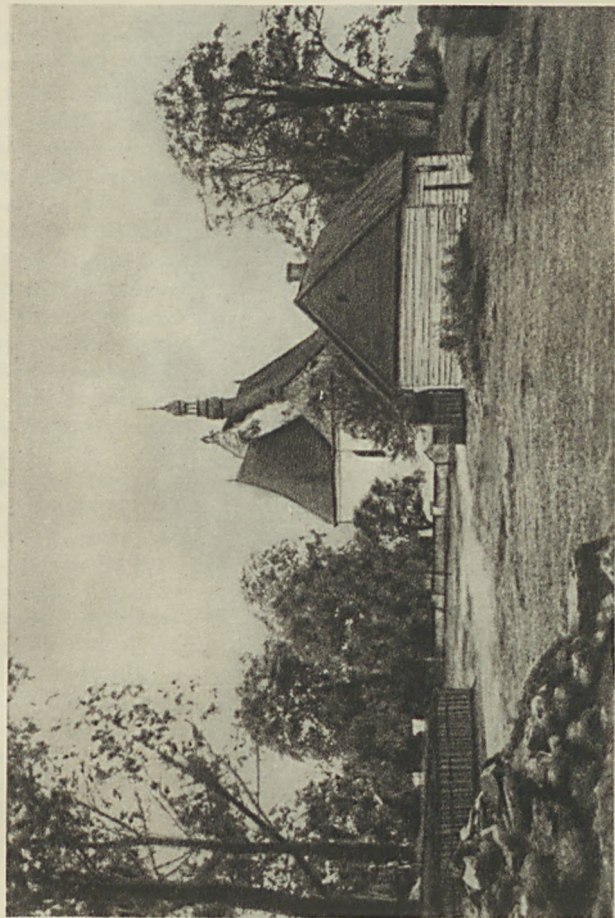
To też ogromne zadanie miała do wykonania Izba Edukacyjna w Księstwie Warszawskim, w którym znalazły się Kielce w następstwie wojny 1809 roku. Trzeba podkreślić, że szkoły kieleckie poniosły w czasie tej wojny szczególnie ciężkie straty: gmach szkolny, zajęty na szpital wojskowy, uległ pożarowi 28. 12. 1809 r. Ruina budynku była tak znaczna, że nie był on jeszcze w 1816 r. całkowicie odrestaurowany. Pożar budynku, a co za tem idzie, brak lokalu doprowadził do zamknięcia szkoły prawie na cały rok. Jednakże energia Izby Edukacyjnej szybko zapobiegła szkodom, płynącym z zamknięcia szkół. Budynek częściowo odrestaurowano, tak, iż lekcje po roku mogły się rozpocząć na nowo. Dawne „Ces.-Król. Gimnazjum“ otrzymało nazwę „Szkół Wydziałowych Kieleckich“, o klasach czterech, prócz elementarnej.

Zawierucha wojenna zniszczyła Księstwo Warszawskie. Terytorjum Księstwa znowu stało się objektem targów i podziałów między sąsiadami. Kielce znalazły się w związku państwowym z Rosją — w Królestwie Polskiem.

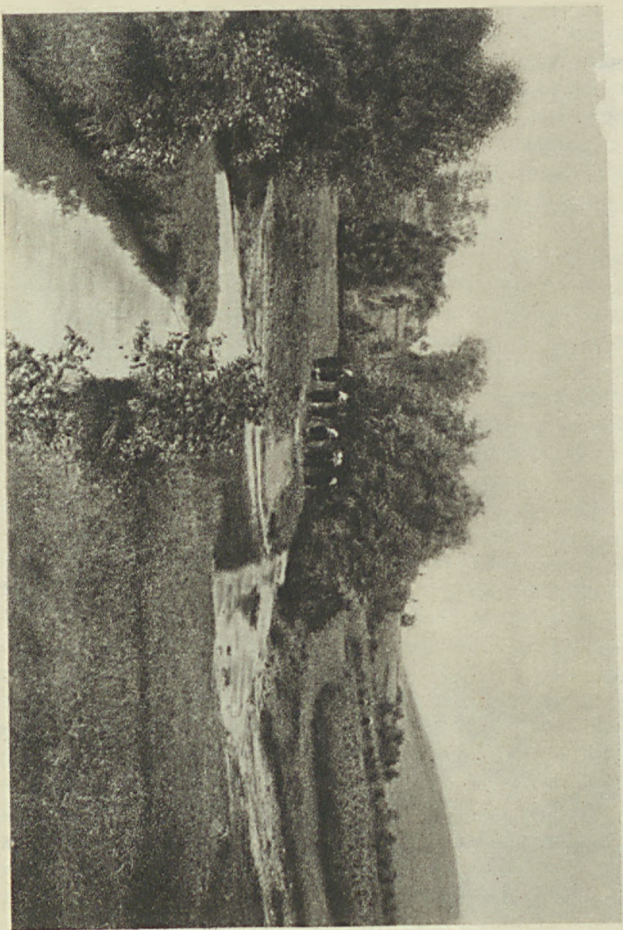
¹⁾ Z zarysu pod tym tytułem d-ra Antoniego Rybarskiego, drukowanego w *Księdze pamiątkowej kielczan* (1925).

Komisja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w 1816 r. otworzyła w Kielcach „Szkolę Wojewódzką“, zwaną początkowo Departamentową. Narazie otwarto tylko klasy III i IV. Dopiero w roku szkolnym 1819-20 szkoła miała sześć klas przepisanych. Dawna „Szkoła Wydziałowa“, przekształcona w 1816 r. na dwuklasową „Szkolę Podwydziałową“, przetrwała tylko do sierpnia 1819, kiedy przyłączono ją do Szkoły Wojewódzkiej.

Przyszło powstanie listopadowe. Po niem — szła represyj i zmian. Paskiewicz walczył nawet z nazwami, przypominającami odrębność Królestwa od Cesarstwa, to też w 1836 r. Gimnazjum Wojewódzkie (ośmioklasowe), istniejące od 1. 10. 1833, przemianowano na Gimnazjum Gubernjalne. Ale i to nie trwało długo. Mikołaj I decyzją z 14. III. 1840 gimnazjum zamknął „za samowolne opuszczenie szkoły przez kilkunastu uczniów w zamiarze udania się zagranicę“. Przez cztery lata nie było w Kielcach szkoły rządowej. Zastępowała ją przez ten czas czteroklasowa szkoła prywatna Fryderyka de Lipa. Dopiero na początku roku szkolnego 1844-5 przeniesiono do Kielc czteroklasową „szkolę powiatową“ z Pińczowa, która przetrwała tylko rok jeden. Walka Moskwy z oświatą w Królestwie toczyła się bezustannie — władze rosyjskie uznawały liczbę szkół powiatowych w kraju za nadmierną. Szkoły te były przygotowywaniem do gimnazjów filologicznych; 21. 3. 1845 r. „Najwyżej“ rozkazano liczbę szkół powiatowych dostosować do liczby gimnazjów filologicznych, których część także skasowano, zostawiając po jednym gimnazjum na gubernję. Wyjątek stanowiła gubernja Warszawska, która mogła mieć gimnazjów filologicznych więcej, niż jedno. Skasowane gimnazja filologiczne uległy przekształceniu na „Szkoły Wyższe Realne“. W szczególności szkoły tego typu powstały w Kaliszu, Siedlcach i Kielcach, Szkoła Wyższa Realna Kielecka była przekształcona właściwie ze szkoły powiatowej z początkiem roku szkolnego 1845-6, to też 6 klas przepisanych otrzymała dopiero w roku szkolnym



Kościół w Strawczyńie



Ciekoty

1847-8. Uczniowie dawnej Szkoły Powiatowej, którzy w r. 1848 nie ukończyli Szkoły Kieleckiej musieli naukę kontynuować już w innych szkołach filologicznych. Szkoła Wyższa Realna Kielecka miała program o charakterze technologiczno-górnictwym. Umieszczenie jej w Kielcach, ważnym punkcie okręgu górnictwo-hutniczego, było niewątpliwie celowe i słuszne. Szkoła ta przetrwała do roku 1862. Przyszedł okres złudzeń Aleksandra Wielopolskiego. Reformy margrabiego w zakresie szkolnictwa doraźne korzyści dawały znaczne. Królestwo, pozbawione przez długi okres wyższej uczelni o charakterze Uniwersytetu, nareszcie ją otrzymywało. Szkolnictwo średnie miało widoki udoskonalenia. Nowa organizacja szkolna Królestwa otrzymała sankcję cesarską 8 i 20 maja 1862 r. Jako szkoły średnie tworzyła ona szkoły powiatowe paru typów i gimnazja. Art. 98 głosił: „Na pierwszy raz otwarte być mają całkowicie gimnazja następujące: w Warszawie trzy, w Piotrkowie, w Kaliszu, w Radomiu, w Kielcach, w Płocku i w Suwałkach“. Gimnazja miały po siedem klas. Uczono w nich następujących przedmiotów: religii, języków: polskiego, rosyjskiego, niemieckiego, francuskiego, łaciny i greckiego, dalej logiki, arytmetyki, miernictwa i niwelacji, algebry, trygonometrii płaskiej i kulistej, geometrii, geometrii wykreślnej i analitycznej, mechaniki ogólnej, fizyki, geografii mat.-fiz., geografii Królestwa i Cesarstwa, chemji, zoologii, botaniki, mineralogji, geologii, historii powszechnej i Rosji, historii Polski, kaligrafji i rysunków. Wpis rocznie wynosił 15 rubli. System egzaminów był rozmaity i surowo stosowany. Kierownikami gimnazjów byli rektorzy, zależni wprost od Komisji Rządowej W. R. i O. P. Takimrektorem w Kielcach od 1. 10. 1862 do 11. 9. 1864 był Antoni Formiński, późniejszy Inspektor Gimnazjum Kieleckiego do 5. 12. 1865 r.

Powstanie styczniowe upadło. Moskwę znowu ogarnął szal represyj. Przystąpiono do umacniania prawosławia i rosyjskości w Kraju Nadwiślańskim. W ramach ogólnych zmian w organi-

zacji szkolnictwa Królestwa znalazło się także Gimnazjum Kieleckie.

Reskrypt Aleksandra II do namiestnictwa Królestwa z dnia 11. 9. 1864 stanowi podwalinę nowego porządku rzeczy w kraju. Rozwinięciem zasad reskryptu był między innymi Ukaz z tejże daty o wprowadzeniu Dyrekcji Szkolnych w Królestwie Polskiem, którym poddano szkoły średnie. Władza Dyrektorów Dyrekcji Szkolnych w zakresie nauczania w szkołach była bardzo znaczna. Mniejsza była ona w zakresie gospodarczym i finansowym. Jest to zrozumiałe: Moskale więcej wierzyli uczciwości Polaków, niż ich lojalności względem Rosji. Rektorów szkół skasowano, na ich miejsce stworzono inspektorów, jako przełożonych gimnazjów. Do inspektora należy w gimnazjum kierownictwo pedagogiczno-naukowe, zarząd gospodarczy i finansowy należał do pomocnika inspektora. Językiem wykładowym, mimo wszystko, był jednak jeszcze polski. System pedagogiczny też pozostawał dawny. Dalsze zmiany wprowadzał reskrypt cesarza do namiestnika z 17. 1. 1866. Rozszerzał nauczanie języka ros., historii i geografji Rosji. Nauczycielowi historii Rosji i Polski przepisywał obowiązek zaznajamiania uczniów z prawami zasadniczymi i najważniejszymi wiadomościami z dziedziny ustroju Polski i Rosji. Wskazywał sposób powoływania katechetów (mieli być oni mianowani przez Dyrektora Komisji Rządowej Oświecenia Publicznego w porozumieniu z Dyrektorem Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Wyznań. Rok szkolny rozpoczynał się wtedy 15. 8, kończył się zaś 30. 7. Ustawę z 17. 1. 1866 wprowadzono w Gimnazjum Kieleckiem z dniem 13. 10. 1867. Jasne jest, że Ustawa ta nie mogła zadowolić działaczy moskiewskich wszelkiego autoramentu: przecież język polski pozostawał nadal językiem wykładowym oraz istniała nadal Komisja Rządowa Oświecenia Publicznego. „Popustitielstwa”¹⁾ względem Polaków musiały się skończyć. Ukaz do Senatu Rządowego

¹⁾ Ustępstwa.

z dn. 27. 5. 1867 skasował Komisję Rządową Oświecenia Publicznego. Całe szkolnictwo „w dziesięciu gubernjach Nadwiślańskich” poddawał on wznowionemu Kuratorjum Warszawskiego Okręgu Szkolnego (Warszawskij Uczebnyj Okrug). Postanowienie zaś Komitetu Urządzającego do spraw Królestwa Polskiego, „Najwyżej”, zatwierdzone 22. 2. 1868, wprowadziło do gimnazjów od początku roku szkolnego 1868—9 nauczanie w języku rosyjskim przedmiotów przyrodniczych i historycznych. 13. 5. 1869 rozkaz cesarski wprowadzał język rosyjski wykładowy dla reszty przedmiotów szkolnych. Trzy lata tulał się jeszcze potem wykładowy język polski po gimnazjach w Królestwie, ponieważ Ministerjum Oświaty opracowywało równocześnie nową ustawę szkolną, jednolitą dla gimnazjów całego olbrzymiego imperjum. 11. 8. 1871 nowa ustawa otrzymała sankcję cesarską. Z wprowadzeniem nowej ustawy wygnano resztki polszczyzny z lekcji. Szkoła z polskim językiem wykładowym zginęła z oblicza ziemi w zaborze rosyjskim. Schowała się pod ziemię, aby po pierwszej rewolucji rosyjskiej zjawić się znowu w postaci prywatnej szkoły polskiej.

...Ustawa z r. 1871 stworzyła typ gimnazjum filologicznego, które z niewielkimi zmianami przetrwało aż do strajku szkolnego w 1905 r. Wychowawcami tego właśnie typu gimnazjum my jesteśmy. Ustawa ta stawiała na czele gimnazjum dyrektora. Wprowadzała lekarzy gimnazjalnych i pomocników gospodarzy klasowych (*pomoszcznik klasnawo nastawnika*); pomocnicy ci nosili także nazwę dozorców (*nadziratieli*), byli to ludzie z niższym wykształceniem. Ustawa rozszerzała prawa dyrektorów, określała kompetencje Rady Pedagogicznej, naturalnie przepisywała „formiennuju odzieżdu”¹⁾ i t. d. Na Królestwo moc ustawy rozciągnięto już w roku następnym (1872). W przepisach dla Królestwa były pewne odchylenia lokalne. Nie otrzymało naprz. Królestwo inspektorów, lecz p. o. inspektorów z pośród

¹⁾ Mundurki szkolne dla młodzieży.

nauczycieli, skasowano kuratorów honorowych szkół, aby odseparować szkołę od społeczeństwa. Nawet śladów nie pozostało z nauki historii i geografii Polski. Język polski pozostawa wprawdzie, jako przedmiot nauki w gimnazjach „gubernij Królestwa Polskiego“ (nie we wszystkich jednak), lecz pozostawał, jako zło konieczne, ale dla nikogo indywidualnie nie obowiązujące, jakby Kopciuszek, równy pod względem znaczenia stopni „czistopisanju“¹⁾ i rysunkom.

Ustawa i etaty z nią związane przetrwały blisko 40 lat. Zmiany bywały drobne. Tylko w programach nauczania zmiany te były ważniejsze.

Zmiany ważniejsze i zarządzenia doraźne wyliczam poniżej, aby Szanownym Kolegom przypomnieć chronologję faktów z Waszego życia szkolnego:

na sesji Rady Pedagogicznej w dn. 21. I. 1873 r. przewodniczący odczytał rozporządzenie Ministra Oświaty z dnia 21. 12. 1872 roku, nakazujące, aby uczniowie w murach gimnazjum rozmawiali wyłącznie po rosyjsku. Rada stwierdziła, że jest to stosowane w Gimnazjum Kieleckiem,

w 1876 roku ukończyli gimnazjum pierwsi ósmoklasiści, wskutek przekształcenia gimnazjum z VII-klasowego na ośmio-klasowe,

w 1875—6 otworzono oddziały równoległe, ponieważ klasy były przepełnione znacznie ponad normę.

W 1882 roku powiększono liczbę godzin języka polskiego tygodniowo z 14 na 19 (dla całego gimnazjum) we wszystkich gimnazjach Warsz. Okręgu Szkolnego,

w 1889 r. wprowadzono naukę muzyki, śpiewu i gimnastyki wojskowej, jako środków rusyfikacji. Władze szkolne pokładały duże nadzieje zwłaszcza w nauce gimnastyki, a właściwie musztry, która miała w nas wyrabiać postawę wojskową „cud-bohaterów“. Zawód i rozczarowanie w tym zakresie były zupełne. Za moich

¹⁾ Kaligrafji.

czasów nauka śpiewu i gimnastyki wygasła. Stały jeszcze na podwórzu szubienice gimnastyczne, przeszkadzające nam w palancie, ale musztry, bodaj że od IV klasy nie było już wcale..

...A teraz powstaje ważne zagadnienie: czy szkoła rosyjska w Królestwie wogóle, w Kielcach w szczególności, spełniła swe zadanie, wkładane na nią przez władzę najwyższą rosyjską, czy też nie spełniła? Zdaje mi się, że zadania tego nie spełniła. Oczywiście, nie wychowywała nas w duchu polskim, nie uczyła nas historii naszego narodu, nie zaznajamiała z geografją ojczyzny (nawet Polski etnograficznej). Wskutek tego dawała zaczątek i podstawy do późniejszej obojętności narodowej, większej lub mniejszej liczby jej wychowañców, przygotowywała ich do późniejszego „przystosowania się” do warunków polityczno-narodowych w kraju, przystosowania się nieraz zbyt daleko idącego, ale nie rusyfikowała *sensu stricto*¹⁾. Przedewszystkiem nie odbierała nam języka. Mimo całego wysiłku, mimo poświęcenia i zapалу niektórych rusyfikatorów, przecież naprawdę żaden uczeń Polak poza murami szkoły po rosyjsku nie mówił. Zdaje mi się również, że mimo wszystkich usiłowań, nikogo szkoła ta nie przekonała o wyższości kulturalnej Moskwy nad „zgnilym Zachodem”, wliczając doń i Polskę. Aby zilustrować zapatrywania samej Moskwy oficjalnej na rolę, zadania i niepowodzenia szkoły rosyjskiej w Królestwie w okresie największego ucisku, przytoczę tu słowa człowieka, co do którego uczuć względem Polski niema żadnych kontrowersyj. Człowiek ten — to Hurko²⁾, słowa zaś jego zaczerpnięte są z memorjału, złożonego przezeń Aleksandrowi III z datą 4 lutego st. st. 1890 roku.

„W czasie służby mej miałem zawsze to przekonanie, że istotnem zadaniem szkoły rosyjskiej (w Królestwie Polskiem) jest, aby utwierdziła ona w głowie dziecka polskiego przeświadczenie, że jego kraj ojczysty musi poddać się okolicznościom,

1) W ścisłem znaczeniu (łac.).

2) Rosyjski generał-gubernator w Warszawie w lat. 1883—1894.

musi pogodzić się z pokrewnym mu narodem, który kraj ten pokonał, że musi żyć się z tym narodem i jego sposobem życia, dzielić z nim smutki i radość. Dziecko uczynić to powinno, nie tylko przez zrozumienie potęgi tego narodu, lecz także przez zrozumienie jego kultury, co wytworzyła jego narodową jedność, kultury nie zachodnio-europejskiej, lecz samodzielnej, wspólnej wszystkim narodom słowiańskim, a przytem wolnej od wszystkich zjawisk ujemnych życia politycznego Europy Zachodniej. Szkoła ta ma utwierdzić w głowie młodzieńca to przekonanie, że dobrobyt jego ojczyzny, cała jej produkcja przemysłowa straci możność rozwoju, ale nawet nie utrzyma się na dzisiejszym poziomie, jeżeli nie będzie całkowicie związana z Rosją, z jej licznymi rynkami zbytu. Oplakany stan ekonomiczny Galicji oraz całkowite niemczenie Poznańskiego, jako materiał do porównań, ułatwiają szkole zadanie powyższe. Poza tem jest wzniosłem zadaniem pedagoga rosyjskiego, aby przez zaznajamianie młodzieńca Polaka z bogatą literaturą i sztuką rosyjską, zmusił go do pokochania wszystkich objawów życia rosyjskiego. Oto, jak rozumiem to zadanie. Ku wielkiemu jednak żalowi swemu przyznać muszę, że w ciągu minionych lat pięciu, nie poczyniono starań, aby liczbę szkół rządowych powiększyć, a mniej jeszcze postarano się, aby zachęcić rodziców do oddawania dzieci do szkół już istniejących. W związku z tem wynika nawet kwestja, aby liczbę nawet zmniejszyć. A równocześnie kwitną liczne szkoły i pensjonaty prywatne, tajne i jawne, bez względu na to, że nauczanie jest w nich źle prowadzone, ale zato kosztowne. Gdzie kryje się przyczyna tego zjawiska, czem się tłumaczy rozkwit szkół prywatnych dawnych i powstawanie nowych, pomimo stałego i bezlitosnego ucisku, stosowanego względem nich przez władze rządowe. Czy przyczyną tego jest nienawiść społeczeństwa polskiego do wszystkiego, co rosyjskie wogóle, a rządowe w szczególności, czy też szkoły rządowe tak są postawione, że rodzice Polacy ze zrozumiałego zupełnie przywiązania do dzieci unikają szkół tych wszelkimi

sposobami, niezważając na prawa i korzyści, płynące z ich ukończenia. W czasie mego siedmioletniego prawie zarządzania Krajem Nadwiślańskim, przekonałem się, że to drugie przypuszczenie jest słuszne. Tak jest, stosunek do dziecka w szkołach rządowych w Królestwie nie tylko nie ma cech miłości, lecz jest wprost wrogi; w szkole tej czyni się dziecku zarzut z polskiego pochodzenia, obraża się jego uczucia narodowe, traktuje się pogardliwie jego religję, jego język ojczysty umieszcza się za cudzoziemskimi — francuskim i niemieckim. Dziecko, wracając do domu, opowiada rodzicom, już i tak nie odznaczającym się miłością względem narodowości rosyjskiej, o wszystkich tych obelgach, doznanych w szkole, o faworyzowaniu dzieci rosyjskich, co jest faktem niezbitym, bo od dziecka polskiego szkoła wymaga większej znajomości języka rosyjskiego i jego gramatyki, niż od dziecka rosyjskiego. Taki stosunek, pozbawiony zupełnie uczuć serdecznych względem dziecka, prowadzi do rezultatów wprost przeciwnych, niż te, jakich Rząd oczekiwał od szkół. Stosunek ten nie rozwija w dzieciach przywiązania do Rosji, nawet wprost przeciwnie, zmusza je od lat najmłodszych do nienawiści względem wszystkiego, co rosyjskie — co było dla nich, w najszcześniejszych chwilach dzieciństwa źródłem niepotrzebnych udręczeń i łez gorzkich. | Władze szkolne najwidoczniej nie rozumieją, że nie mogą zniszczyć w sercach młodzieży szacunku dla religji i miłości ojczyzny, wszczepionych im w domu rodzicielskim; płomienne serce młodzieńcze nie znosi pustki, musi ono mieć swoje bóstwa; od dzieciństwa zdobywa ideały, które mają być jego gwiazdą przewodnią w życiu późniejszym. Zadanie pedagoga rosyjskiego względem młodzieży polskiej polega, według mego zrozumienia rzeczy, na stworzeniu dla tejże młodzieży nowej ojczyzny, stworzenia jej przez obchodzenie się z młodzieżą w sposób wysoce humanitarny, nacechowany miłością i życzliwością. W tym zakresie nie może być granic dla działaczy szkolnych, niema pieśczoćty, niema zbyt drobnego dowodu dbałości, które wolno byłoby zaniedbać w sto-

sunku do wychowywanych dzieci. Rzeczą niezbędną jest osiągnąć, aby dziecko, którego dusza instynktownie odczuwa wszelką niesprawiedliwość, widziało w szkole zupełne przeciwstawienie tego, co od maleństwa słyszy od rodziców o ordynarności, braku serca i niesprawiedliwości każdego Rosjanina. Niezbędne jest, aby, powracając do domu ze szkoły, mogło ono rzec rodzicom: „Mylicie się — Rosjanin to człowiek dobry i sprawiedliwy”. Zadaniem pedagoga jest rozewrzeć naościę podwoje szkoły, nie zaś zmuszać dzieci do uciekania przed nią, a rodziców do unikania jej z przerażeniem. Winien on stale pamiętać, że jego moc wspiera się nie na sile, lecz na miłości. Tymczasem teraz, stawiając sobie zadanie niewykonalne — zadanie zruszczenia siłą całego narodu, przez to samo wykazujemy, że nie jesteśmy w stanie zrobić z Polaków wiernych poddanych rosyjskich, którzyby uznawali przynajmniej materialne korzyści, płynące ze szczerzego związku z cesarstwem”.

Rozczulająco brzmią w ustach Hurki te serdeczne nuty życliwości względem dzieci polskich i młodzieży! Treść tej części memorjału tłumaczy się nietylko chęcią udoskonalenia aparatu, któryby skuteczniej uciskał i rusyfikował Polaków; lecz i tem, że Hurko był wtedy w ciężkich zatargach kompetencyjnych z Apuchtinem¹⁾, któremu wobec tego dobrze jest podstawić nogę w raporcie do cesarza, opisując niedoskonałość systemu rusyfikacji szkolnej. Jeżeli odrzucimy całą retorykę memorjału, zadziwiająco podobną do dzisiejszej sowieckiej, otrzymamy w każdym razie „czystoserdeczne” przyznanie do zupełnego niepowodzenia szkolnej polityki moskiewskiej, tak „zbawiennej” dla głupich i niewdzięcznych Polaków.

A teraz, po tych uwagach ogólnych powstaje pytanie, jaką postać, zakres i natężenie przybrała rusyfikacja w Gimnazjum Kieleckiem?

¹⁾ Słynny ze swej pracy rusyfikacyjnej Kurator Okręgu Szkolnego Warszawskiego.

Odpowiedź z natury rzeczy musi tu być subiektywna, nie opierająca się na jakimś ścisłym sprawdzaniu, ponieważ w tym zakresie zjawisk niema skali stałej.

...Moje własne odczucie sposobu postępowania władz tych mówi mi, że ci nasi gromowładni nie należeli do liczby najzacieklejszych rusefikatorów i gnębieli, jacy grasowali w Królestwie, a ucisk w Gimnazjum Kieleckiem stosowany względem polskości, był mniejszy, niż w innych gimnazjach.

...Na to mniejsze natężenie ucisku w naszym gimnazjum złożyły się dwie przyczyny. Przedewszystkiem w Kielcach dłużej, niż gdzie indziej utrzymali się nauczyciele-Polacy, którzy oczywiście, rusefikatorami nie byli, przed uciskiem, jak mogli, tak nas bronili, a z przepisów policyjno-pedagogicznych wykonywali tylko to minimum, poza które wykraczać w żaden sposób już nie mogli.

...Drugą przyczyną mniejszego ucisku narodowego w Kielcach była niewątpliwie mniejsza zaciekłość w tym kierunku dyrektorów naszego gimnazjum. Witte, Markjanowicz, Choroszewski, Nowików, Ganf służyli w Kielcach krótko. Były to zresztą czasy jeszcze przedapuchtinowskie. Na rządy Apuchtina przypada dyrektorstwo Woronkowa i Ławrowskiego. Wspomnień osobistych o Woronkowie nie mam; nie był to chyba jednak zbyt zaciekły polakożerca, jak tego dowodzi historia wieczorku uczniowskiego z dnia 28 października 1883 r., na którym uczeń klasy VI Stefan Żeromski miał deklamować Ujejskiego *Ma-ton*. Po próbie, która odbyła się 27 października, Woronkow zabronił deklamacji, ale sprawy politycznej i grubego przestępstwa politycznego z incydentu tego nie zrobił. A o takie „polityczne” postawienie kwestji nie było wówczas trudno! ¹⁾

Co się tyczy Ławrowskiego, to był on zanadto europejczykiem, aby wdawać się w drobiazgowe i małostkowe prześladowanie polskości... Przytem bardzo dokładnie obmyślana demagogja kazała mu

¹⁾ O tym wieczorku — zob. dalej: str. 94—99.

prześladować w większej mierze nauczycieli-Polaków, zwłaszcza nielubianych przez uczniów, niż samych uczniów. W każdym razie w stosunku do uczniów trzymał się metody „łapania dusz“ dobrocią, wyrozumiałością ojcowską... Trzeba przytem pamiętać, że Ławrowski był człowiekiem naprawdę wykształconym.

...A teraz pytanie ostatnie: dlaczegoż nawet Ławrowski, ten „rybak carski“, nader skromnym mógł się poszczycić połowem dusz sztubackich. O! tu psuli mu sieci, te kunsztowne i misterne sieci, zarzucane na szkołę — jego własni współpracownicy — Moskale. Czyż mogli nie zburzyć i nie zrujnować wszystkich chytrych zabiegów swego szefa tacy panowie, jak Stefanowicz, Żurawczenko, obity publicznie miotłą przez stróżkę z „Hotelu Polskiego“, albo następcy, tacy, jak Michalewicz i Pietropawłowski, wreszcie przesławny Kołokołow, który w poniedziałek stale trzeźwił się w klasach amonjakiem.

Mogli oni nas mniej lub więcej dręczyć, ale nikogo nie przekonali, żeby warto było pomieniać naszą narodowość i kulturę na ich narodowość, intelekt i charakter. Sami byli tak odstraszać przykładami i egzemplarzami swego narodu, że mogli tylko umacniać w nas polskość. Czuliśmy instynktownie, że wyrażenie *ex oriente lux* ¹⁾ tyczy się tylko słońca.

¹⁾ „Światło od wschodu“ (łac.).

III.

PIERWIASTEK BIOGRAFICZNY W „SYZYFOWYCH PRACACH”.

a) Oddanie Stefanka do szkoły¹⁾.

...Kiedy mały Stefanek ukończył już lat dziewięć, troska obojga rodziców schyliła zgodnie czoła nad zagadnieniem jego przyszłości. Trzeba się było nagiąć i przełamać, bo w niedalekiej perspektywie, niczem złowrogie widmo, stała wszak szkoła rosyjska. Stan majątkowy Żeromskich, z dnia na dzień opłakawszy, nie pozwalał na kształcenie syna zagranicą. Zresztą, nie miałoby to w ich warunkach najmniejszego sensu. Nie zamierzali syna wychować na emigranta, lecz na dzielnego człowieka, pracującego w kraju, na miejscu, wśród tego społeczeństwa, z którego wyrósł i któremu coś z siebie w przyszłości dać był powinien. Szkoła rosyjska jednak, z jej systemem znieprawiania dusz, z jej szpiegostwem i wyszydzaniem wszystkiego, co rodzina polska uważała za święte, była tem czemś, przed czem wzdrygały się ich serca i umysły.

Konieczności jednak mają tę złą stronę, że ich odwrócić niepodobna. Od lat młodości Wincentego Żeromskiego, który... kształcił się w Krakowie, upłynęło lat czterdzieści. W tym okresie czasu zmieniło się tak wiele, postęp rusyfikacji kraju był tak szalony, że o powtórzeniu eksperymentu w roku 1874-ym nikt nie marzył. Mógł ojciec Stefana nie umieć ani słowa po

¹⁾ Z książki N o y s z e w s k i e g o (wymienionej w odsyłaczu na str. 49).

rosyjsku, ale już jego syn nie postawiłby z tym „defektem” na arenie życia Kongresówki ani kroku. Trzeba więc było chłopca przygotować do egzaminu wstępnego do gimnazjum. Rolę tę mógł z powodzeniem spełnić zarówno ojciec, jak i matka, gdyby nie to, że żadne z nich nie znało języka urzędowego. Po długich naradach odrzucono najłatwiejsze rozwiązanie sytuacji, rezygnując z wzięcia na kondycję korepetytora, co połączone było nie tylko z kłopotami domowymi, ale i z poważnym wydatkiem, interesy bowiem państwa Żeromskich były już tak złe, że i to odgrywało poważną rolę. Ostatecznie zdecydowano oddać Stefanka dla zdobycia wysłownienia rosyjskiego na parę miesięcy do pobliskich Psar, gdzie dość inteligentny nauczyciel wiejski p. Strachowski przygotowywał już oddawna malców do szkół, dorabiając sobie tem przy skromnem uposażeniu belferskiem.

Moment wyjazdu z domu i rzewne rozstanie z matką odmalował Żeromski wiernie w *Syzyfowych pracach*. Psary, gdzie się ćwiczył w poznawaniu mowy Puszkina, nazwał w powieści Owczarami, p. Pawła Strachowskiego — panem Wiechowskim, pani Honoracie włożył na nos te same wielkie okulary, które naprawdę nosiła i dał tę samą potężną staturę, tudzież korpułencję zamaszystą. Stosunki jeno w powieści są odmienne, gdyż, jak mię upewniano, żywy prototyp Wiechowskiego był zbyt pocziwym Polakiem, by miał odgrywać rolę rusyfikatora wsi z własnej inicjatywy. Pani Honorata Strachowska z racji zapewne tuszy swej, tubalnego głosu, a może i owych tajemniczych okularów, była podobno postrachem wszystkich dzieci w okolicy.

O *Syzyfowych pracach*, pierwszej większej powieści Żeromskiego, wydanej w r. 1898-ym pod pseudonimem Maurycego Zycha we Lwowie, należy tu powiedzieć słów kilka.

Powszechnie utarło się mniemanie, że historia Marcinka Borowicza jest pewnym rodzajem autobiografji pisarza. Wrażenie to u osób, które wspólnie z Żeromskim dzieciństwo swe przeżywały, potęguje nadto mnóstwo rzeczywistych wydarzeń,

szczegółów i sytuacji, które autor do utworu swego włączył i z swą koncepcją twórczą organicznie zespolił. Dzięki temu, podobieństwo jest wielkie. Opierając się wszakże na podanych tam faktach i okolicznościach, trzeba je analizować i od wątku fabularnego oddzielać z wielką ostrożnością, nie zapominając ani na chwilę, że jest to przede wszystkim powieść, a nie pamiętnik. Mogą mieć *Syzyfowe prace* całe strony i sceny, żywcem zacytowane z pamięci własnych Żeromskiego przeżyć, lecz mimo to charaktery ludzkie i kolizje życiowe bohaterów powieści są powolne fantazji twórczej i przystosowane do zamierzeń artystycznych autora. Żeromski dużo w powieści mówi o sobie, ale wciela się tam nie tylko w Marcinka Borowicza, nie tylko w korepetytora Paluszkiewicza. Umie się wypowiadać ustami wielu swoich postaci.

Jeśli tedy *Syzyfowe prace* mówią, że przed oddaniem Marcinka do Owczar były w domu „dudy“, to możemy im wierzyć, bo tak samo musiało być i było naprawdę z małym, pieszczonym w domu Stefankiem. Możemy też wierzyć powieści na słowo, że szkoła w Psarach-Owczarach miała ten, a nie inny wygląd i charakter, bo inną być nie mogła. Gdy jednak w przeżyciach Marcinka Borowicza na terenie klerykowskiego gimnazjum dotrzemy do stron, ilustrujących jego młodouczniowski światopogląd polityczny z okresu zażyłości z inspektorem Zabielskim, możemy z całą śmiałością twierdzić, że charakterystyka ta z Stefankiem Żeromskim nie może mieć nic wspólnego i traktować ją należy, jako rys u któregośkolwiek z malców-kolegów zaobserwowany i postaci Marcinka intencyjnie przyswojony.

Żeromski mówi w powieści, że mały Borowicz niechętnie słuchał opowiadań powstańczych, gdyż jego „przekonania polityczne“ były mdłym odgłosem radcy Somonowicza i echem goryczy ojca, który w powstaniu stracił fortunę pradiadowską, nasiedział się w więzieniach i doznał krzywd od wodzów rewolucji. Odgłosy pracy patriotycznej z przeszłości wywoływały zatem w malcu wrażenie niesympatyczne, umożliwiając tem samem

przejęcie się duchem literatury rosyjskiej i czolobitność serdeczną dla nauczycieli-rusyfikatorów.

Te rysy charakterystyczne mówią nam już zbyt wyraźnie, że Marcinek-Stefanek z pierwszych kart powieści jest tu już tylko Marcinkiem, postacią ściśle powieściową lub też skopjowaną z życia, które podobnych wzorów dostatnią ilość nasuwało przed oczy. Ojciec Stefanka niewątpliwie wiele stracił w powstaniu, tak samo niejedną zniósł dokuczliwość od wojska rewolucyjnego, które dla wszystkich, nie wyłączając patryjotów, bardzo musiało być uciążliwe, gorycz jego jednak nie godziła swem ostrzem w organizatorów powstania, boć sam do nich należał. Co się zaś tyczy młodocianych chłopca przekonań, były one zapewne bardzo prymitywne i ciasne, ale zato zupełnie wyraźne, gdyż, wychowany w żywych tradycjach gorącego patryjotyzmu, był najzupełniej przez rodziców uświadomiony i nastawiony odpowiednio na wszelkie panów Zabielskich umizgi i pokusy.

Oto jeden z jaskrawych przykładów, jak dalece ostrożnie powinny być traktowane *Syzyfowe prace*, jeśli je mamy uważać za materiał biograficzny ich autora.

.....

Pobyt małego Stefanka u państwa Strachowskich trwał około roku. Nie było to rozstanie dalekie, bo niedziele spędzał chłopiec w domu, a wszelkie większe święta obchodził dawnym zwyczajem przewlekłe i grubo po datach prawosławnych wracał do źródeł wiedzy urzędowej.

Po rocznej edukacji w Psarach, kiedy już zaczerpnięta od matki wiedza Stefanka w dostatecznym stopniu przetłumaczona była na język rosyjski, odwieziono jedynaka do Kielc, by złożył egzamin do klasy wstępnej miejscowego gimnazjum filologicznego.

W *Syzyfowych pracach* znajdujemy ciekawy opis manipulacji, którą pani Borowiczowa celem umieszczenia synka w gimnazjum, zmuszona była przeprowadzić. Ponieważ miejsc w klasie

wstępnej było tylko trzydzieści kilka, a kandydatów przeszło stu, zdecydowała się za podszeptem faktora-naganiacza oddać syna na parodniowe przeszkolenie do kierownika preparandy. Lekcje te były tylko formą pobrania odpowiedniej łapówki za przyjęcie do gimnazjum, „pedagog“ bowiem, który ów „kurs“ urządzał, był zarazem egzaminatorem i wykładowcą w klasie wstępnej.

Czy epizod ten Żeromski zaczerpnął z przeżyć osobistych, czy też dotyczyło to jego kolegów, dziś orzec trudno. W każdym razie jest to zdarzenie bardzo prawdopodobne. Piszący te słowa wie z własnego doświadczenia, że zwyczaj taki istniał w Kielcach jeszcze w r. 1900-ym. Okres egzaminów wstępnych był dla niektórych nauczycieli-Rosjan istnem żniwem łatwych zysków. Pod pozorem udzielania fachowych korepetycyj, które w istocie rzeczy były tylko komedją, ściągali oni z nieszczęsnych rodziców wysoki nieraz haracz. Poddawano się temu z konieczności, ilość ubiegająca się o wstęp do gimnazjum była bowiem zazwyczaj kilkakrotnie większa od ilości wolnych miejsc. Przezorniej było zatem wydać pewną sumę na opłacenie się zapijaczonemu przewodnikowi młodszych pokoleń, niż odejść z kwitkiem i znów cały rok wyczekiwać ze drzeniem na zawodny rezultat nowej próby.

Pytania egzaminacyjne układane były według pewnej recepty, dzięki której mogli na nie odpowiedzieć zadowalająco albo tylko wtajemniczeni, albo chłopcy wyjątkowo sprytni i posiadający dobre „plecy“.

Data wstąpienia Stefana Żeromskiego w progi kieleckiego gimnazjum przypada na rok 1876-ty. Miał wtedy lat niespełna dwanaście.

Przyszły pisarz znalazł się w tych samych starych murach, na które kiedyś za swych uczniowskich lat, przed rokiem 1834-ym, spoglądał z ławy szkolnej i jego ojciec. Niestety, inna w nich wówczas otaczała młodych chłopców atmosfera. Od wojewódzkiej polskiej uczelni do rusyfikatorskiej katowni dusz polskich przeskok był kolosalny.

Nad tem, czem była szkoła rosyjska w zamierzeniach jej twórców i przewodników i jaki był jej plon rzeczywisty, rozwozić się tu nie będziemy. Pamiętają ją jeszcze i odczuwają dojmująco jej wspomnienie miliony rodaków starszego pokolenia, a sam Żeromski scharakteryzował ją wiernie i dosadnie w swych *Syzyfowych pracach*.

..Młody chłopiec dostał się w Kielcach w zupełnie odmienne, niż dotychczas, środowisko. Kielce, gród stary i lichy, liczący podówczas zaledwo kilkanaście tysięcy mieszkańców, sprawił na nim wrażenie wielkomiejskie, gwarne gimnazjum ogłuszyło i onieśmieliło, a panujący w niem język wykładowy wprowadził w prawdziwą rozpacz. Wyuczone do egzaminu formułki odpowiedzi okazały się tak niewystarczające, że chłopiec przez pierwsze tygodnie siedział na ławie szkolnej, jak zaczadzony i wykładów poprostu nie rozumiał. Najgorzej było z matematyką, do której nie miał wrodzonych zdolności i zawsze w niej w starszych nawet klasach szwankował. Szczególniej pierwsze tygodnie były nielada kłopotliwe, gdyż trudny przedmiot komplikowała niezrozumiała rosyjska terminologia, absorbując wysiłek umysłowy chłopca w dwu naraz kierunkach.

Naturalne uczucie osamotnienia i smutku, odczuwane zwykle przez młodzież po pierwszym wyruszeniu w świat z pod rodzinnego dachu, łagodziły w młodem serduszkku częste odwiedziny rodziców (Ciekoty odległe są od Kielc tylko trzy mile), kontakt ze starszą siostrą Olesią, kończącą wówczas pensję pani Florkiewiczowej, tudzież serdeczne otoczenie domowe, w jakim się znalazł.

Pani Borowiczowa z *Syzyfowych prac* umieściła swego Marcinka na tak zwanej „stancji” u „starej Przepiórzycy”. Stefanka Żeromskiego przykreść ta nie spotkała. Zamieszkał u swej kochanej, wszystkim bliskim oddanej bezgranicznie ciotki Matyldy Saskiej, rodzonej siostry ojca. Nawiasem wspomnieć należy, że stancja „starej Przepiórzycy” nie była płodem fantazji autora *Syzyfowych prac*. Istniała w rzeczywistości, a mło-

dzień zwała ją stancją „starej Czaplicy“. Żeromski zapoznał się z pensjonatem tym jednak dopiero znacznie później, gdy po śmierci rodziców i ciotki, pozostawiony wyłącznie własnym siłom, piastował tam „godność“ korepetytora małych wychowanków.

b) Pierwsze lata pobytu w Kielcach¹⁾.

W Kielcach po krótkotrwałem oszłomieniu, zupełnie zrozumiałem w okresie przystosowywania się do nowych form życia, chłopiec zaaklimatyzował się szybko. Ciepło rodzinne, jakim otoczony był w domu ciotki Metysi (tak ją nazywano) — łagodziło przykrość rozdziału z Ciekotami, a tęsknota za wsią nie mogła się dawać we znaki w mieście, z którego, w jakąkolwiek zwróciwszy się stronę, w ciągu kwadransa pieszo mógł znaleźć się w takiej samej prawie, jak ciekocka, puszczy. Dziś miasto to rozrosło się, lasy cofnęły się czarną ścianą wstecz, ale ogólny obraz pozostał niezmienny. Po dawnemu jedyny w swej piękności widok roztacza się z placu Panny Marji przy wzgórzu katedralnem, po dawnemu wieniec sinych, odwiecznym borem porosłych gór otacza gród kielecki, niczem precudna wyśniona jakaś panorama. Miał więc dość pola mały chłopiec i do koleżeńskich po zamiejskich spacerach włóczęgi i do swych dumań samotniczych, a w braku puszczy rodzinnej — szumiały mu nad czołem bory Kaweczyczyny, Dąbrowy, mgłami spowitego Telegrafu, pełnej tajemnic Karczówki z rozpadającym się już w gruzy klasztorem Bernardynów, bliskiej Kadzielni, na której dłonie przedwiekowych olbrzymów spiętrzyły złomy skalne, dalszego nieco Słowika z lasami dębów i buków i wartkim nurtem Trupieńca, który niegdyś szwedzkie zastępy, przez Czarnieckiego zegnane z gór, miał pochłonąć — całego tego szeregu wzgórz, przedziwnie malowniczych, nazwanych czy bezimiennych.

To też przywiązanie Żeromskiego do Kielc było szczere i gorące. Wiele w nich przeżył, ale nie ludzie i nie wspomnienia

¹⁾ Z książki N o y s z e w s k i e g o.

sukcesów osobistych związały go sercem z tem miastem. Kochał je bez widomej przyczyny. Uczuciem serdecznem przejmował go każdy kamień, każdy zaułek, dźwięk wieżowego zegara, stare drzewa w parku, sine lasy na widnokręgu...

...Opisowi starego parku kieleckiego poświęcił pisarz kilka najpiękniejszych kart w *Syzyfowych pracach*, szczególniemi jednak względami jego serca, jak zresztą wszystkich Kielczan, cieszyła się Karczówka, najpopularniejszy wprawdzie, ale bodaj i najpiękniejszy spacer tamtejszy. Gdy rozpytywał później o dawno nieoglądane kąty kieleckie, a czynił to zawsze, gdy tylko ktoś ze stron rodzinnych się z nim stykał, jednym z pierwszych pytań był zawsze wywiad o pupilkę-Karczówkę. Co się dzieje ze starym klasztorem, czy żyje jeszcze ostatni staruszek Bernardyn, ojciec Kolumbin, hodowca rasowych indorów, czy nie wycięto lasu, czy otchłanie odwiecznych sztolni ołowianych wciąż jeszcze budzą lęk i ciekawość? ¹⁾

¹⁾ K a r c z ó w k a. Malowniczy szczyt na zachód od Kielc, w najwyższym punkcie dosięgający 319 m., wydłużony nieco w tymże kierunku, a zbudowany z wapieni środkowo i górno (p. Frańskie) dewońskich, oraz na północy łupków górnodewońskich (piętro Fameńskie) i zlepieńców dolnotriasowych. Cały poroży istniejącymi tu dawniej szybami kopalń galeny, dziś zasypkanymi i tworzącymi jedynie stożkowate zapadliny. Na szczycie i w całości zresztą — z wyjątkiem wschodnich stoczy, zalesiony pięknym starodrzewem sosnowym. Na wschodniej części góry, nieco niższej — kościół i b. klasztor bernardyński... Całość, otoczona murami, przedstawia się mimo złego stanu zachowania dość mile, tem więcej, że widok z podnóża klasztoru, a tem bardziej z wieży kościelnej niezmiernie malowniczy i rozległy, szczególniejszemu wschodowi. Przedewszystkiem na Kielce — a dalej na całe pasmo Łysogór i pasmo Dymińskie od południa. Stronę zachodnią zasłania piękny las. Z za klasztoru, do którego wejście od wschodu (do kościoła — z południowej strony), nawprost wysadzanej drzewami szosy, prowadzącej z Kielc — poprzez wielkie sosny, wspaniałe widoki na północne okolice Karczówki i górę Machnowską, Niewachłów, Miedzianogórę i t. p. (Z *Przewodnika po Łysogórach* d-ra T. D y b c z y ń s k i e g o).

c) Dwór w Ciekotach i jego okolice ¹⁾.

..Dwór stał w Ciekotach na niewielkiem wzgórzu. U podjazdu był gazon, na którym matka pisarza hodowała przepiękne kwiaty. Zdobilo go nadto pięć lip sędziwych, pod które latem w ostatnich latach życia pani Józefy wynoszono ją z łóżkiem, stęsknioną do woni pól, do słońca i do pulsującego wkrąg tętna bujnego życia, które w niej gasło. Stara grusza, wspominana przez pisarza niejednokrotnie, stała od frontu pod oknem. Tuż obok roztaczał się widok na duży staw, napół zarośnięty trzciną i tatarakiem, utworzony z rozlewiska zastawionego strumienia. Przy stawie nad potężną groblą stał młyn staruszek. Okrywały go swemi konarami cztery olbrzymie olchy, otaczające przegładającą się w stawie w kamieniu wykutą figurę św. Jana. Na grobli rosły brzozy płaczące i rosochate wierzby i wiodła przez nią dróżka aż do krzyża, stojącego na wzgórzu od strony pól. Na stawie była wysepka, zwana kępą, miejsce wypoczynku pływającego drobiu domowego, a czasem i dzikiego ptactwa. Od strony ogrodu dwór miał obszerny ganek, winem obrosły, skąd roztaczał się widok na cały ogród, łagodną pochyłością spadający wdół, gdzie stał olbrzymi modrzew, przyjaciel i świadek pierwszych dumań młodego chłopca, który siadał tu zwykle na darniowej ławce i czytał albo marzył.

...Dom rodziców był cichy. Z racji choroby pani domu goście zaglądali tu zrzadka i tylko w samarytańskie raczej odwiedziny. Młody Stefanek, jak dawniej, nie miał tu towarzyszy zabaw. Pozostawiony sam sobie, obcował tylko z otaczającą go przyrodą. Stara puszcza jodłowa, olbrzymie tajemnicze lasy świętokrzyskie, zalegające dokoła, pociągały go swoją głębią i ciszą. W lasach i ponad rzeką spędzał więc całe dnie, błądził po tej jedynej w swoim rodzaju pierwotnej jeszcze puszczy, żył z nią i sercem zespolił, nauczył się, jak nikt ze współczesnych, odczuwania tajemnych natury sił i uroków. Przemierzył wszyst-

¹⁾ Z książki N o y s z e w s k i e g o.

kie ścieżki i ostępy wyniosłej ciemnogrnatowej, z chmurą deszczową zbratanej Łysicy, wędrował z niej po szczytach i wskrósł wąwozów na Łysiec z sędziwym dziewięćsetletnim klasztorem św. Krzyża na barkach, tysiącrotnie się wdzierał na umiłowaną Radostową¹⁾, pił z świętych źródeł, w małych opuszczonych oddawna pustelniach klecił swe pierwsze dziecinne poematy i szeptał słowa pobożnej szczerzej modlitwy.

To obcowanie z przyrodą, zwłaszcza z przyrodą tych najstarszych w Polsce gór i pagórków, pozostawiło w duszy poety ślad niezatarty. Strzeliste kolumnady mrocznej puszczy przejmowały skupieniem i powagą, a samotność uczyła rozmowy z własną duszą. A kto umie sam sobie być towarzyszem, ludziom wydaje się milczący i tajemniczy.

Oprócz tajemnic natury stara puszcza inne jeszcze zwierzenia szeptała małemu swemu przyjacielowi. Lasy tamtejsze, ostępy, kryjówki, ruiny i pogorzeliska były wciąż żyjącą i wymowną kroniką powstaniową. Tradycja powstania emanowała tu jeszcze intensywnie swój czar romantyczny i bohaterski. Mówił o niem każdy kamień przydrożny czy wykrot leśny, stare karczmy rozstajnych dróg, dwory szlacheckie i wieśniacze chaty. Wszelkie gawędy bezwolnie zbaczały na ten nieodwołalny manowiec, każdy wieczór rodzinny w ścisłym kole z pochylonemi głowami

¹⁾ Najbardziej zachodni szczyt w grzbiecie Łysogórskim, dosięgający 452 m. nad p. m. o zarysie okrągłym, wierzchołku trójkątnym, najstromiej opadający na zachód ku wąwozowi Mąchockiemu, w którym Lubrzanka omywa półkołem podnóże tej góry. Cały zbudowany z kwarcytów. Wierzchołek Radostowej g. ma maleńki cypel skalny wystających ostrym wałem kwarcytów na pewnej przestrzeni, zresztą cały usiany głazami, zupełnie bezleśny, trawiasty, w niższych częściach porosły tylko jałowcami. Z południa na górę tę wdziera się z dwóch stron wieś Podmachocice, na północnych stoczach leżą Mąhocice-Zaradostowe. Widok ze szczytu wspaniały dookoła, szczególnie jednak na wąwóz Mąchocki, (którego dna nie widać wcale z powodu głębokości) i najbliższe góry za nim: Dąbrówkę i Kamień. (*Z Przewodnika po Łysogórach d-ra T. Dybczyńskiego*).

wieńczono zawsze tą niewygasłą, wieczyście w sercach nurtującą Sprawą. O dziejach tych szeptał dwór, szeptały kuchnie, szeptały wszystkie chaty po wsiach. Wchłaniał je więc głodnem uchem i mały Stefanek, roziskrzały mu się oczęta, dręczył rodziców nigdy nienasyconą prośbą i słuchał a słuchał...

A później w lasach śnił swe sny o szpadzie, układał światoburcze plany polskich wyzwoleń i z czołem od dum tych rozgorzałem błądził po owych szlakach, „gdzie był jeszcze nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników, — gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerji czarne były od kul i podziurawione, jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je (jak sam się zwierza) w moje uszy, jak do składu, a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe“.

Ten podział czasu na epokę przed i popowstaniową przetrwał w Kieleckiem bardzo długo. Dzieje powstania niejako rozpołowiły tam egzystencję całego pokolenia i nawyk ten przechodził siłą inercji na pokolenia następne. Gdyby nie wojna światowa, która ustawiła nowy słup graniczny czasom przeszłym i dzisiejszym, rachuba ta trwałaby tam nicomylnie i do dziś. Wychowany w podobnych, co i Żeromski, warunkach w stronach kieleckich, od lat najmłodszych, choć to było o całe trzydzieści lat później, na każdej relacji przeszłości, przekazywanej młodszym, oglądałem tę nieodzowną etykietę czasu¹⁾. „To było przed powstaniem, a to już po powstaniu“ — mówiono zawsze i przy każdej okazji, chociażby poruszane sprawy zupełnie z wypadkami temi się nie wiązały i dotyczyły wydarzeń ściśle rodzinnych, zwykłych, narodowo-obojętnych.

Dowodzi to, jak silnie wypadki same, a później tradycja ich — weszły w treść duszy wszystkich nieomal warstw tamtejszego społeczeństwa i pozwala nam we właściwy sposób orjentować

¹⁾ Autor książki o młodych latach Żeromskiego, Stanisław Pióluński, czyni tu wzmiankę o sobie.

się, jakim powietrzem przyszły twórca *Popiołów* oddychał, co przesycalo jego młody umysł, jakim lempjesem przeorywano mu od dziecka duszę i jakie ziarno, świadome lub nieświadome, rzucano zewsząd na tę spulchnioną glebę.

W wędrówkach swych po okolicy, w bliskiem obcowaniu z ludem — poznał też dobrze duszę chłopca i nauczył się swem na wszystko wrażliwem sercem odczuwać dołę i niedolę. Zwłaszcza niedolę. Chłop świętokrzyski nie opływał w dostatki. Kamienista rola rodziła skąpo, więc bieda i ciemnota, a z niemi wraz i choroby zaglądały często do chat. Młody Stefanek odwiedzał chaty te dawniej jeszcze, towarzysząc matce w jej samarytańskich wędrówkach; później stykał się z ludem ustawicznie, obserwując i zachowując w pamięci ten fatalny stan zaniedbania najliczniejszej klasy społecznej w Polsce.

d) Tradycje powstańcze w okolicach Ciekot i lud tamtejszy¹⁾.

...Uparty bronchitowy kaszel, który mu wiernie towarzyszył przez kilka lat aż do opuszczenia gimnazjum, był powodem szkolnego przezwiska pisarza. Częste krztuszenie się przy atakach dokuczliwego kaszlu pobudziło dowcipnych urwisów do obdarzenia go przydomkiem Kawki. Młodemu poecie nie sprawiało to snąć przykrości, skoro w dziełach swych po kilkakroć przezwisko to wspomina. Kawką przezywano wszak korepetytora Paluszkiewicza, zmarłego na suchoty w *Syzyfowych pracach*, Kawka, „kudłaty Kawica“, występuje też w noweli *Doktor Piotr*. O Kawce mówią również wspomnienia kolegów pisarza, drukowane w *Księdze kielczan*.

Pewną osłodą samotności stało się dlań w tych latach życie koleżeńskie. Wspominaliśmy już poprzednio, że Stefanek nie-

¹⁾ Z książki Noyszewskiego.

łatwo żywał się z towarzyszami z ławy szkolnej. Przed klasą szóstą przyjaźnił się jedynie z kolegą Wacławem Halikiem, o którym w dzienniku swym wspomina z ogromną serdecznością. Później nieco zbliża się i zaprzyjaźnia z Wacławem Machajskim ¹⁾, chłopcem z ludu, który po ukończeniu progimnazjum w Pińczowie wstąpił do klasy 5-ej w Kielcach, tudzież z Janem Stróżeckim. Obaj ci chłopcy byli w latach dojrzałych zesłańcami i działaczami politycznymi. Ściśle patryjotyczne ideały ich z czasów zażyłości z Żeromskim uległy później wielu metamorfozom, które u Machajskiego wzięły obrót całkiem nieoczekiwany.

Jako młody chłopiec, a później student uniwersytetu, Wacław Machajski, najserdeczniejszy z młodzieńczych przyjaciół Stefana, był gorącym patryotą, a nawet, rzecz szczególna, miał wszelkie cechy psychiczne umysłów konserwatywnych. Lewicowe poloty niektórych towarzyszy traktował z niechęcią i uprzedzeniem. Do Żeromskiego był przywiązany niesłychanie. Widząc jego ogromną niepraktyczność i nieporadność życiową, opiekował się nim, jak dzieckiem. Dzisiejszy dygnitarz Rosji sowieckiej i, jak go sam Żeromski w *Księdze kielczan* nazywa, „herezjarcha społeczny“, był chłopcem bardzo dobrym i uczynnym. Dobrze postawiony w matematyce, pomagał Stefankowi w opracowywaniu zadanych lekcyj, zwłaszcza w okresie złowróżbnych egzaminów przejściowych.

Świadectwem tych serdecznych stosunków, jakie obu chłopców łączyły, jest piękna postać Andrzeja Radka, jednego z głównych bohaterów *Szyzyfowych prac*, skopjowana jak najdokładniej z Wacława Machajskiego z całą jego chłopską tężyzną i prostotą. Na ławie gimnazjalnej marzeniem Machajskiego było zostać aktorem. Nosił w imię tych artystycznych zamiarów długie włosy, ścigane przez zwierzchność szkolną i deklamował z pamięci najbardziej fascynujące role z dramatów Słowackiego, którego obaj narówni uwielbiali.

¹⁾ Machajskiego wspomina Żeromski w opowiadaniu p. t. *Wybieg instynktu*.

— Raz zagrać wielką rolę i skonać! — było najpiękniejszym niedoścignionem marzeniem.

W mieszkaniu uczniowskiem Machajskiego, opisanem wiernie w *Syzyfowych pracach*, chłopcy uczyli się wspólnie, czytali i w ścisłym kółku koleżeńskim prowadzili namiętne dysputy.

e) *Wspomnienia kolegów o latach gimnazjalnych Stefana Żeromskiego.*

CENTUM BOVUM ¹⁾.

(*Opowieść szkolna z przed lat czterdziestu*) ²⁾.

Źródłem stałych udręczeń dla ucznia 6-tej klasy Gruszkiewicza, *vulgo* ³⁾ Papusia było niedocenywanie przez kolegów jego męskiej dojrzałości. Ale jakże tu czuć respekt dla osoby, która nie przekroczyła jeszcze lat 16-tu, odznaczała się tak mizernym wzrostem, że Omżerskiemu, najbliższemu sąsiadowi, sięgała zaledwie po pachy, a co najgorsze były znana w świecie gimnazjalnym kieleckim z nieprzepartej skłonności do piątek i nagród ⁴⁾.

...Papuś wbrew tradycji, uświęconej przez wszystkich prymusów na świecie, siedział na jednej z ostatnich ław, bo święcie wierzył, że to jest pierwszym warunkiem dojrzałości. Tu przypadł mu najbardziej do serca jeden z koleżków, siedzący tuż przed nim, wspomniany już Omżerski, zwany Kawką. Był to mąż, który unikał również pierwszych ław, ale z zupełnie innych, niż Papuś względów. Jedną z muz, upodobał sobie widać

¹⁾ „Sto wołów“ — czyli twierdzenie Pitagorasa o kwadratach, wystawionych na bokach trójkąta prostokątnego: za jego odkrycie miał znakomity matematyk grecki otrzymać jako nagrodę 100 wołów od wdzięcznych Aten.

²⁾ Z *Księgi pamiątkowej kielczan* (1925).

³⁾ Popularnie zwanego.

⁴⁾ Omżerski — to Stefan Żeromski, Gruszkiewicz to Tomasz Ruśkiewicz, autor niniejszego wspomnienia, a wspomniany dalej prof. Raclawicki to profesor Antoni Gustaw Bem.

w dorodnym i barczystym młodzieńcu, wzbudziła w nim utajony ogień i zrobiła zeń poetę. Zamiast zmusić do zgłębiania zawiłości języka Hellenów, a jeszcze bardziej suchych wzorów matematyki, kazała mu „bujać po obłokach“ i „wirsze“ pisać. No, i zaszył się nieborak na jednej z ostatnich ław i dawał zupełną folę swej namiętności. Ani pytał, co się tam na lekcji greki, łaciny, czy też innych pośledniejszego gatunku przedmiotów dzieje, tylko maczał, jak się to mówi o poetach, „wieszcz“ pióro w „wieszczym“ kałamarzu i wciąż pisał. Papusiowi szczególnie podobała się ta niesamowitość kolegi i okropnie pobudzała jego ciekawość, co też to za historie wypisuje ów koleżka. Ba! ale dostać się do tajemnic poety nie było łatwo! Strzegł on bacznie płodów swego ducha przed okiem kolegów i zamykał swój skarb „Dzienniczek“ na dziesięć spustów. Od czegoż jednak przewrotna dyplomacja! Papuś, niczem kulawy Talleyrand¹⁾, działał powoli, ostrożnie a przebiegle. Skarbił sobie łaski poety to pomaganiem mu w extemporaliach łacińskich i greckich, to w zadaniach matematyki, ale najwięcej dostarczaniem książek. Bo poeta pochłaniał wprost książki. Utwory wieszczów naszych znał nawylot, nie obcy mu byli i mistrze obcy, a z *Jerozolimą wyzwoloną* Torquata Tassa nie rozstawał się wcale. Papuś natomiast, który poezji nie uznawał wcale, a poza matematyką miał pasję tylko do historii, zwłaszcza kraju ojczystego, był niewyczerpanym w wynajdywaniu książek. Wszystkie powieści historyczne Niemcewicza, Rzewuskiego, Kaczkowskiego, Kraszewskiego przewertował gruntownie, z nimi poważniejsze studia Szujskiego, Bartoszewicza, Szajnochy i mądrościami temi dzielił się chętnie z kolegą. Pewnego dnia zdobył świeżo wydany zbiorek pięknych obrazków Sienkiewicza *Stary sługa, Hania, Szkice węglem* i wspólnie z poetą przeczytał je parokrotnie od deski do deski, wyrażając swój zachwyt i powtarzając do uprzykrzenia zabawniejsze z nich ustępy.

¹⁾ Sławny dyplomata francuski (1754—1838).

Wtedy to serce poety ostatecznie zmiękło i zamki nieprzystępnego dla nikogo sezamu-dzienniczka zostały otwarte.

Pewnego pięknego dnia w czasie wielkiej pauzy, Gruszkiewicz, zakamieniały wróg poezji, ku zdumieniu koleżków przepisywał wierszyk Kawki do swego wielkiego bruljonu, w którym, obok przykładów z algebry i geometrii, znalazłeś i dyktowane cichaczem przez profesora Raławickiego wykłady z literatury polskiej. Aliści stąd dopiero wytrysło źródło okrutnej intrygi. Papuś, mocarz w matematyce i historii, w rymotwórstwie był skończonym analfabetą. Zdając sobie całkowicie sprawę z tej ułomności, a, czując, że w przepisanych do bruljonu wierszach koleżki „coś” tkwi, nie namyślając się niesie je, ani słówka nie pisnąwszy o tem ich autorowi, do profesora Raławickiego — znawcy nad znawcami literatury polskiej i znakomitego krytyka. Ten nazajutrz zbliża się w czasie lekcji do niepodejrzewającego nic złego poety i z całą powagą wobec klasy ogłasza:

— No, wie pan co, ten wiersz *Do braci rolników* wcale niezły, warto popracować nad sobą. —

Na te słowa czupurny Papuś, który nigdy przed najsurowszym nawet profesorem nie tracił rezonu, zaczyna się jakoś niespokojnie kręcić na miejscu i rzucać ukradkiem spojrzenia w stronę przyjaciela, a biedny, zapłoniony, jak panna, poeta stoi z zapartym oddechem i spogląda z wyrzutem na zdrajcę, który tak haniebnie zawiódł jego zaufanie. Milczenie trwało jednak niedługo, bo nagle przerywa je Papuś i recytuje z *Szkiców węglem*, błaznując:

— Jelemożny sądzie! o la Boga, o rety! — adyc ta psiajucha nigdy mi spokoju nie daje! —

Wszyscy w śmiech, a najwięcej Kawka, który stał się bohaterem dnia i *stante pede*¹⁾ pasowany został przez klasę na urzędowego poetę szkoły. Od owej epokowej chwili Omżerski stał się oczkiem w głowie Raławickiego, który roztoczył nad nim baczną opiekę, a że pan profesor był wielce wymagający i za siebie, i za innych,

¹⁾ Z miejsca, natychmiast (łac.).

i nie zawsze równy w humorach, więc ta opieka nieraz piołunem zaprawiana była. Raz, profesor podrażniony widzieć czemś z zewnątrz wszedł z ponurą miną do klasy i, rozłożywszy t. zw. dziennik, zauważył u swego ulubieńca niedostateczny stopień z geometrii. Skoczył z katedry, szybkim krokiem zbliżył się do ławki, w której siedział Kawka i wykrztusił jednym tchem:

— Panie Omżerski! Mickiewicz był wielkim poetą, ale zarazem jednym z najmądrzejszych ludzi, a pan jesteś ze swojemi dwójkami osioł!

Papusia na takie dictum, aż coś podrzuciło, zerwał się z ławki i odparował bez namysłu za kolegę:

— Panie psorze! to niekoniecznie tak, jak pan twierdzi, bo, gdyby sądzić w ten sposób, to ja ze swojemi piątkami z matematyki byłbym mądrzejszy od pana psora, największego lingwisty i krytyka, co miewał tylko, jak wiadomo, trójczyny z matematyki w gimnazjum.

Tylko Papusiowi, prymusowi z tradycji, mógł ująć na sucho taki hazard. Więc też pan „psor“, gryząc wąsa i hamując gniew, rzucił ostro:

— I cóż dalej, nieproszony adwokacie?

— A to dalej, że gdyby mi pan psor kazał układać wiersze, jak Omżerskiemu, który to robi, jak z nut, tobym się najpewniej najprzód spocił, a później taką częstochowszczyznę ze swego natchnienia wydobył, żeby pana psora zółć załala przy jej czytaniu, bo to się wie i co tu gadać, że jeden się rodzi na Homera, drugi na Archimedesę, a jenszy na pucybuta.

A, widząc, że na obliczu profesora zaczyna już igrać uśmiech, dorzucił z fanfaronadą:

— Zresztą poprawimy się z tą matematyką, ja w tem, panie profesorze!

No, i burza, która się zbierała nad głową poety została dzięki nieoczekiwanej interwencji Papusie zażegnana. Raclawicki wrócił na katedrę i rozpoczął ukradkiem wykład o twórczości ulubionego wieszczę Słowackiego. Incydent ten wpłynął na poetę

o tyle korzystniej, że porzucił na czas jakiś swoje muzy, a zaczął przykładowiej zgłębiać wiedzę archimedesową, zwłaszcza, że Papuś naprzykrzał mu się i powtarzał, iż honor ich obu wymaga dotrzymania słowa.

Los jednak przekorny obrócił wniwecz piękne zamiary przyjaciół.

Poeta, który, przysiedziawszy fałdów, zaczął wcale nieźle egzaminowany przez Papusia dawać sobie radę z rzeczami „bieżącemi“, a więc walcami, stożkami i t. d., nie mógł jeszcze z braku czasu odrobić zaniedbanych zaległości planimetrycznych, słowem nie ogarnął jeszcze całości. A tu, jak na złość, profesor matematyki nie wywoływał go wcale, aż dopiero, gdy przyszło powtórzenie całego kursu geometrii. I wtedy bomba pękła i zdruzgotała biednego Kawkę. Wywołany do tablicy, oczekiwał z ust surowego matematyka, jak delikwent wyroku — pytania, które miało go zbawić lub zmiażdżyć. I oto naraz w ciszy nieprzerywanej najmniejszym szmerem, słychać władczy głos profesora. — Omżerski dowiedzie mi twierdzenie Pitagorasa o kwadratach, wystawionych na bokach trójkąta prostokątnego. —

Stało się! Piorun uderzył z jasnego nieba! Poeta zbladł, jak ściana, a z ostatnich ław dało się słyszeć stłumione, ciężkie westchnienie Papusia. Przekłête, znenawidzone przez większość klasy *centum bozum* — *Pifagorowy sztany!*¹⁾

Omżerski narysował trójkąt, wystawił kwadraty na bokach, wypisał litery na wierzchołkach, napisał nawet na tablicy, że ten wielki kwadrat równy tamtym dwom mniejszym, podkreślił to, ale i tyle dobrego! Dalej, ani rusz! Napróżno profesor wbrew swym zwyczajom usiłował mu pomóc. Nic nie wychodziło. Poeta zaciął się i stał, jak mur!

¹⁾ *Centum bozum* — zob. obj. przy tytule tego wspomnienia; *Pifagorowy sztany* — spodnie Pitagorasa (po ros.), żartobliwa aluzja do kształtu, jaki tworzy rysunek przy dowodzeniu tego twierdzenia.

— Proszę na miejsce, a Gruszkiewicz do tablicy — przerwał złowrogą ciszę ostry głos profesora.

Papuś, który, jako celujący uczeń z matematyki odpowiadał rzadko, a wywołany do tablicy, szedł zwykle rozradowany, jak do tańca, dziś zgarbiony, przez co jego mała figurka dziwnie nikłą się wydawała, z przymusem wziął do ręki kredę i, słowa nie wymówiwszy, począł zapisywać tablicę. Gdy ją całą zapisał, podszedł do katedry i stłumionym głosem szepnął:

— Skończyłem!

On, który zazwyczaj wykrzykiwał donośnie każdą literkę, każdy znaczek, dziś stał milczący ku zdumieniu profesora i całej klasy.

— Czemuż pan nie objaśnia? — spytał profesor.

— Wszystko wypisane na tablicy, niech pan profesor sprawdzi, a jam dziś *nie w duchie* ¹⁾.

Poważny matematyk, zniewolony kaprysem swego ulubieńca, zeszedł z katedry, bardzo uważnie przejrzał całe dowodzenie, zadał jeszcze kilka krótkich pytań, na które Papuś biegle, ale przez zęby odpowiadał i ze słowami *alliczno* ²⁾ zwolnił go. Dziwnie nieczuły na usłyszaną pochwałę, Papuś skłonił się i ociężałym krokiem wrócił na ławkę. Tam w myślach pogrążony siedział, podparwszy głowę, aż zwrócił ją w stronę przyjaciela. Poeta, nachylony nad dzienniczkiem dawno nie ruszanym, trzymając pióro w ręku dumał, a łzy, jak groch, spadały na papier! Po chwili zaczął pisać. Skarżył się niezawodnie swoim muzom na los przewrotny! Papuś wzruszony odwrócił głowę, by nie buchnąć płaczem, jak baba. Gdy po upływie kilku tygodni po egzaminach piśmiennych ogłaszano nazwiska promowanych do wyższych klas, przed wyjazdem uczniów na wakacje, Papuś uważnie, choć ze drżeniem wsłuchiwał się w listę. Nazwiska przyjaciela nie usłyszał! Obojętnie odebrał swój „list pochwal-

¹⁾ Nie w humorze (po ros.).

²⁾ Doskonale (po ros.).

ny“, nie rzuciwszy nań okiem nawet, podszedł ku poecie, miękkim ruchem wyjął mu z ręki „dzienniczek“, i, pokornie usiadłszy na rożku ławki, wpisał weń jednym tchem:

Trzy warunki kładnę,
Wszak prawda, że skromne:
Kochaj Boga, ojczyznę
I pamiętaj o mnie.

Wstał, dzienniczek zamknął i wcisnął go zpowrotem do rąk przyjaciela. Nagle rzucił mu się na szyję, zdusił łzę kułakiem i pędem wybiegł z klasy.

* * *

Spytacie może, jak los obszedł się w życiu z młodzieńcami, ukrytymi w tej powiastce pod zmyślonemi nazwiskami?

Pierwszy — ów „poeta“ wyrósł na wielkiego pisarza, zażywającego dziś rozgłośniej, a zasłużonej sławy w Polsce i poza jej granicami.

Drugi — ów rezolutny matematyk, zbadawszy u obcych arkana nowej wiedzy technicznej, zapragnął przeszczepić ją do Polski i stworzyć nowy przemysł, opanowany dotąd całkiem przez Niemców¹⁾; walczy więc z nimi na własnym zagonie oddawna.

Czy go jednak wreszcie Niemiec nie zmoże? *Qui vivra, verra!*²⁾

T. R.

KONCERT NAD KONCERTAMI³⁾.

Wszystkie przygotowania do koncertu-*monstre*⁴⁾, jakiego świat uczniowski w Kielcach jeszcze nie widział — ukończono. Soliści popisowe numery opracowali i wystudjowali do naj-

¹⁾ Przemysł elektrotechniczny.

²⁾ Kto dożyje, zobaczy! (franc.)

³⁾ Z *Księgi pamiątkowej kielczan* (1925).

⁴⁾ Nadzwyczajny, niebywały (franc.).

drobniejszych szczegółów. Więc skrzypek Michajłow *Legendę* i mazurki Wieniawskiego, w zanadru chowając na „bis“ „Grossmütterchen“ — „Babuszkę“¹⁾, do której skomponowania wbrew pewnemu przykazaniu boskiemu przyznawał się z całą bezczelnością, plemieniu jego właściwą. Dalej panna K., nad wyraz okazała dziewoja, nad której pięknie rozwiniętymi wdziękami, snuli nieziszczalne sny zażywni chłopcy z 8-ej klasy, a która w *Przebudzenie Iwa Kątskiego*²⁾ włożyła cały swój temperament. A przedewszystkiem pasowany przez kolegów ku zazdrości rywala-kolegi Ł. na wieszczą gimnazjum, niezrównany deklamator poeta Stefan Żeromski ze swoim *Maratonem*³⁾ — gwoździem całego *spectaculum*⁴⁾. O, bo Żeromski — młodzieniec wonczas 17-letni, był nielada odtwórcą słowa wiązanego i wstydu nie przynosił swemu mentorowi, profesorowi Bemowi, który był przecież nietylko znakomitym historykiem literatury polskiej, ale i mistrzem w deklamacji i od pupila swego wymagał niesłychanych rzeczy. Ileż to razy — dźwięczny, barytonowy głos Żeromskiego rozbrzmiewał w małym kółeczku koleżeńskim, natchnionemi słowami wieszczą⁵⁾: „Na Termopilach ja się nie odważę osadzić konia w wąwozowym szlaku“, a zasłuchani koledzy tworzyli obraz, godny pędzla największego malarza. No, ale tym razem w przededniu koncertu Antoni Gustaw Bem nie miał nic do powiedzenia. Nad wszystkimi i wszystkim czuwało czujne oko głównego reżysera, profesora Wabnera, znawcy i wielbiciela świata klasycznego, protektora sportów, gimnastyki i wszelkich kunsztów, uprawianych przez Spartanów, a powtarzającego uczniom ustawicznie znaną sentencję *mens sana in corpore sano*⁶⁾. Nic więc dziwnego, że do owego przed-

¹⁾ Kompozycję muzyczną p. t. *Babunia*.

²⁾ Apolinary Kątski, muzyk-kompozytor polski XIX w.

³⁾ Poemat Kornela Ujejskiego.

⁴⁾ Widowisko (łac.).

⁵⁾ Słowackiego (z *Grobu Agamemnona*).

⁶⁾ Zdrowa dusza w zdrowym ciele (łac.).

sięwzięcia artystycznego Bem odnosił się z dziwną nieufnością, może z urazy, że mu z pod jego wpływu wyrwano na ten raz pupila Żeromskiego, może przez niechęć do „obskurantyzmu”¹⁾ inicjatorów, których jego pozytywistyczna²⁾ i krytyczna dusza strawić nie mogła; Bóg to raczy wiedzieć, słowem, zgóry można było twierdzić, że koncert ów spotka się z jego strony z surową krytyką. Wobec ukończenia, jak się rzekło, wszystkich przygotowań wyznaczono dzień jeneralnej próby. Pedagogzy, mamy i ciocie, młodzież obojga płci, starsi i młodzi, całe to bractwo ściągnęło tłumnie i zapelniało szczelnie widownię teatru.

Przedstawienie rozpoczęła kantata³⁾ na 4 głosy w tempie poloneza, ułożona *ad hoc*⁴⁾ przez profesora muzyki i kompozytora Jarońskiego, pod którą słowa podłożył sam reżyser prof. Wabner. Chór na przedzie z solistą tenorem kol. Skowrońskim pośrodku, basiści z boku z kol. Dowiakowskim na czele, a orkiestra uczniowska z tyłu, przyczem sensację wzbudza uczeń 8-ej klasy Oleś K., słynny specjalista od „psich figli”, zjawiający się na estradzie, w podskokach z kontrabasem, zamiast skrzypiec, bębniąc zamaszyście smykkiem o potężne struny.

I oto o stropy gmachu uderza chór młodych głosów...

...Po ukończeniu kantaty sypią się z widowni rześiste oklaski, artyści naturalnie kłaniają się zamaszyście, publiczność w dalszym ciągu bije ciągle brawa i zagłusza cierpką uwagę jakiegoś śleddziennika, który z uporem godnym lepszej sprawy powtarza *ut desint vires, tamen est laudanda voluntas*⁵⁾. Po chwili ucisza się wszystko i na estradę wchodzi jako akompanjator malutka, fertyczna osóbką z nutami w ręku, panna Jadwiga, zwana „Figą”, córka profesora-emeryta, rzucając ku publiczności piękniemi

¹⁾ Wsteczniactwa.

²⁾ O pozytywizmie — zob. obj. do rozdz. XII *Syzyfowych prac*.

³⁾ Uroczysta kompozycja śpiewacza.

⁴⁾ Na tę okazję. (lac.)

⁵⁾ Przy braku sił chwalebna sama chęć dobra (lac.).

oczkami, a za nią skrzypek solista Michajłow. Płyną piękne tony *Legendy* i mazurków, wreszcie „Babuszki“. I znów oklaski, a z tłumu głosik „brawo, panna Jadwiga“.

To jeden z cichych wielbicieli pięknych oczów akompanjatorki w ten sposób manifestował swoje ku niej uczucia.

Wspomniana już poprzednio panna K., przedmiot westchnień ósmoklasistów, w *Przebudzeniu Iwa*, następnym numerze, pomyliła się biedaczka, a przyczynę tego niepowodzenia nieuprzedzeni widzowie przypisywali wyłącznie pewnemu pomieszaniu, które ją ogarnęło, gdy spostrzegła, że cały sztab drągał pod wąsem pożerał ją wzrokiem z za kulis. Skończyła jednak, latając sztukę, i szybko, nie czekając oklasków, które się grzmiotem posypały za nią, wybiegła za kulisy.

Z zapartym oddechem oczekiwano teraz deklamacji Żeromskiego — *clou*¹⁾ całej imprezy.

I oto za chwilę wybiega z za kulis krokiem niezwykle energicznym wysmukły młodzian, zatrzymuje się przed samą rampą, potrząsa groźnie w stronę widzów ramieniem i krzyczy! nie! nie krzyczy, lecz grzmi! grzmi, jak trąba Archaniola:

— Ha! Sardes gore! —²⁾

Gmach zatrząsł się w swych posadach, szyby zadźwięczały, a na słuchaczy padł lęk okrutny — *obstupuerunt!*³⁾

Na sali jednocześnie dały się słyszeć dwa stłumione głosy, jeden słynnego ze swych przekleństw i wyzwisk nauczyciela rosyjskiego języka i drugi jednego z koleżków, przyjaciela deklamatora. Pierwszy zaklął:

— *Wot zahoworil, stierwa! czort by jego podra!*⁴⁾

Drugi zaś dusił się ze śmiechu:

Jezus, Marja! — Stefanek zwarjował! — Co też to Bemcio na to powie!

¹⁾ Sensacja, główna atrakcja (dosł. *gwóźdz*, po franc.).

²⁾ Początek poematu *Maraton* Ujejskiego.

³⁾ Osłupieli (łac.).

⁴⁾ A to się, bestja, odezwał! niechże go djabli! (ros.).

Ale nie zwarjował ci on wcale, tylko wzięty w obroty uprzednio przez mentora klasyka, który miał zwyczaj zachęcać swych uczniów przy deklamowaniu wierszy z Homera lub Wirgiljusza: *clariore voce, firmiore voce*¹⁾, tak się tem przejął, że mówił nie po swojemu, a całkiem po wabnerosku, czy tam po helleńsku. Swoją drogą deklamacja, wygłoszona płynnie, bez zająknięcia, pięknie modulowana i z przejęciem, choć krzykliwie, zjednała wykonawcy huragan oklasków.

Gdy zszedł z estrady, koledzy otoczyli go kołem i winszowali sukcesu, tylko inspektor gimnazjalny, Fawst Nikolajewicz Kosteckij — drwiąc swoim zwyczajem — zagadnął go: *Wsio charaszo, gaspadin poet, no*²⁾, *zaczem wy tak orali* (czemuś się pan tak dał).

Nie winszował mu również i ów wspomniany koleżka-przyjaciół, bo mu klinem w głowie tkwiło: — Co też Bemcio powie? — Co też Bemcio powie? No, i powiedział! Jakkolwiek Żeromskiemu zabroniono powtórzenia deklamacji „Maratonu“ na samym koncercie, jako wiersza przesiąkniętego zbyt patriotyzmem, gdyż, jak twierdził nie bez słuszności dyrektor Woronkow — Ateńczycy to Polacy, a Persowie to Rosjanie — Bem nie zwracał uwagi na to, tylko zrobił mu scenę, po której stosunki dyplomatyczne między znakomitym polonistą i jego ulubionym pupilem zostały na pewien czas zerwane. Po koncercie w *Kolcach*, piśmie humorystycznem, wychodzącem wówczas w Warszawie, ukazały się wiersze, o których autorstwo nie bez racji podejrzewano Bema. Wiersze te brzmiały:

Gdy na rzecz dobroczynności
Piejem k'woli wesołości,
Niechaj wieszczej plód twórczości
Chroni Bóg od ludzkiej złości,
Bo do oryginalności
Wieszcz i muzyk praw nie rości,

¹⁾ Czystszym głosem, silniejszym głosem (łac.).

²⁾ Wszystko to dobrze, panie poeto, ale... (ros.).

Więc za nadmiar w chlebie ości
Przepraszamy głodnych gości.

Pogniewane strony — profesor i pupil — pogodziły się jednak wkrótce po koncercie, a pierwszy krok do zgody zrobił Bem, całkiem idyllicznie ofiarując poszkodowanemu poecie, spotkanemu na spacerze, pudełko cukierków. Taki epilog miała deklamacja *Maratonu* Stefana Żeromskiego w Kielcach w roku Pańskim 1883.

T. R.

f) Wspomnienia dzieciństwa w korespondencji Stefana Żeromskiego¹⁾.

a) Z listu do narzeczonej z Zakopanego 26. IV. 1892 r.:

...Giewont się po południu rozzłościł i schował we mgłę na amen, dopiero nad wieczorem zdjął kaptur. Wtedy słońce zachodnie oświetliło go i Sarni Skok cudownie: dwa stoki zachodnie tych gór pokryły się blaskiem różowo-ponsowym przedziwnie pięknym. Wszystkie zleby i szczeliny, kanty i piargi na tych wyniosłych czubach wyszły najaw i ukazały się plastycznie, wypukło namacalnie... Jestem prawie zazdrosny o moje góry najdroższe, Świętokrzyskie, bo tu niektóre miejsca, niektóre posępnie groźne rozpadliny i strumienie przypominają mi moją Łysicę, Radostową, Strawczaną, Duży Kamień, Klonową, Mały Kamień i t. d. — przypominają mi raczej mnie samego, dziecko dziwne, dziwaczne, blakające się samopas po lasach, siadujące po pół dnia nad jakimś wodospadami...

b) Z listu do tejże z Zakopanego 30. IV. 1892 r.:

...ciepło i parno; mgły leniwie odsuwają się od wsi i odsłaniają najbliższe stoki wzgórza. Śnieg, jaki tam jeszcze wczoraj leżał, znikł nareszcie i na zgniło-żółtej murawie puszcza się mdła zieleń pierwszych piórek trawy. W rowie za drogą błyska nawet

¹⁾ Opublikowanej przez Stanisława Piołun-Noy-szewskiego w jego książce *Stefan Żeromski*.

coś żywym światłem, czego wczoraj jeszcze nie było: to jaskry... dziwne uczucie tęsknoty przejmuję mi serce: gdy mgła zasłania Sarni Skok — ta cała pochyłość podobna jest zupełnie do Radostowej, góry, pod którą uczyłem się łązić, później składać litery, a później tyle razy, leżąc gdzieś w dolinie, czytałem Mickiewicza... Zupełnie tak samo, te same jałowce i żółtawy skłon i ponura, ciężarem leżąca mgła. Ojciec, matka i bezgraniczna ich dla mnie, jedynaka, miłość — przesuwają się gdzieś w głębi duszy, jak mgła przemijająca...

c) Z listu do tejże z Zakopanego 21. V. 1892 r.:

...Pamiętam, gdy raz, po śmierci ojca w dwa czy trzy lata przyjechałem do Kielc i poszedłem piechotą dwie mile, aby odwiedzić swoje strony. Siedziałem na górze Radostowej, skąd widać było całe zapadłe kącisko, niegdyś nasze. Nie mogłem pojąć, nie mogłem zrozumieć tego faktu, że w tym starym, opuszczonym, ze zczerniałym dachem dworze mieszka kto inny, że te drogi żółtawe, kręte, kamieniste — to nie moje drogi. Tamta wieś — to mojej duszy częśćka do tej chwili... Pierwsze lata dzieciństwa, spędzone na wsi, wciskają w człowieka na zawsze szczególne, niezmazane znamię: będzie kupcem, marynarzem, subjektem w aptece, redaktorem, czy czemkolwiek, a jednak będzie zawsze członkiem, faktyczną integralną duchową częścią swej gminy i parafji, tych swoich — Ciaciaków, Ciekot, Odpadków, Gawronek, Pod Górą, Za Drogą — tych części łąk, pól, poręb i pastwisk swojego folwarku. Kiedyś pojedziemy tam, Tuchno, pokażę Ci te moje stracone skarby. Jak we śnie pamiętam — byłem w pierwszej klasie i jechałem na święta „Zielone“ do domu na dwa dni — z matką. Była już wtedy chora bardzo, ale przyjechała po mnie. Jechaliśmy w nocy, w ciepłą i widną noc w czerwcu. Droga tam idzie między olbrzymiemi dwiema górami nad rzeką. Na obydwu górach śpiewało ze sześćdziesięciu słowików — i szło echo... Ten plusk wody po głazach, po kamieniach i ten łoskot przedziwny, aż straszny, te przewlekłe, namiętne

dźwięki, które spajały się w jakieś chóry anielskie — pamiętam, jak dziś. Niema tam żadnych mostów, przejeżdża się wszystkie rzeki wbród. Przejeżdżamy tedy rzekę i zmęczone konie piją. Ja nachylam się z bryczki i słucham tego chciwego żłopania. Trochę jestem senny, jakiś rozmarzony dziecinnem szczęściem, że za chwilę będę w domu, że dusi mię aż to swoje powietrze, cudne i czyste... Czuję na karku rękę matki, tę zawsze pieszczotliwą i aż nadmiernie czujną — i głos: — Czapka ci spadnie, studencie... Głos nieco dumny, że jestem już rzeczywiście uczniem w mundurze — i taki słodki, taki słodki... Pewno tam kiedyś w dolinie pod Łysicą stanie zakład hydropatyczny, będą gazety opiewać o nadzwyczajnej czystości powietrza, wzniesieniu poziomu blisko na tysiąc stóp nad powierzchnią morza i t. d. Dzięki temu, że rodzice moi tam mieszkali, matka moja dożyła 42 lat, chociaż oddychała jednym płucem i miała suchoty od 20 roku życia. Ach, gdyby tam stanęła szkoła, gdybym ja tam mógł osiąść... Ale tam żadnych szkół niema. Ludzie żyją kartoflami przez $\frac{3}{4}$ roku, a przez kwiecień, maj i czerwiec do nowych kartofli i żyta — siekanką z pokrzyw, lebiody, kory olszowej, mąką i mlekiem. Niektórzy zbierają ziarna manny, rosnącej po łąkach, wylupują rdzeń soczysty wodnych tataraków i, zaszuszywszy go, mielą na mąkę, gniotą kluski i jedzą z mlekiem. Jest tam biedny żyd, rolny posiadacz, — ma dwie morgi piasku, — który nie umie już handlować, nie umie nawet liczyć, który orze krową, a włóczy brony sam. Widzę go do dziś dnia, bosego, w jarmulce i kaftaniku z „cycelesami“, jak biega po kamienistej roli, włokąc bronę... Koni tam nikt nie ma, drzewo z lasu (kradzione, bo tam kradzież drzewa nie należała do szeregu grzechów — „las je boski, nikt go ta nie zasięwał, mo Pan Jozus mieło-sierny“) — drzewo to ciągną sami na wózkach o dwu kołach — ci ludzie ubodzy, bracia moi... Zresztą niedaleko stamtąd jest opuszczony cmentarz i dwie mogiły, trawami i mchami zarosłe. Nic dziwnego, że mnie czasami, szczególnie tutaj, chce się iść, choćby raz, choćby zajrzeć...

IV.

Z SĄDÓW O ŻEROMSKIM.

a) *Marjan Szykowski*¹⁾.

...Zasadniczym tonem twórczości Żeromskiego jest głęboki liryzm, wypowiedany za pośrednictwem symboliczno-nastrojowych obrazów przyrody oraz dziwnie silnie działającej eurytmii dykcji²⁾, która jednym, zwłaszcza drobniejszym tworom tego pisarza, nadaje charakter rapsodów, łączących we wspaniałą syntezę wysoki nastrój myśli ze sposobem jej wyrażenia. Ten niezwykle spłot pierwiastków liryczno-epickich, impresjonizmu i naturalizmu, ten „nieromantyczny romantyzm“, sięgający w głąb nowoczesnych, nieraz bardzo drażliwych zagadnień po nitce subiektywnej, niezmiernie czulej wrażliwości etycznej, posługujący się środkami ekspresji³⁾ o niezmiernie bogatej skali leksykalnej⁴⁾, metrycznej⁵⁾, oraz kompozycją luźną, epizodyczną, spójną wewnętrznym nurtem liryzmu: — to w najgrubszym zarysie podstawa tej wybitnej i skomplikowanej indywidualności twórczej.

Te same idee przewodnie, które przyświecają działalności mistrzów współczesnej poezji polskiej, a są dziedzictwem wielkiego romantyzmu, cechują również kierunek tworzenia Żerom-

¹⁾ Z książki: *Literatura współczesna*. (Poznań 1930).

²⁾ Rytmiczności mowy.

³⁾ Wyrazu.

⁴⁾ Słownikowej.

⁵⁾ Rytmicznej.

skiego. I on — jak Kasprowicz ¹⁾ oraz wielcy romantycy polscy — „cierpi za miliony“, opiewa siłę i wielkość cierpienia ogólnoludzkiego i polskiego, fatalistyczną moc Arymana ²⁾, który mści się na opornych, chcących przez abnegację ³⁾ uchylić się z pod jego władzy: „Zło niewątpliwie jest tylko jedno: krzywda bliźniego“ i dla tej krzywdy ma bezgranicznie tkliwe współczucie „Człowiek jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno“. „Miłość między ludźmi należy siał, jak złote zboża, a kąkol nienawiści trzeba wyrywać i deptać nogami“. „Czcij, człowieka — oto nauka.“ Toteż, podobnie, jak Wyspiański ⁴⁾, nie uznaje Żeromski hasła „sztuka dla sztuki“, chce być natomiast historjografem, nauczycielem i wychowawcą narodu — i, podobnie, jak twórca *Wesela*, posługuje się dla tego celu bolesną analizą współczesnego bytu, „rozdrapuje rany, ażeby nie porosły błoną podłości“, nie unika przykładów drastycznych i jaskrawych.

Jest Żeromski sędzią surowym i wymagającym; jednak w gruncie rzeczy kieruje nim miłość sprawy, którą chce zbawić. Wziąwszy na siebie całe brzemie zobowiązań etycznych — sam ugina się pod ciężarem krzyża. Cała jego twórczość jest „walką z szatanem“, tragiczną przez to, że pragnienie dobra ściera się w duszy twórcy z wiarą w fatalną konieczność zła. Te dwie bowiem moce nie występują u Żeromskiego — jak u innych wielkich twórców polskich, poczynając od Mickiewiczowskiej walki Ormuzda z Arymanem ⁵⁾ — w luźnym przeciwstawieniu, ale spojone są wewnętrznie i nierozdzielnie, jako dwa tryby, którymi porusza się koło życia. Ta koncepcja, pokrewna poglądom manichejczyków ⁶⁾ — nasycy ponurym smutkiem dzieło Żeromskiego. Wobec równouprawnienia zła wszelkie wysiłki, podejmomo-

¹⁾ Poeta współczesny (1860—1926).

²⁾ Orjentalny bóg zła.

³⁾ Wyrzeczenie się dóbr świata.

⁴⁾ Współczesny poeta polski (1869—1907), autor *Wesela*.

⁵⁾ Dobra ze złem.

⁶⁾ Sekta średniowieczna.

wane od zewnątrz, ażeby je zwalczyć, muszą być daremne. „Siłą przymusu, ani żadną inną nie może być wytrzebione to, co nazywamy zbrodnią“. Tak orzeka rozum — ale przeciw temu buntuje się serce, wołając o pomstę i sprawiedliwość. To jest ów nerwowy szloch, który wypełnia karty dzieła Żeromskiego, to „syzyfowa praca“ „ludzi bezdomnych“, dławionych fatalizmem zła od zewnątrz, od strony wrodzonych instynktów i pragnień osobistego szczęścia.

b) *Antoni Potocki*¹⁾.

...Nikt zapewne nie sprzeciwi się historykowi, gdy od pierwszych nowel (1890) do *Ludzi bezdomnych* (1900) całą twórczość Żeromskiego tego dziesięciolecia uzna za jeden akt rachunku sumienia odradzającej się Polski. Aż do tych czasów nie znamy całokształtu twórczości, któraby w ściślejszym stała stosunku do psychologii zbiorowości pewnej, jak ta w stosunku do inteligencji tego okresu. W niej się odnajduje całe pokolenie, a przytem nie widziane z zewnątrz przez opisowość, lecz ujęte w samym ognisku sumienia przez akt spowiedzi.

Poszczególne więc utwory całej tej grupy staną w świadomości ogółu jako wytyczne punkty jego własnych przemian wewnętrznych. Hierarchja ich mierzyć się da jedynie hierarchją władz zbiorowego sumienia. Metoda artystyczna takiej pracy musi być i jest stopieniem w jedno, podług potrzeby duszy, i ostrowidztwa niemal inkwizytorskiego obserwacji, i jasnowidzenia intuicji, powołanej do najgłębszego samopoznania przez ekstazę. Obserwacja i intuicja łączą się tu tak, jakby np. w wyobraźni więźnia, zamkniętego w celi — mocą jakiejś szczególnej halucynacji — odbiło się plastycznie całe wnętrze więzienia — wszystkie cele naraz — z losami i postawami wszystkich więźniów, postrzeżonych nawylot przez mury i twarze do najtajniejszej głębi

¹⁾ Z książki: *Polska literatura współczesna* (1912).

duszy. Byłoby widzenie takie oparte na bezwzględnem, ostatecznem wżyciu się w ten pewnik, że losy i myśli więźniów w więzieniu obracają się zawsze dokoła jednego momentu, który, jak przewód elektryczny łączy wszystko w jedną całość. „Skir nieuleczalnej żałoby“ (Żeromski) — więc owa „tęsknica po stracie nieskazitelnego mienia“ (Mochnecki)¹⁾ jest tu warunkiem wspólnym obserwatora i obserwowanych. A „chęć wyjścia promienną myślą“ z więzienia, „chęć rozszerzenia się, rozprzestrzenienia miłością promienistą, wszystko obejmującą od końca do końca“ — jest siłą czynną, stanowiącą warunek zarówno twórczości społecznej, jak na takim stanowisku znajdującej się artystycznej. W ten sposób misterjum „czującego wiedzenia“ Żeromskiego staje nam w podwójnem świetle: jest ono pokrewne, jednorodne z tajemnicą twórczości wielkich romantyków — jest z drugiej strony pokrewne, jednorodne ze sprawą duszy, przenikającą całe owoczesne pokolenie. Otchłań krzywdy, czy skir nieuleczalnej żałoby, czy wreszcie strata nieskazitelnego mienia są więc jakby ujemnym biegunem tej siły, która wyraz swój dodatni znajdzie w odpowiednich natchnieniach ostrowidztwa, jasnowidztwa, ekstazy, intuicji — zawsze na rozkazy tej samej władzy — „chęci rozprzestrzenienia się i wyjścia miłością promienistą z ciasnego koła samolubstwa“ — z więzienia. Oto mechanizm jedności twórcy i pokolenia i na nim oparte arcydzieło spowiedzi powszechnej współwięźniów. Jakoby fragment trzeciej części *Dziadów*, z celi Konrada przeniesiony w gehennę²⁾ stosunków rzeczywistych, współczesnych. Czyż zresztą cały ten młody, stający się naród w kraju całym nie jest więźniem?

Czujemy wyraźnie, że tu z Żeromskim stoimy na kulminacyjnym punkcie twórczości momentu, rozważanego, jako jedność zupełna zbiorowego i osobistego przeobrażenia dusz.

¹⁾ Historyk i krytyk literacki czasów powstania listopadowego.

²⁾ Piekło.

c) *Stanisław Brzozowski*¹⁾.

...Twórczość Żeromskiego wyrosła z warunków, które konsekwentnie niszczą dzień za dniem, godzina za godziną samą zdolność życia, czucia, kochania. Nie o zewnętrzny ucisk chodzi tylko: chodzi o wewnętrzne przeświadczenie, że życie, jakie się prowadzi nie jest tem, jakie się by mieć chciało i mogło. Stąd ton nieustannej wewnętrznej ironji, lekceważenia wobec tego, co jest. A to, co jest, to zniszczone, przybite życie jest jedynem: nie ma się więc właściwie żadnego. Życie całe jest bezwiednym nieustannym głodem życia, żalem po niem. Stąd każdy pierwiastek, każdy okrucieństwo życia jest czemś, co ma nad nami olbrzymią przewagę rzeczy utraconej, nieodzyskanej, rzeczy, do której się tęskni. Stąd bogactwo psychiczne, jakie ma się w sobie, nie ujawnia się bezpośrednio, szczerze, z nieprzymuszonością i swobodą instynktu, lecz wyzwalając je potrzeba i wydobywać, przekonywać siebie, że jest. Następnie zaś, gdy już pojawi się ono na powierzchni naszej świadomości, nie mamy przeświadczenia, że jest ono naszym własnem, a więc sądowi naszemu i władzy naszej podległem. Narzuca się ono takie, jakie jest i boimy się rozróżniać w niem prawe i lewe, boimy się dostrzec sprzeczności: słowem nie umiemy i wtedy, gdy już przez wysiłek wydobyta została, przeżyć tej wydobytej, wyzwolonej przez nas naszej własnej treści, stosownie do jej własnej logiki. Dość przeczytać kilkanaście stronnic Żeromskiego, aby przekonać się, że mamy tu do czynienia z człowiekiem o niezmiernie bogatej wrażliwości, o emocjonalności rozległej, słowem z naturą zdolną do niezmiernie bogatego, pełnego, wszechstronnego życia. W danych warunkach musiało to się odezwać w Żeromskim, zarówno w formie wyjątkowo intensywnego odczucia rozpaczliwości położenia, jak i wielokształtności tych tęsknot, jakie w nim powstają. Wyobraźmy sobie jedną z renesansowych natur, zamkniętą przez gwałt w klasztorze, poprzez okna którego

¹⁾ Z książki: *Współczesna powieść polska* (1906).

dolatuje brzmienie muzyki, śpiewu, rozgwar wesołości. Skutki są nazbyt jasne: wyrodzi się straszne odczucie pustki, zniszczenia, i nieustannie budząca się tęsknota: i tam byś być mógł, i tam, i nie będziesz. Żeromski jest poetą podeptanego, utraconego, pohańbionego bogactwa duchowego. Wszystkie właściwości jego tłumaczą się przez to. Tłumaczy się przez to jego subiektywizm całkowicie odmienny i charakterystyczny: brak mu na emocjonalnem zrównoważeniu, niezbędnem do obiektywnego, ściśle logicznego rozstrzygnięcia konfliktów duchowych.

d) Antoni Lange¹⁾.

...Nie były to książki „dla rozrywki” pisane; to były zmagania się bolesne duszy nieprzejednanej, która nie zna wytchnienia i nie chce nikomu pozwolić na wytchnienie. W tych opowieściach było echo tej męki, w jakiej żyliśmy wszyscy.

Życie nasze było jednym straszliwym zgrzytem; ten więc, który chciał i miał nakaz wystawić to życie w pełni jego szpetoty — nie mógł być poetą harmonji. Przeciwnie jest to poeta zgrzytów i dysonansów, które często, może nigdy — nie dochodzą do równowagi. Odpowiedzialność w jego sercu nigdy nie usypia, ona trwa nieustannie, jako konieczność walki i tworzenia. Dzieje się to zaś dlatego, że Stefan Żeromski ma w swojej duszy pewne widzenie święte, którego obraz wciąż dalej w przyszłość uchodzi, a którego omdlenia przepełniają mu serce bezgraniczną boleścią. Widzenie to — to niepodległość Polski.

W momencie, kiedy Żeromski pisać zaczął — myśl o niepodległości zamarła prawie zupełnie; nawet najżywotniejsi działacze, którzy opierali swą wiarę w przyszłość na chłopach — przesuwali tę myśl w dalekie jutro; inni wybrali stanowisko, że trzeba pierwszej rozwiązać sprawę socjalną, idea zaś niepodległości już się w tem rozwiązaniu zawiera; jeszcze inni, większość ogromna — nie myśleli wogóle o niczem i biernie poddawali się warunkom życia, owszem, profit z nich ciągnęli.

¹⁾ Z książki: *Pochodnie w mroku* (1927).

Czasami ten i ów wspomniał o tej śpiącej królownie — jakby od święta, bardzo pocichu, ale bez żadnych zobowiązań. Dla innych „Polska w niewoli“ była argumentem, by nic nie robić, bo wszystko jest blahe wobec tego: ci przeważnie grali w winta, chodzili na operetkę i na wyścigi, robili interesa.

Żeromski postanowił nieustannie każdym swoim słowem, jawnem i zamaskowanem, przypominać o tej sprawie: zawsze i wszędzie, z nadzieją i bez nadziei, we wszystkich formach i na wszystkie strony. Sułkowski¹⁾ powiada: — „Trzeba znieść niewolę Polski i niewolę człowieka w Polsce“. Żeromski rozumiał zawsze, że ta Polska odrodzona, która prędzej, czy później zjawi się na świecie, musi być ziemią świętą, w której „krzywda“, zadawana człowiekowi przez człowieka istnieć nie będzie.

„Człowiek człowiekowi jest bogiem“ — oto podstawa jego wiary w Polskę. Widział dokładnie straszną rzeczywistość, w jakiej Polska mieści się od zewnątrz — i tę niemniej okropną rzeczywistość, która się w jej wnętrzu rozwija. Ale miał daleki ideał nowej Polski w swej duszy — i ten był drogowskazem, był mu czar-zielem, co go przy życiu utrzymywało.

...Otoczem wszystkich żywiołów społecznych i historycznych, indywidualnych i gromadzkich jest natura. Najwyraźniej też występuje esencja duszy Żeromskiego w jego stosunku do natury. Każdy poeta na swój sposób widzi i odczuwa naturę: inaczej widzi ją Reymont, inaczej Kasprowicz. Żeromski widzi ją tak, jak widzi człowieka — uczuciem wewnętrznem; utożsamia się ze zjawiskiem, wszystkie jego momenty wchłania w siebie, boleje jego boleścią, cieszy się jego radością. Wnikliwy liryzm ogarnia duszę Żeromskiego, kiedy przystępuje do opisu. Wyraz *opis* nie jest tu najwłaściwszy; jest to raczej *symfonia* tajemniczych znaków, jakimi natura przemawia do człowieka; symfonia tak drobniawo i szczegółowo zaobserwowanych tonów, że przestaje być obrazem, a utożsamia się z rzeczy-

¹⁾ Postać z dramatu Żeromskiego pod tym tytułem.

wistością zjawiska. Możemy przystępować do natury rozmaicie: okiem, uchem, płucami, nerwami, sercem; możemy ją rozważać intelektem, ogarniać uczuciem. Tę samą pasję, jaką Żeromski wykazuje w sprawach ludzkich, spotykamy w jego stosunku do natury.

...Żeromski kochał się w języku polskim, jako w zasadniczym materiale swojej sztuki. Zdania swoje budował starannie, aby każdemu słowu nadać własną fizjonomję, a w ich połączeniu osobną żywą melodję. Trzykroć i czterokroć własnoręcznie przepisywał i przerabiał swe utwory. Chodziło mu zawsze o to, aby jego mowa, gdzie trzeba była pełna i potoczysta; gdzie trzeba urywana i poszarpana. Chodziło mu zawsze o polifonję, aby nie powtarzały się te same wyrazy, te same sylaby, te same głoski: tak bowiem powstaje różnodźwięczna harmonja. Nie są to byle jakie martwe szablony słów: są to słowa żywe, barwne, ogniste, świetlane, wonne; są to słowa grzmiące, huczne, szleszczące, pieściwe, wiotkie, szorstkie, twarde; są to słowa wzruszające, rozrzewniające, wstrząsające, przerażające; są to słowa ze spiżu, z granitu, z marmuru, z jedwabiu, z krwi i potu, z łez i żółci, z zieleni, z mgły, z oparów, eteru, z promieni słońca.

W tych słowach jest cały świat. Ale Żeromskiemu nie wystarczy słownik codzienny, który przez ciągłe zużycie stał się na puste i banalne liczmany. Zna on tajemnicze kopalnie, w których odnalazł setki słów nieznanych, nigdzie niespotykanych, pierwszy raz wypowiedzianych. Z języka ludowego wydobywa słowa kieleckie, świętokrzyskie, lubelskie, podhalańskie, pomorskie, kaszubskie. Wydobywa słowa zapomniane, starożytnie, archaiczne, w dawnych kronikach i wokabularzach utajone.

Pomijając te wyrazy, które sam z żywej mowy ludowej zbierał, lubił szperać po słownikach, które jako najmilszą traktował lekturę. Czytał nieustannie słownik Lindego i gwarowy Karłowicza i kaszubski Ramulta. Znał je, nie rozłączał się z nimi nigdy, podróżował z nimi po świecie.

e) *Włodzimierz Jampolski*¹⁾.

...Jedna z pierwszych powieści Żeromskiego, *Syzyfowe prace*, poświęcona jest opisowi stosunków szkolnych, edukacji rosyjskiej w b. Królestwie.

Powieść ogromnej wartości; powieść — dokument i dzieło sztuki, przyczem obie te właściwości przenikają się w sposób nierozzerwalny. Materiał historyczny faktów i spostrzeżeń przepłócony został w formę przeżyć, już nie osobistych, lecz zbiorowych. W wyższym stopniu, niż w jakiegokolwiek innej powieści Żeromskiego bohaterem tu nie jest jednostka, lecz zbiorowość, młode pokolenie w latach około 1880. Liryka wspomnień, tęsknota za młodością, która — choć ciemna nieraz zbliiska — złotą się wydaje z oddalenia — jak krople ostatnie rosy, wypijanej przez słońce, jak podmuch wiatru pieszczą, gładzą łakę wydarzeń. Głęboko, lecz cicho bije serce, wyschły łyż, po których bardziej przenikliwym i głębszym stał się wzrok, spokojnie, szeroko opowiada pisarz, czasem tylko przerwie, spojrzy w dal, zamyśli się — i dalej rzecz swoją ciągnie. Powieść to u Żeromskiego najbardziej „normalna“, wyrównana, z zewnątrz częściej, niż z wewnątrz przedstawiająca przeżycia postaci — na cudze się wspomnienia i westchnienia rozdzieliło jedno wielkie wspomnienie i westchnienie. Jasna, melancholijna odległość horyzontu, gdzie nic spojrzenia nie zamąca, gdzie się patrzy i wspomina.

Jakież rezerwy mają ci młodzieńcy, wstępujący we wrogi świat? Mały szlachcic Marcin Borowicz ma ojca pocziwego, nieporadnego; Andrzej Radek, syn fornalski, ma rodziców, którzy dziwią mu się, szanują, nie rozumieją — ludzi obcych; „Figa“ Walecki ma matkę sklepiczarkę, tyrana-bigotkę. Na marginesie tego życia, wspomnienia — wykopaliska z r. 1830, dwaj radcy staruszkowie, wnoszący we współczesność nudne dla niej spory przeszłe, pogardę dla niej, niewiarę, na wyżynach doświadczenia zdobyte — i gdzieś tam ukrytą tęsknotę, zamknięty

¹⁾ Z książki: *Stefan Żeromski, duchowy wódz pokolenia* (1925).

w duszach żal — „byle znów nie cierpieć, byle trwać w tem, co jest, i nowej klęski nie ponieść“. Lecz pozycją obronną, najmocniejszą w tej szarej, zrezygnowanej, tak sobie żyjącej monotoni życia — to kobieta, przed innemi pani Borowiczowa. Jest w kobiecie takiej, jak w kwiecie, pełnia życia i uczucia, ujawniana, choć niewypowiedziana, w każdym słowie, uczynku, wdzięku ruchów, subtelności spojrzenia, takcie serca, pogrobowem po niej wspomnieniu — jest polskość, prześwietlająca wszystko, choć nienazywająca siebie samej po imieniu, mieści się owa najwyższa kobieca niepolityczna polityczność, instynktowne, jak u mrówki, pszczoły, tworzenie komórki dziejowej przez działanie, urabianie duszy. Całość planu, niedostępna rozumowi, organicznie tkwi w uczuciu.

Lecz powoli rodzą się czyny. Z czwartaków studenckich Warszawy rozesłane zostały wici. Zabłąkał się skądś do Pajęczyna Paluszkiewicz — Kawka, krwią plujący, śmieszny i prześladowany, święty pozytywista, wydobył syna fornalskiego, Andrzeja Radka, na powierzchnię i na całe życie wskazał mu drogę, którą ma kroczyć. Z Warszawy zaś, z kółek samokształceniowych, przybył siódmoklasista z Siegerów Bernard Zygiel i on, Polak z Niemców, metodyczny, spokojny, trochę ociężały — wśród tych Borowiczów i Radków rozżarzył płomień polskości.

Trzy pokolenia profesorskie wśród uczących: starzy, jeszcze z czasów Królestwa Kongresowego, nauczyciele Polacy, na ostatni plan zepchnięci, ostrożni, z bólem wspomnień-zmór, wtłoczonych do wnętrza. Moskale krzykliwi, awanturujący się, srodzy, lecz niekonsekwentni, dający się podejść i oszukać — to pokolenie drugie. A wreszcie „obrusitiele“ istotni, najznakomitsi: dyrektor Kriestobriadników ze swoim sztabem — ludzie zimni, uprzejmi, nawet przyjacielscy, wdzierający się do dusz i deprawujący młodych.

Poprzez przeszkody, poprzez łąny życia, na których nie samo zboże ideałów rośnie, lecz i kwiaty młodzieńczego wesela — poprzez zakątki, w których tak się sobie żyje — dwie zmierzają

ku sobie — i łączą się — drogi: droga miękka, kapryśna, nieraz niekonsekwentna, syna szlacheckiego Marcina Borowicza, która, kolując po wertepach młodzieńczej beztroskliwości, potracając o przepaść zrusyfikowania się, doprowadza do twardego gruntu, podmurowanego doświadczeniem i bólem, twardą szkołą życia, oduczającą miękkości — i twardy, prosty, kurzem pokryty chłopski gościniec Andrzeja Radka. Dłonie ich łączy Polak z Niemców Bernard Zygier, a melancholijnego uroku przedwczesnej goryczy dodaje temu przymierzui przedwiośnie miłości młodzieńczej, zwarzony mrozem wypadków cień Biruty — panny Stogowskiej, kapłanki-abnegatki, ofiary losu, zjawiającej się na chwilę oczom Marcina Borowicza, a na zawsze duszy, jako jej nowe bogactwo. — Wiosna polskości w duszach, choć jeszcze nikła, nieśmiała, despotyzmowi losu poddana.

V.

MATERJAŁ PORÓWNAWCZY.

(Wyjątki z utworów niektórych innych autorów polskich, przedstawiających stosunki szkolne w Polsce).

A. Jędrzej Kitowicz (1728—1804).

(Z dzieła: Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III).

S z k o ł y.

Lubo niektóre dzieci pojętniejszych zmysłów od pięciu lat zaczynano uczyć czytać w domu, nie oddawano ich atoli powszechnie do szkół, aż w roku siódmym zaczętym lub skończonym.

Dla mieszkających po miastach pierwsza szkoła była parochjalna¹⁾, przy farze lub katedrze: gdzie się znajdowała; po wsiach ztrudna gdzie przy farze znajdowała się taka szkoła. Dlatego szlachcic, mieszkający na wsi, nim oddał dzieci do szkół, musiał w domu wprzód je nauczyć czytać, przyjmując na ten koniec jakiego nauczyciela, jeżeli między domowymi nie miał nikogo, do tej usługi sposobnego.

W szkole parafjalnej uczono samych chłopców; dziewczęta zaś oddawano do niewiast statecznych, tem się bawiących, które ich uczyły samego czytania po polsku, dzierzgania pończoch i szycia rozmaitego. — Majętniejszych córek uczono języka niemieckiego i francuskiego, który już zaczął wchodzić

¹⁾ Parafjalna.

w modę. Panów wielkich córki uczone były tego wszystkiego w domu przez ochmistrzynię, a przytem przez metrów ¹⁾ pisania i tańcowania.

Chłopców w szkole parafjalnej uczono czytać na elementarzu i pierwszych początków łaciny na gramatyce, Alwarze lub Donacie ²⁾. Katechizm czyli nauka religii była najpierwszą przed wszystkimi innemi. Kara szkolna na tych, którzy się uczyć nie chcieli, albo swawolę jaką popełnili, była niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie albo plagi. Instrumenta kary: *placenta*, to jest skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym obdłużnym osadzona, którą za omyłki w czytaniu lub napamięć tego, czego się nauczyć naznaczono, odmawianiu, bito w rękę; za zupełne nienauczenie się wydziału swego lub za swawolę, albo inne przestępstwo praw szkolnych, instrument kary różga brzoźowa albo dyscyplina, pospolicie rzemienna, u surowszych zaś nauczycielów z sznurków nicianych tęgo spleciona, siedm lub dziewięć odnóg mająca, którą to różgą lub dyscypliną bito na ciało, uderzając najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, według cierpietliwości ³⁾ ciała i według surowości nauczyciela. Na sporszych chłopczaków, więcej nad lat siedem starszych, używano kańczuga, a tym nie bito na ciało, któreby kaleczył, ale przez suknie, a przynajmniej przez spodnie, a i tak, silno przyłożony, dosyć bólu zadawał. Znajdowały się atoli tak twardego ciała dzieci, że kańczugowe plagi na same ciało wytrzymały bez zbyt wielkiego bólu; lecz te, które miały tak twarde ciało, były też pospolicie równie tępych zmysłów i małe w naukach czyniły postępy.

¹⁾ Metr — nauczyciel (z franc.).

²⁾ Alvarez — jezuita portugalski XVI w., autor słynnej gramatyki łacińskiej; Donat — gramatyk łaciński IV w. po Chr.

³⁾ Wytrzymałości.

Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parochjalnej, a ten mało gdzie używany. Kiedy który chłopiec nieprzyzwoicie się w izbie sprawił, tedy oskarżony musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku, naśrodku szkoły wystawionym; tam każdy współstudent, zdjąwszy but z nogi, uderzył go raz cholewą, i to była kara wstydzająca, niebożąca, występкови równa.

Przekrzesanych w szkole parochjalnej w pierwszych rudymenciech¹⁾ łaciny oddawano do szkół publicznych, jezuickich lub pijarskich, które po wszystkich miastach, w których się znajdowały, bywały tak liczne, że się w niektórych po tysiącu studenta znajdowało. Wszyscy mieszczenie i szlachta, i panowie najwięksi oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja i karność dla wszystkich była równa, bez względu na panicza i chudego pacholka, na szlachcica i mieszczańka albo chłopka. — Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszyimi zrównani, mieli jednak tę dla siebie preferencją²⁾, że zasiadali w szkole pierwsze ławy; chyba, że się który źle uczył, to poszedł *ad scamnum asinorum*³⁾. Była to ława przy piecu, tak nazywana dla tych, którzy się uczyć nie chcieli; a jeżeli i taka degradacja nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich szkołach, wołając za nim: *Asinus asinorum in saecula saeculorum*⁴⁾, do której ostatniej, a nieznośnej hańby ledwo kiedy przychodziło; bo, jeżeli który doszedł korony słomianej, już się tak pocił i mozolił nad książką, że oprowadzenia uniknął i wkrótce się z ławicy oślej wydobył, abdykowawszy słomianą koronę kołkowi, na którym zawsze wisiała, wiele razy głowy do niej nie było; zapatrywali się na nią leniwi do nauki, jak na straszdyło, chętni zaś, jak na figiel, dla śmiechu wymyślony.

¹⁾ Początkach.

²⁾ Przewagę (z łac.).

³⁾ Do oślej ławy (łac.).

⁴⁾ Osieł nad osłami na wieki wieków. (łac.).

Nauka dzieliła się na szkoły. Pierwsza szkoła u jezuitów zwała się infima¹⁾, i dzieliła się na dwie, na infimę *minorum* i na infimę *majorum*²⁾, lubo w obydwóch niemal jedna była nauka: zgadzać *adjectivum cum substantivo*³⁾ i *casus nominum cum temporibus et modis verborum*⁴⁾, z tą tylko różnicą, iż w infimie mniejszej wybierali takie składy, co łatwiejsze, w infimie większej, co trudniejsze; i druga różnica, że drobniejsze dzieci, przychodzące do szkół, oddawano do infimy mniejszej, a sporsze do infimy większej. U pijarów tego gradusu⁵⁾ szkoła zwała się parwa⁶⁾; uczono w niej jednej tego samego, co w dwóch infimach u jezuitów. Po parwie następowała gramatyka, od której począwszy aż do końca jedna była tak u pijarów, jak u jezuitów szkół gradacja⁷⁾, to jest: „gramatyka, syntaktyka⁸⁾, poetyka, retoryka⁹⁾, filozofja i teologja“, do której ztrudna studenci postępowali, chyba ci, którzy już w szkołach do stanu duchownego czuli powołanie; którzy zaś nie mieli tego ducha, szkoły najwięcej kończyli na filozofji, a często na retoryce. „Gramatyka“ uczyła składać małe i krótkie sensa prostemi wyrażeniami. — „Syntaktyka“ dawała sposoby, jak mowę prostą okraszyć rozmaitemi figurami i słów wykretami. — „Poetyka“ uczyła *quantitatem*¹⁰⁾ łacińskich słów, które się krótko, a które przeciągle wymawiać powinny; także pisania wierszy łacińskich i polskich, przez które się dowcip rozprzestrzeniał; a tak już z łaciną w syntaktyce przetartą, z dowcipem w poetyce rozprzestrzefonem, promowowało się do „Retoryki“, sztuki dobrze

1) Najniższa.

2) Młodszych i starszych.

3) Przymiotnik z rzeczownikiem.

4) Przypadki imion oraz czasy i tryby czasowników.

5) Stopnia.

6) Mała (łac.).

7) Stopniowanie.

8) Składanie.

9) Nauka wymowy.

10) Illoczasu.

i długo w jakiej materji mówienia, dobrze myśli swoich, bądź w dyskursie¹⁾, bądź w pisaniu, tłumaczeniu. Co jako każdemu człowiekowi, w jakimkolwiek sposobie życia zostającemu, jest wielce potrzebne, tak też edukacja młodzieży szkolnej to za najpierwszy cel miała i do niego wszystkie swoje usiłowania zmierzała. „Filozofja“ miała swój kunszt inny wcale od szkół przed sobą opisanych; ale ja przepraszam czytelnika mego, że mu o niej doskonałej nie dam informacji, ponieważ jej nie traktowałem, na retoryce, trzy lata słuchanej, skończywszy moje szkoły. Ilem słyszał o tej nauce, zabawia się poznawaniem natury czyli przyrodzenia, przyczyn i skutków, wniosków i wypadków, prawd niezawodnych; ale zapomniałem nasamprzód położyć, że uczy najprzód terminów pewnych, przez które się w innych filozoficznych sciencjach²⁾ krótko i dokładnie tłumaczyć można. Dzieliła się ta nauka w szkołach ordynaryjnych³⁾, tak pijarskich, jak jezuickich, na: dialektykę, fizykę, logikę i metafizykę; dla niektórych zaś studentów kilka razy w tydzień po godzinie dawano matematykę.

...Takie było *compendium*⁴⁾ szkół i nauk publicznych za panowania Augusta III. Te nauki były wolne: każdy student, który się do nich udał, musiał albo się uczyć według sił swoich, albo, nie nauczając się, wytrzymować kary szkolne, albo, nie chcąc się wcale uczyć, ustąpić ze szkół. Było to jakieś nakazanie, którego mocno doglądali profeserowie, żeby studentci, oddani do szkół, koniecznie z nich podług możliwości dowcipu swego profitowali⁵⁾, osobiwie w mniejszych szkołach, aż do retoryki, żeby rodzicom darmo kaszy nie zjadali. Oprócz zaś tych nauk uczono potrosze w pewne godziny języków niemieckiego i francuskiego, tudzież arytmetyki, ale nie z takim

1) W wywodzie ustnym.

2) Naukach, umiejętnościach (z łac.).

3) Zwyczajnych.

4) Zakres.

5) Korzystali.

rygorem, jak łaciny; wolno było tych przydatków uczyć się serjo, albo tylko się przypatrować, być na lekcji i nie być, nie karano za to, ani nie strofowano.

Jedna tylko łacina, a raczej konstrukcja¹⁾ do wszelkiego języka zdalna, była celem natężenia pracy nauczycieli; tak tego doglądano, że nawet profesor, kiedy niedbale uczył, od swojej zwierzchności odbierał naganę, albo był od uczenia szkół oddalony i do innej funkcji niższego szacunku obrócony. Nauczycieli szkolnych, którzy niższych szkół uczyli, nazywano magistrami, i ci byli klerycy zazwyczaj *minorum ordinum*²⁾. W wyższych szkołach nauczycieli, począwszy od retoryki, nazywano patrami³⁾, a to z przyczyny, iż w tych szkołach dający lekcje już byli kapłani.

Nie dosyć było na lekcji w szkole dawanej i na profesorze czyli nauczycielu szkolnym; byli inni, nazwani dyrektorami, którzy w jednych stancjach z studentami mieszkali; tam im lekcję szkolną, od profesora zadaną, tłumaczyli, powtarzali i do zrozumienia jej oraz do nauczania się dopomagali; z stancji do szkoły i z szkoły do stancji studentów swoich zaprowadzali; na rekreacje⁴⁾ lub jakie nawiedziny zawsze z nimi chodzili. Zgoła zawsze ich na oku mieli. A kiedy studentów zaprowadzili do szkoły, sami szli do swojej. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni od ojców studentów. Więcej o dyrektorach będzie niżej.

Trzeci gatunek studentów był: chłopcy służący, ubogich rodziców synowie, najwięcej szlacheccy, u synów pańskich i majątniejszej szlachty na służbie będący; ci, służąc panom swoim, czasem z nimi do szkół chodzili i częstokroć ich w nauce przewyższali. Posługa ich była panięciu, u którego lub u których chłopiec służył, a przytem i panu dyrektorowi, łóżko posłać,

¹⁾ T. j. budowa gramatyczna języka.

²⁾ Niższych święceń.

³⁾ Ojcami (z łac.).

⁴⁾ Rozrywki, zabawy (z łac.).

izbę zamieść, suknie i buty wychędożyć, do stołu służyć, książki za panięciem do szkoły i ze szkoły nosić i pójść po sprawunku, gdzie posłano. Tym sposobem bardzo wiele edukowało się szlacheckich synów i wychodziło na wielkich ludzi. Lecz, skoro księża pijarowie założyli konwikt osobny dla paniąt ¹⁾, a za ich przykładem, z początku ganionym, poszedłszy księża jezuici, wystawili drugi, szkoły publiczne zdrobniały. Krzywda edukacji publicznej stała się dwoista: raz, iż co lepsi profesorowie dawani bywali do konwiktów, a do szkół ordynaryjnych podlejsi ²⁾; druga, że dyrektorowie i chłopcy służący stracili sposób uczenia się w konwiktach, albowiem nie potrzebowano dyrektorów, powinność których zastępowali profesorowie, ustawicznie mieszkając, jadając i przestawając z konwiktorem, na ody ³⁾, jak w tureckim seraju ⁴⁾, podzielonymi. Nie potrzebowano też i chłopców, bo na ich miejsce przyjęto lokajów, po jednemu do czterech, a w jednej odzie mieściło się dwóch konwiktów. Oda jest to wielka sala, mająca po obu stronach komórki, dwa łóżka i dwa stoliki obejmujące, bez drzwi, zamiast tych firankami zasłaniane. Co dwie ody to trzecia stancja dla pijara pod zamknięciem; wkońcu zaś stancja dla profesora najstarszego.

...Trzeci gatunek studentów był kalefaktorowie ⁵⁾. Byli to chłopacy sporzy, po lat 20 i więcej mający, którzy powinność mieli w piecach palić i drwa rąbać i, jeżeli który student zasłużył, aby był karany, tedy to kalefaktor w końcu zapiecka za zasłoną sprawiał takiego winowajcę, nie profesor, a to dlatego, żeby przystojność względem innych studentów i profesora zachowaną była, gdyż się nieraz trafiło, że chłopiec niecierpliwy od różgi

1) Konwikt dla paniąt — t. zw. *Collegium Nobilium*, założone przez Stanisława Konarskiego w Warszawie w r. 1740.

2) Gorsz.

3) Oda (z tureck.) — izba.

4) Seraj (z persk.) — pałac.

5) Kalefaktor — sługa szkolny (z łac.).

brzozowej, jakgdyby od rhabarbarum¹⁾ miał operacją. Do jednego pieca albo do dwóch był jeden kalefaktor, na którego zapłatę i na drwa składali się studenci możniejsi, a resztę, gdy mała kolekta²⁾ była, opatrowali z kolegum jezuici i pijarowie, dając mu przytem wikt z niedojadek refektarzowych³⁾. Narąbawszy drew i napaliwszy w piecu, resztę czasu kalefaktor z innymi studentami obracał na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwyczaj dowcipu tępego będących, rzadko który promowował się do wyższych szkół; nauczwszy się czytać, pisać i cokolwiek liznąwszy łaciny, porzucali szkoły, udając się do innego jakiego sposobu życia.

O dyrektorach⁴⁾ to jeszcze mam przydać, iż dwojacy byli: jedni rocznie płatni, którzy służyli jednemu jakiemu panięciu albo też i kilku jednych rodziców synom, szlacheckiej lub miejskiej kondycji; drudzy, którzy miewali pod swoją dyрекcją zbieraną drużynę chudych pacholków⁵⁾, od których brali zapłatę kwartalną po kilka złotych na kwartał od jednego, a czasem też obiady zkolei. Kondycje takie czyli partje studentów zazwyczaj rozdawał dyrektorom ksiądz prefekt szkół, doskonałym lepsze, podlejszym podlejsze. Tacy dyrektorowie, jako ubodzy, byle się skromnie i bez noty⁶⁾ sprawowali, mieli wolność asystować na weselach za družbów i oratorów do oddawania wieńca pannie młodej; która to ceremonja jeszcze za moich szkół trwała, ale już tylko między pospółstwem, z domów szlacheckich i miejskich dystyngwowanych⁷⁾ będąc wygnaną. Za usługę na weselu taki pan družba bierał talar bity i chustkę od panny młodej, co dla chudego pacholka było niezłą gratką. Urządzali

¹⁾ Korzeń rośliny *rheum barbarum*, działającej rozwalniająco.

²⁾ Zbiórka.

³⁾ Refektarz — jadalnia klasztorna.

⁴⁾ T. j. korepetytorach.

⁵⁾ Ubogich.

⁶⁾ Nota — znak przewinienia (z łac.).

⁷⁾ Wyróżniających się (z łac.).

się także tacy chudzi dyrektorowie za pisarzy cechowych po wielkich miastach, do różnych cechów, osobliwie rzeźnickiego, piekarskiego i szewskiego, jako najludniejszych, a zatem dosyć do czynienia na schadzках swoich mających. Samo przyjmowanie do terminowania uczniów i wyzwalanie tychże na czeladników lub majstrów, często się trafiające, potrzebowało pisarza, któryby te dzieje cechowe mądrze i pięknym charakterem napisać umiał. Było zaś według ludzi nieuczonych mądrze, kiedy niezrozumianie, a pięknym charakterem, kiedy patent lub list wyzwolony wypisany był dużemi literami, a brzegi jego wieńcem z malarskiego złota wyklejone.

Nakoniec ewangelje wspierały ubogich studentów. Był zwyczaj po miastach, iż dyrektorowie szkółek parafjalnych wysyłali chłopaków po domach w dni niedzielne, aby tym, którzy nie byli na kazaniu, czytali ewangelję. Za co słuchacze ordynaryjnie czytającemu dawali po groszu¹⁾, a noszącemu wodę święconą wrzucali w dzbanek po szelągu...

Dalsze ćwiczenia szkolne.

Niedosyć było na usilności profesora, chcącego dla swojej sławy i zasługi wlać umiejętność tego, co uczył, w uczniów; niedosyć było przez kary, wyżej opisane, przymusić gnuśnych, ażeby się koniecznie uczyli. Starali się jeszcze po wszystkich szkołach nauczyciele sztucznemi, a jak najskuteczniejszymi sposobami zapalić w studentach taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała. Wymyślono tedy emulusów, po polsku zazdrośników, dzieląc całą szkołę na pary, jednego przeciw jednemu, wyrzucawszy ostatniego, jeżeli nie miał pary, który uniknął emulacji²⁾, ale miał zato pilniejsze nad innych na siebie oko profesora. Ci tedy emulusowie przesadzali się we wszystkim jedni nad

¹⁾ Dawny drobny pieniądz polski, srebrny albo miedziany.

²⁾ Współzawodnictwa (z łac.).

drugich, a który nad swoim przeciwnikiem, bądź w lekcji, bądź w jakim zapytaniu znienacka zadaniem, bądź w pisaniu okupacji¹⁾ otrzymał górę, za sądem magistra profesora miał wolność karać zwyciężonego przeciwnika; co bardziej gniewało i wstydziło, niż bolało, zatem do oddania za swoje przez przesadzenie w nauce pobudzało. Druga emulacja była powszechna, jednej połowy szkoły przeciw drugiej połowie.

Jedna strona szkoły nazywała się: *pars Romana*²⁾, i ta była starsza. Druga strona zwała się: *pars Graeca*³⁾, i ta była młodsza. Żadna strona nie czyniła rzetelnego awantazu⁴⁾ ani szkody; jeden punkt honoru, wbity studentom w głowę, przydawał okraszy jednej stronie, a ujmował drugiej; nad każdą stroną na ścianie w tyle ławek wisiała tablica z napisem strony, której służyła, to jest: *pars Graeca, pars Romana*.

Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w lekcji szkolnej nad drugą albo na zadane pytanie od profesora odpowiedziała lepiej, niż druga, albo przeciwnej stronie zadała taką trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, a zadająca strona rozwiązała ją sama z pochwałą profesora, tedy w takowym i tym podobnym razie profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: *decem laudes, centum laudes, quinquaginta laudes, mille laudes*⁵⁾. Otóż takie *laudes* strona, od profesora biorąca, zapisowała na swojej tablicy, zbierając je przez cały tydzień lub miesiąc, według obfitości lub niedostatku. Gdy przyszła sobota albo ostatni dzień miesiąca, rachowały się z sobą strony; mająca więcej rugowała z ławek mającą mniej, przesiadając się na jej miejsce, a swego stronie zwyciężonej ustępując; i to był cały zysk wygranej.

¹⁾ Zadania.

²⁾ Strona rzymska.

³⁾ Strona grecka.

⁴⁾ Korzyści.

⁵⁾ Dziesięć pochwał, sto pochwał, pięćdziesiąt pochwał, tysiąc pochwał.

Która strona wygrała, zawsze się pisała *pars Romana*, a która przegrała, musiała przyjmować imię *partis Graecae*, chociażby przed przegraniem była *pars Romana*. Profesorowie te sta i tyśiące, którymi tak suto szafowali, jedne nazywali *laudes*, a drugie *errores* ¹⁾, jakoby przeciwnej strony. Co na jedno wychodziło i nic nie czyniło, a przecież ambicją w studentach do pierwszeństwa podżęgało.

Honory także szkolne były niemałym bodźcem do nauki. Te zaś były następujące: dyktator ²⁾, *imperatores* ³⁾, audytorowie ⁴⁾, *auditor auditorum* ⁵⁾, *ensor* ⁶⁾. Dyktator miał swoją ławkę osobną naboku katedry profesora; jak dyktator rzymski w nagłych tylko i zdesperowanych ⁷⁾ potrzebach Rzeczypospolitej bywał kreowany ⁸⁾, tak też i ten szkolny. Kiedy cała szkoła zagadnioną była jaką kwestją, na którą odpowiedzieć nie umiała, a jeden, jakoby salwując honor całej szkoły, oświadczył się, iż chce na tę kwestję odpowiedzieć, i w samej rzeczy odpowiedział, albo w inakszy sposób podług rzeczy, o którą szło, zadosyć uczynił, tedy nieodwłocznie przez deklaracją ⁹⁾ profesora z okrzykiem całej szkoły zostawał dyktatorem, której to godności te były przywileje: pierwszy: ławka osobna, drugi: independencja ¹⁰⁾ od audytorów i cenzora; trzeci: że zarobione na swoją stronę *laudes* wolno mu było której chcieć stronie podarować: bądź *parti Romanae*, bądź *parti Graecae*. A że dyktator za każdą

¹⁾ Błędy.

²⁾ Dyktator — tutaj: pierwszy uczeń w klasie.

³⁾ *Imperatores* — tutaj: przodownicy młodzieży.

⁴⁾ *Audytor* — tutaj: uczeń, wysłuchający kolegów lekcji przed przyjściem nauczyciela.

⁵⁾ *Auditor auditorum* — uczeń, wysłuchujący audytorów.

⁶⁾ *Censor* — sędzia obyczajów.

⁷⁾ Rozpaczliwych.

⁸⁾ Mianowany.

⁹⁾ Oświadczenie.

¹⁰⁾ Niezależność.

zasługę dziesięć razy więcej zyskiwał *laudes*, niż wszyscy inni studenci, więc której stronie on podarował niezliczone krocie i miliony swoje, ta zazwyczaj drugą przewyższyła. Chcąc tedy strona stronę zwyciężyć, różnemi podarunkami, jabłkami, cukierkami, nożykami i tym podobnemi wielkiego u dzieci szacunku fraszkami dokupywała się łaski dyktatorskiej. Czwarty przywilej, że z żadnej powinności szkolnej, jako to z pensów ¹⁾, okupacji domowej, *exercitium* ²⁾ szkolnego, skryptury ³⁾ i tym podobnych nie mógł być macany od nikogo, tylko od samego profesora; który, jeżeli pana dyktatora w nadzieję swoich przywilejów opuszczonego w czemkolwiek udybał niegotowym, natychmiast degradował go *ad scamnum asinorum* ⁴⁾.

Skąd za poprawą defektu ⁵⁾ łatwo było wydobyć się, przyjść między drugich, a nawet i rekuperować ⁶⁾ miejsce dyktatorskie, na które łatwiej się było dostać, niż się na niem długo utrzymać. Bowiem o dyktatora odbijały się wszystkie najtrudniejsze, i niemal enigmatyczne ⁷⁾ kwestje ⁸⁾, od dyrektorów swoich dyscypułom ⁹⁾ dla domieszczenia ich do godności dyktatorskiej pokomponowane ¹⁰⁾. Był to cel, do którego zewsząd strzelano, osobliwie w ten dzień, kiedy strony grecka i rzymska miały się między sobą z laudesów ¹¹⁾ rachować i miejsca sobie odbierać. Albowiem ten, który dyktatora spędził, zostawał panem jego wszystkich laudesów, a zatem, gdy je której stronie aplikował ¹²⁾, każda mu wdzięcznością dobrze kieszeń napakowała. — Imperato-

1) Pensum — zadanie.

2) Ćwiczenia.

3) Ćwiczenia pisemnego.

4) Do ośleń ławy.

5) Błędu.

6) Odzyskać.

7) Zagadkowe.

8) Zagadnienia.

9) Uczniom.

10) Ułożone.

11) Pochwał.

12) Oddał.

rowie mieli ten zaszczyt, że w ławkach szkolnych pierwsze zasiadali miejsce, na procesjach publicznych oni z łaskami przed swoją szkołą paradowali i taryfę¹⁾ studentów każdy swojej partji trzymali, zapisując w nią każdego studenta podług relacyj audytora, który umiał i jak umiał, albo wcale nie umiał pensa. Pensa był to wydział półdniowy alwaru albo gramatyki, którego się pod karą plag nauczyć trzeba było: przed południem raz, po południu drugi. Imperatorami zawsze bywali panięta albo majątniejszych mieszczan dzieci, które w lepsze od innych sukienki przyodziane, urodziwsze, mogły piękniejsze czoło szkoły wydawać, ale przytem, jeżeli nie lepiej od drugich, to przynajmniej równo z drugimi trzeba się było uczyć i w postępach najmniej mieć płochości.

Audytorowie i audytor audytorów nie mieli żadnej-prerogatywy²⁾, tylko cokolwiek reputacji, iż się dobrze uczyli, kiedy zostali audytorami, ponieważ tego urzędu nie powierzano tępym dowcipom, ale bystrzejszym i nauki pilnym. Obowiązani byli audytorowie przychodzić do szkoły przed wszystkimi, ażeby wygodnie przed nadejściem profesora mogli wysłuchać pensów studentów i podać do zapisu imperatorowi. Audytorowie po wysłuchaniu innych sami swoje pensa odmawiali przed audytor-em audytorów, a ten znowu odprawiał swoje przed którym-kolwiek audytorem. Oprócz pensów dziennych, każdy student obowiązany był w sobotę powiedzieć czyli odmówić napamięć pensa całego tygodnia; i gdy ich nie umiał, był karany, a oprócz kary z tych pensów dochodzili jego mocnej lub słabej pamięci. — Cenзор w każdej szkole był jeden, czasem sekretny, czasem jawny, podług woli profesora; ale choć on był sekretny czyli tajemny, czuli go przez skórę studenci. Wybierali profesorowie na ten urząd z chudeuszów³⁾ statecznego i zazwyczaj zauszniczka.

1) Wykaz.

2) Przywileju.

3) Biedaków.

— On notował postęпки studentów, tak w szkole, ażeby się między dziećmi jakowa nieprzystojność nie działa, jakoteż w kościele, i w nim najbardziej, ażeby skromność jak największa zachowana była. Miał do tego kartelusz¹⁾ z imionami studentów całej szkoły, który się nazywał *petulantes*²⁾. Był to papier ponastrzygany; każda nacinka miała na sobie literę początkową nazwiska swawoli, jaką kto robił. Co się lepiej wytłumaczy samej rzeczy przytoczeniem. Naprzykład: gadał który student w kościele, to cenzor w linji jego nazwiska zagiął nacinkę z literą g., to jest *garriebat*; oglądał się, to odgiął nacinkę z literą c., która znaczyła *circumspiciebat*; śmiał się, to odgiął nacinkę z literą r., *ridebat*. — Jeżeli zaś albo szturchnął drugiego, albo za łeb pociągnął, albo inną jaką akcją nieskromną popełnił, to zagiął cenzor nacinki z literą p., *petulantiam* oznaczającą. A gdy wiele porobił rozmaitych nieprzyzwoitości, to zagiął nacinkę z literą albo jedną, albo dwiema, albo trzema x., która litera jedna znaczyła kilkakrotnie nieprzyzwoitości, xx. znaczyły więcej swawoli, a trzy x znaczyły swawolnika bez końca i miary. W sobotę był egzaminowany przez profesora *petulantes* i egzekucja za nim następowała według przewinienia. Jeżeli był cenzor jawny, a przeciw jego zanotowaniu czyli obwinieniu wywiódł się obwiniony świadectwem innych studentów, mających u profesora kredyt³⁾, pan cenzor odbierał karę *talionis*, po polsku wet za wet.

Ale, jeżeli był sekretny, ciężko się było przeciw takowemu obronić, a przynajmniej nie można było żądać z niego satysfakcji, bo, jak on taił się przed studentami, aby nie był poznany, tak też studenci udawali, jakby kto nim był, nie wiedzieli. Lecz, taki cenzor musiał się ze szkół wynosić zawczasu przed wakacjami, jeżeli nie chciał na pożegnanie mieć skóry wytrzepanej, którego szczęścia nieraz się i widocznemu cenzorowi dostawało. Lecz

¹⁾ Kartkę.

²⁾ Winowajcy.

³⁾ Zaufanie.

jeżeli się niebardzo wiernie obchodził z swoim urzędem i występki notowane pozwolił u siebie wykupować, to się miał dobrze i bezpiecznym zostawał od guzowego pożegnania. Jeżeli też jakim przypadkiem wydała się jego niewiara, ocięto, jak kota i z urzędu zrzucano. Takie były sposoby przychęcania młodzieży do nauki oraz wkładania i do pobożności, i przystojnych obyczajów.

Wakacje od nauki rocznej czyli zamknięcie szkół poczynają się od św. Ignacego i trwały do św. Idziego, to jest od ostatniego dnia lipca do 1 września. Na ten czas rozjeżdżali się studenci do domów rodzicielskich, a profesorowie także według zwyczaju zakonów odmieniali się do innych kolegów lub też, którzy się nie odmieniali, jakto w akademjach, spoczywali przez ten czas po pracy rocznej.

O z a b a w a c h s t u d e n c k i c h .

W biegu szkolnych nauk były dwa dni, w każdym tygodniu studentom na rekreację czyli rozerwanie umysłu, pracą szkolną utrudzonego, dane; a te dni były wtorek i czwartek, i to nie zawsze całe, lecz częściej po pół dnia, zaczynając od południa; w maju niemal zawsze bywały całe te dni na rekreacją studentom oddawane; kiedy zaś po wtorku albo po czwartku następowało jakie święto, to w takim przypadku nie dawano rekreacji ażeby wiele czasu naukom nie ujmować. Dlatego i rekreacje, albo święta, zupełnie od nauki studentów nie uwalniały. Naznaczano pomierne pensa, których trzeba się było nauczyć, i okupacją, którą w czasie rekreacji lub święta trzeba było napisać; inaczej, gdy się pierwszego albo drugiego nie przyniosło do szkoły, po wesołej rekreacji następowały płaczliwe pod batogiem lamentacje.

Na rekreacją wychodzili studenci hurmem z profesorami i dyrektorami, lecz niekoniecznie wszyscy; kto chciał, wolno mu było zabawiać się w osobnej małej kompanji. Zabawy na

rekreacji zwyczajne były: piłka i palcat¹⁾), których też zabaw studenci i między szkołami, nim się zaczęła lekcja szkolna, zażywali.

Piłka był to kłębek z wełny albo z pakuł, tego po wierzchu niciami osnuty, potem skórą obszyty albo też niciami różnego koloru w siatkę obszyty; niektórzy kładli w sam środek piłki chrząstkę rybią lub cielecą dla lepszej sprężystości. Ta piłka używana była dwojako: raz do trafiania nią w rękę, na ścianie wyciągnioną, albo też do uderzenia o ziemię, a łapania jej na powietrzu; drugi raz podczas rekreacji w polu do wyrzucania jej na powietrze jak najdalej i uganiania się za nią całemi partjami. Pierwsza igraszka piłką uczyła trafności do celu ręcznym pociskiem. Snać jeszcze od owego czasu wprowadzony ten zwyczaj do szkół, kiedy na wojnach proc, kamieni i innych pocisków używano. Druga dawała gibkość ciała, szybkość w bieganiu i sprawność w ręku chwytaniem piłki na powietrzu, która od jednego zlekka w miarę piersi podrzucona, a od drugiego kijem z boku naukos silno uderzona, tak się wgórę wysadziła, że jej na czas okiem dojrzeć nie można było. Więc wszyscy tej strony gracze, ku której też piłka rzuconą była, z natężeniem oczu wgórę i z gotowością rąk pilnowali na piłkę, nadół się spuszczającą, gdzie im się ukaże; skoro ją zoczyli, tam szybkością jak największą, jeden drugiego ubiegając, pędzili wszyscy na schwytanie piłki na powietrzu. Jeżeli bowiem nieschwytana od żadnej ręki upadła na ziemię, już była gra przegrana; która nie miała żadnych zakładów ani stawek, tylko same słowne chluby z wygranej albo śmiechy z przegranej. Takowa gra zwała się palant i zabawiali się z nią wraz z dziećmi dyrektorowie i profesorowie dla agitacji²⁾).

Drugą zabawą podczas rekreacji były kije, zwane palcatami, w które pojedynekowali studenci, dwaj a dwaj z sobą. Ten sposób wielce był potrzebny dla stanu osobliwie szlacheckiego,

¹⁾ Laska.

²⁾ Dla ruchu.

jako wprowadzający młodzież do zręcznego w swoim czasie użycia szabli, którą nasi przodkowie na wojnach najczęściej dokazywali. Jakoż było się czemu przypatrzeć, kiedy się dwaj dobrali do palcatów, bili się, aż do zmordowania, a tak sztucznie się każdy palcatem swoim układał, zastawiając się ze wszelkich stron, a oraz wzajemnie adwersarza¹⁾ swoim przycięciem sięgając, że żaden żadnego ani w głowę, ani w ramię, ani po bokach nie mógł dosięgnąć. I tacy byli to już, jak metrowie do wprowadzania i uczenia drugich. Co się trafiało i między profesorami młodszymi, tak jezuitami, jak pijarami, że się w kije arcyprzednio bili. Te tedy palcaty u studentów były w najczęstszym używaniu, nie tylko na rekreacjach, ale nawet i w samych szkołach, nim na stąpiła godzina lekcji. Jeżeli był który student bojaźliwy, że nie śmiał z drugim stanąć do palcata, musiał taki wiele wycierpieć prześladowania i urągania od całej szkoły.

Jeszcze zapomniał dopisać pod naukami dwóch sposobów, których zażywano do wpojenia studentom jak najmocniej konstrukcji łaciny. Były to repetycje czyli powtarzania między sobą czynione przez studentów tego, o czym się w szkole z profesorem traktowało; i takie repetycje odprawowały się w pewne czasy, zwykle w dniu majowe między szkołami. Drugi sposób do nawiązania łaciny był zakaz surowy, aby student do studenta nie ważył się nigdy i nigdzie, osobiście w stancjach, po polsku gadać. Był na to sporządzony kawałek deszczki nakształt tabliczki półkwartkowej z literami N. L., to jest *nota linguae*²⁾. Tę notę najpierw profesor oddał któremu studentowi z umiających lepiej łacinę i zakredytowanych u profesora z rozkazem, aby, usłyszawszy którego mówiącego po polsku, choćby tylko słowo jakie, natychmiast mu oddał tę notę, jako znak przełamanego zakazu. Nie wszyscy, którym język nieostrożny notę do ręki wsadził, byli za to karani, owszem, żaden nie

¹⁾ Przeciwnika.

²⁾ Znak za język. (łac.)

był karany, tylko ten, u którego *nota* albo obiadowała, albo nocowała; albowiem profesor, skoro wszedł do szkoły, po zwykłej modlitwie do Ducha św. najpierwsze pytanie czynił studentom: *quis habet notam linguae?* ¹⁾ Ten, który ją ostatni miał, ztrudnia się odezwał na pytanie profesora, ale który miał ją przed ostatnim, natychmiast uwiadomił profesora, któremu ją oddał, a tak ostatni za wszystkich innych otrzymał karę. Za obiad kilka placent w rękę, za noc kilka plag w siedzenie. Dlatego studenci z tą *notą* tak się uwijali, chcąc ją coprędzej pozbyć jeden do drugiego, jak z złą monetą. Druga tabliczka podobna pierwszej była z literami N. M., znaczącemi *notam morum* ²⁾; tym sposobem miała kurs swój między studentami, jak i *nota linguae*; ale już nie z taką troskliwością starano się jej pozbyć, jak pierwszej, ponieważ *nota morum* dawana tylko była za jaką nieprzystojność, popełnioną w obyczajach, gdy albo z nieumytemi rękami, lub nieoberżniętymi pazurami przyszedł student do szkoły, albo nie zdjął czapki przed kim godniejszym, albo miał pierze w czuprynie lub na sukniach, albo inną jakową około siebie nieschludność; więc gdy raz za którykolwiek z tych i tym podobnych występków został skarany, już się go na drugi raz pilniej wystrzegał, a tak w małej kwocie tego gatunku przestępców, rzadko się zdarzających, *nota morum* nie mogła tak szybko cyrkulować ³⁾, jak *nota linguae*, która czasem przez jeden dzień całą szkołę obiegła, gdyż niemal niepodobno było każdemu ustrzec się polskiego słowa, kiedy zdrajca, mający *notam linguae*, naprowadził na niego pytaniem: *Quomodo hoc explicatur Polonice?* ⁴⁾, a wyciągnąwszy z nieostrożnego polskie słowo, rzucał mu *notam linguae*.

Gdyby zaś przez którego *nota linguae* była zgubiona, tedy karą musiał inną szafować; co, że kosztowało kilka lub kilka-

¹⁾ Kto ma znak za język (łac.).

²⁾ Znak za obyczaje (łac.).

³⁾ Krążyć.

⁴⁾ Jak się to nazywa (mówi) po polsku? (łac.).

naście groszy, przeto studenci, jako niepieniężni, bardzo się zatracenia przerzeczonej¹⁾ noty chronili, a więc, gdy ją jeden porzucił i odbiegł, drugi rad nierad musiał ją przyjmować, aby nie zginęła. Nie chcąc zaś przed profesora wytaczać sprawy niepewnego wygrania o notę, niesłusznie czasem sobie narzucając, wołał szukać z nią innego, mniej także, jak sam ostrożnego, niż się z pierwszym przed profesorem rozprawiać.

Dla wprowadzenia studentów w rzeźwość, udatność i prezencją²⁾ wyprawiano w szkołach rozmaite dzieje, jako to deklamacje w syntaktyce i poetyce, które były rozmowy, wierszem lub prozą napisane od profesora, rozdane między niektórych studentów, czasem śpiewaniem i muzyką przeplatane; którą muzykę studenci na różnych instrumentach udawali, a muzykanci za nimi utajeni grali; skąd się trafiało, że, gdy student z muzykantem znaku umówionego nie zachował, to instrument jeszcze grał, choć go już student odłożył. Sejmiki w retoryce były to mowy także przez profesora studentom rozdane w jakiej materji publicznej, Sejmy narodowe naśladujące. Dialogi bywały dwa do roku: jeden w zapusty magistra poetyki, drugi przed wakacjami patra retoryki. Te dialogi były reprezentacje tragiczne i komiczne, nakształt dzisiejszych oper i komedyj, ale tamtych, jak w reprezentacji, tak w strojach teatralnych niedochodzące.

Ostatni mozoł głowy dla studentów mniejszych szkół było *exercitium de promotione*³⁾. To *exercitium* dawali studentom przed samemi wakacjami na rozjeźdźnym i zamknięciu szkół. Promocja z niższej do wyższej szkoły albo zatrzymanie w tejże samej na drugi rok następowało podług dobrze lub źle napisanego *exercitium*, które było złożeniem kilkunastu słów polskich w mowę krótką, najtrudniejszy wykład na łacinę mających. Te tedy egzercycje, od studentów zebrane i prefektowi szkół przez profesorów oddane, były losami studentów przyszłej pro-

¹⁾ Wzmiankowanej.

²⁾ Postawę.

³⁾ Ćwiczenie promocyjne (łac.).

mocji; dlatego, pisząc te egzercycja, wysilali rozumy swoje i natężali pilność, aby dobrze napisać; niektórzy zaś słabszych dowcipów żywili się od bystrzejszych (lubo takowa pomoc wielce zakazaną była); albo też dyrektorowie kartkami, przez okna z szkoły wyrzucanemi, pokrywomo uwiadomieni, jakie było *exercitium*, tymże sposobem swoim dyscypułom na łacinę przełożone podrzucali, która to sztuka gnuśnym i źle cały rok uczącym się studentom nie pomagała do promocji, jako z łatwością, że nie ich była płodem, od profesorów poznawana. Nawzajem także nie ze wszystkiem dobrze napisane *exercitium* przez zbytne myśli natężenie, a tem samem na wszystkie reguły gramatyczne mniej uważne, nie przeszkadzało do tejże promocji subjektom ¹⁾ innych celującym i cały bieg roczny chwalebnie się do nauki przykładającym. Była to tylko próba, na mierne dowcipy na dobitkę używana, których pojętności z rocznej rozmaitej aplikacji wyraźnie rozeznąć nie można było. Po tem odbytem *exercitium* zamykały się szkoły, a zaczynały się wakacje, koniec najmilszy i najpożądańszy dla dzieci, którego wyglądały z równem pragnieniem, jak dusze czyścowe zbawienia.

Jak do nauk, tak do nabożeństwa i pobożnego życia uprawiano młodzież szkolną przez sobotnie egzorty ²⁾ w szkołach i w wigilje świąt uroczystych. Dawano także co miesiąc kartki z krótką sentencją, do jakiej cnoty zachęcającą, od świętego jakiego podaną, którego świętego student, odbierający kartkę, powinien był mieć na cały miesiąc za patrona, wzywając pomocy jego do tej cnoty, którą, sentencja w kartce zawierała. Zgoła, oprócz nabożeństw powszechnych i publicznych w kościołach, spowiedzi miesięcznych, które, oprócz jednej choroby pod karą plag odbywać koniecznie trzeba było, wszelkiemi sposobami w pobożność i bojaźń boską uprawiano. Mieli albowiem to za nieomylną prawdę, iż, chociażby młodzież miała rozum

¹⁾ Osobnikom (z łac.).

²⁾ Nauki duchowne.

naukami najbardziej oświecony, jeżeli w sercu nie ma zaszczipionej i dobrze wkorzenionej bojaźni boskiej z innemi zdaniami religji, na nic dobrego nie wyjdzie, tylko na łotrów, frantów, oszustów i obywateli krajowi najszkodliwszych.

O antypatji studentów dwoistych¹⁾ szkół.

W któremkolwiek miejscu znajdowały się dwoiste szkoły, na przykład: pijarskie i jezuickie, albo też jezuickie i akademickie, jakie były w Poznaniu, nigdy tam między studentami nie było pokoju: jedni drugich prześladowali, dziwackimi imionami przezywali, a często od słów przechodziło do guzów. Jeżeli profesorowie obojga szkół jedni z drugimi zostawali w dobrej przyjaźni, to takowe zaczepki i poswarki wzajemnem przewinających z obu stron ukaraniem poskramiali. Lecz, jeżeli między profesorami nie było zgody, studencka nienawiść tem bardziej rosła; a że się bez przyczyny nie lubili, słusznie takowo wzajemne od siebie odrażenie nazwać należy antypatją. Skutki zaś jej częstokroć bywały dosyć szkodliwe, osobiwie w warszawskich szkołach, gdzie między samymi jezuitami i pijarami trwająca nieustannie zazdrość raz w tych, drugi raz w owych szkołach większej i znaczniejszych studentów liczby albo podsyciała, albo dysymulowała²⁾ studenckie kłótnie. Bywał zwyczaj w obojgu szkołach, gdy Wisła stanęła, że nawiedzali Loret N. Panny, u Bernardynów na Pradze będący. Jeżeli się tedy obiedwie szkoły w jeden dzień wybrały w tę świętą drózkę, a spotkali się z sobą na Wiśle, gdzie jedni przed drugimi chronić się nie mogli, rzadko kiedy minęli się bez bitwy, do której bywał początek z małej dziatwy, która pijarskich studentów okrzykała

¹⁾ Dwojakich.

²⁾ Udawała, ukrywała.

kurtami¹⁾; a pijarska jezuickich szpicami²⁾; do tych słów przydając inne urażliwe, jako to: „Pijara psia wiara“, „Jezuita psia lelita“³⁾ i tym podobne. Dzieci najprzód zaczynały między sobą walkę pięściami, pazurami czesząc sobie wzajem czupryny albo też ciskając na się kulkami śniegowemi; za dziećmi malemi pociągali się starsi, a za tymi dyrektorowie, używając do spotkania kijów, a naczas⁴⁾ i szabel do wzajemnego siebie i samych nawet profesorów w tumult zamieszanych okaleczenia; co potem nuncjatura między profesorami sądziła, godziła lub duchownym sposobem karała. A zaś między studentami z takowych batalij⁵⁾ tem większa antypatja rosła.

Rektorowie obojga kolegów i prefekci szkół upominali profesorów, aby się jednego dnia do Loretu nie schodzili, a na ten koniec ażeby jedni drugich o dniu swojej peregrynacji⁶⁾ ostrzegali. Lecz majsterkowie młodzi, lubiący takie wojny, zamiast odkładania na inszy dzień drogi loretovej, z umysłu ją na ten naznaczyli, w który ją też i druga szkoła odprawić postanowiła; albo też, przez frantostwo⁷⁾ wzajemne, zwiódłszy jedni drugich w dniu doniesionym, trafunkiem się raz schodzili. Przecież nigdy w tych bitwach nie przyszło do wielkiego krwi rozlania albo do zabójstwa, bo się też potykali nie żołnierze, ale studenci, których zapalczywość prędko się porywała, a jeszcze prędszej gasła, za pierwszym guzem po łbie albo po pysku, od kija oberwanym. Szablaści zaś rycerze, dawszy komu kreskę⁸⁾, coprędzej zmykali w kupę, aby nie byli poznani i karani, a czasem dlatego i do szkół więcej nie powracali.

¹⁾ Kurt a — pies z obciętym ogonem.

²⁾ Szpic — gatunek psa.

³⁾ Jelita.

⁴⁾ Niekiedy.

⁵⁾ Bitew.

⁶⁾ Podróży, pielgrzymki.

⁷⁾ Przebiegłość.

⁸⁾ Skaleczywszy kogo.

B. Władysław Syrokomla (1823—1862).

(Z gawędy: *Szkolne czasy Jana Dęboroga*, 1859).

III.

Szkoła była w klasztorze ¹⁾, a kwatery w mieście,
A w szkole wszystkich uczniów może osób dwieście,
A miasteczko zamożne stało przy jeziorze,
90 Przy nim starego zamku piętrzyły się wieże.
Za moich szkolnych czasów jeszcze zamek mieści
Resztkę dawnej świetności i resztkę powieści:
Że tu żyli potężni w kraju dygnitarze,
Których ciała w tutejszej spoczywają farze.
95 Nieraz widziałem trumny, gdzie leżą ich ciała:
Zewnątrz heban, aksamit — wewnątrz kość spróchniała,
A nad trumną łacińska legenda wyryta,
Co mało kto zrozumie, mało kto wyczyta.
Ta legenda łacińska sławi pod obłoki
100 Ich zasługi w ojczyźnie lub ich ród wysoki;
Ale pod mchem wiekowym, co rośnie na głazie,
Zaciera się powoli wyraz po wyrazie, —
A z mchów szarych i żółtych wyjdzie napis świeży:
„Tu grzesznego popiołu licha garstka leży“.
105 Lecz wracam do miasteczka, kędy były szkoły;
I tutaj stara przeszłość sypie się w popioły,
Wał, co bywał obronnym, zarasta pokrzywa,
Zegar w zamkowej wieży stęka, dogorywa,
Pleśnieje mur kościelny, dzwonnica się chyli,
110 A okna dwóch pałaców deskami zabili,
Upadkowi bram miasta nikt nie zapobieży,
Spadły herby dziedzica z ratuszowej wieży.

¹⁾ Syrokomla opowiada o szkole oo. dominikanów w Nieświeżu, z pierwszej połowy XIX w.

VI.

Jak jedyna pamiątka przeszłości minionej,
Grają w wieży kościelnej nierozbite dzwony.

- 115 Dobrze głos ich pamiętam. Jeden różańcowy
Budził ze snu do pracy rozmarzone głowy.
Głos miał długi, jęczący — a jednakże słodki,
Zwoływał na różaniec starce i dewotki.
Kiedy ranek się budził, kiedy pustka w mieście,
120 Szły o kiju postacie męskie i niewieście,
Mówiąc ranne pacierze ku Maryi chwale
I brzęcząc w bukowego różańca medale,
Co nosili na piersiach. Drugi dzwon był duży,
Tylko w dni uroczyste i na sumę służy;
125 Ten huczał groźnym głosem, ale z taką siłą,
Że prawie bicia serca słyszać w nim nie było;
Aż huczało powietrze, aż trzęsło się miasto,
Gdy on zagrał w niedzielę kwadrans na dwunastą,
Wtedy tłum różnobarwny kmiotków z targowiska,
130 Tłum szlachty szaraczkowej pod kościół się ściska.
Kilka pańskich kolasek grzmoce w bruki kołem,
I było żywo, gwarno przed Pańskim kościołem.
W takich tylko wypadkach, w uroczystej chwili,
Czterej ludzie klasztorni w wielki dzwon dzwonili:
135 Szanowano go ruszać, bo to dar bogaty,
Pono z armat tureckich ulany przed laty.
Trzeci dzwon był najmniejszy w swoich braci rzędzie;
Lecz głos jego do śmierci pamiętny mi będzie:
Głos miał cienki, dobitny, dźwięczny niesłychanie,
140 Trzepał prędko, jak student, gdy umie zadanie;
Echa nie miał — a jednak za jego wyrazem
Dwieście serc młodocianych uderzało razem;
To postrach, to nadzieję budził swemi tony,
To był nasz dzwonek szkolny, *Piotrem* narzeczony!
145 Och! jakże się pragnęło wśród naszej drużyny,

By prędzej pana Piotra przyszły imieniny!
A on, jak solenizant hojny i wspaniały
Zasygnuje wakacje aż na miesiąc cały!
Lecz jeszcze do imienin Piotrowych daleko.
150 Zadzwoił... śpiesz do klasy z książkami i teką:
Bo jak *sekund*¹⁾ zadzwonią — zgłuchną korytarze,
Książdz prefekt się nie pyta, a klęczeń rozkaże.
Więc na *prym*²⁾, czy kto lekcje umie, czy nie umie,
Wybiegają studenci ze swych gospod³⁾ w tłumie;
155 Każdą swoją gromadkę, jakby wódz, po przedzie,
Z uroczystą powagą pan dyrektor⁴⁾ wie dzie,
Pilnuje, kto się został, kto za prędko leci,
Gromi jednemi słowy: „Nie swawolcie, dzieci!“
Wbiegamy na korytarz. Tam księdzowskie cele,
160 Nad każdą obraz męża wielkiego w kościele,
Co w ojca Dominika zakwitły zakonie,
Był biskupem lub zasiadł na papieskim tronie.
W tych celach nasze szkoły, więc każdy z młodzieży
Idzie do swojej klasy, gdzie komu należy.

V.

165 Kładąc rękę pod szkaplerz białego habita,
Książdz prefekt⁵⁾ dyrektorów o nasz postępy pyta,
A grzecznie ich częstując z tabakiery dużej,
Uśmiecha się łagodnie albo czoło chmurzy.
Piękneż to było czoło! zmarszczki go nie szpecą,
170 Włos jasny, kędzierzawy przerzedział mu nieco,
A na czole dostrzeże, kto uwagę zwraca,
Że panuje myśl wyższa, nauka i praca.

1) Drugi dzwonek.

2) Pierwszy dzwonek.

3) Stancyj.

4) Korepetytor, guwerner.

5) Przełożony szkoły.

- Postać miał okazałą, wzrok jasny a żywy,
W ustach zawsze gotowy uśmiech dobrotliwy;
175 Głos prędkiej a stanowczy, co słów nie powtarza,
Płynął, jak wiatr łagodny cugiem korytarza:
Słowa jego łagodne, nie grożą, nie straszą, —
Zmarszczka na jego czole była karą naszą.
Lecz kiedy sroższej kary użyć należało,
180 Dobry prefekt był wtedy granitową skałą,
I karał uroczyście na prośby bez względów,
Z chmurną twarzą, a jednak bez gniewu zapędów.
Bo w jego wielkiem sercu była równowaga,
Miłość i sprawiedliwość zarówno przemaga;
185 On umiał spojrzeć okiem chmurnem czy łaskawem —
Miłość była uczuciem, a powinność prawem.
O! to nie ideały niepodobne tworzę:
Taki mąż w mniszkiej sukni, w ubogim klasztorze,
Był ojcem naszej szkoły. Pochwała, nagana
190 To była sprawiedliwość święta, niezachwiana;
A kiedy ją odbierał, to czuł umysł młody,
Że jest godzien tej kary albo tej nagrody.
A, jeśli jego kary zasłużonej, świętej
Zdołał czasem uniknąć przez szkolne wykręty,
195 To nieraz mi się zdaje, że karę tej winy
Los odłożył na życia późniejsze godziny:
Łzy, któremi nawiedza Bóg duszę zbolalą,
Może przy szkolnej ławie wylać należało.

VI.

- Tymczasem w klasach grzmi ciżba gwarliwa,
200 Jakgdyby w ulu, gdy rój odlatywa;
Dwadzieścia głosów zadania się uczy,
Dwadzieścia głosów śmieje się i huczy;
Piłka nieznacznie rzucona gdzieś zboku,
Grzmoce o ziemię w sprężystym podskoku.

- ²⁰⁵ Najgłośniej krzyczał najstarszy z wåsali,
Co zawsze winę na mniejszego zwali;
Nim do cenzora ¹⁾ dojdzie nasza skarga,
To on cię jeszcze za uszy wytarga.
Cóż malcom począc? wszak wiadomo przecie,
- ²¹⁰ Że kto ma siłę, ma słuszość na świecie,
Ale i słabym na silnych jest rada,
Gdy z łacińskiego trudna rzecz wypada,
Lub *centum bovum* ²⁾, jak hydra straszliwa
Z figur i z liter szpony wydobywa.
- ²¹⁵ O! wtedy widzieć wåsarów postacie!
Pokornie proszą: „Podpowiedz mi, bracie!”
Więc gdy się biedak w odpowiedziach błąka,
Tak mu podpowiesz, że ustrzeli bąka:
Profesor krzyczy, a pusty śmiech w sali, —
- ²²⁰ To cała nasza zemsta na wåsali.
Wąsal za swoje oddawał cichaczem,
Ale był triumf, że i my coś znaczem.
Piłka się zwija — bębni szkolna ława,
Po całej sali wrzawa i kurzawa.
- ²²⁵ Prefekt, choć wszystko słyszy z korytarza,
Lecz się niezawsze na wrzaski obraża:
Wszystkich nie skarcić, to i czasu szkoda!
Więc myśli sobie: przesumi krew młoda.
Tylko gdy czasem swawolna drużyna
- ²³⁰ Zanadto głośnie wrzaski rozpoczyna,
Prefekt w drzwi puknie albo je uchyli:
Nastaje cisza — cisza jednej chwili,
I znowu wrzaski kipią z całą mocą,
Aż w oknach szyby trzęsą się, dygocą.
- ²³⁵ Drzwi się otwarły — wpół taktu, wpół słowa,
Po gwarze cisza nastała grobowa,

¹⁾ Dyżurny w klasie.

²⁾ Twierdzenie Pitagorasa o sumie kwadratów.

- Niejedno trwogą uderzyło serce,
Profesor przeszedł... klęknął w katederce.
Wszyscy poklekli i w jeden głos żywy
240 Zabrzmiała modła: „Boże dobrotliwy!
„Zeszlij dar ducha na głowy Twych dzieci,
„Co serce wzmocni i rozum oświeci,
„Byśmy dla kraju naukę pojęli,
„Ciesząc rodziców i nauczycieli!“
245 Profesor powstał — rzucił wzrok surowy:
— „No, panie Janie! ile części mowy?“

VII.

- Stańcie mi przed oczami w waszej białej szacie,
Groźne, a razem drogie mych mistrzów postacie!
Pozwólcie po staremu niech dusza zamarzy,
250 Niech raz jeszcze do waszych przypatrzę się twarzy.
Och! niejedną twarz waszą, tak dobrze mi znaną,
Zakryto w czarny kaptur, piaskiem zasypano,
I postać niegdyś w szkole przewodzącą dumnie
Zakopano w mogile, w jedlinowej trumnie,
255 *Requiem*¹⁾ zaśpiewano w ton grobowy długi,
I rozwiął wiatr cmentarny ślad waszej zasługi.
Gdzie wy, ojcowie ducha? W dalekim klasztorze
Pozostało was tylko dwóch albo trzech może,
W chórze lub mniszej celi wiodąc ciche życie...
260 A reszta — z górnych niebios za nas się modlicie.
Dziśbyście nie poznali małego pieszczocha,
Którego i ksiądz prefekt, i każdy z was kocha:
Był dzieckiem — dziś w cierpieniu twarz stała się starą —
Był wiernym — świat mu serce zaraził niewiarą;
265 Był jednym z pierwszych uczniów — wszak pomną koledzy, —
Dziś miota się po falach niezgłębionej wiedzy,
Łamiąc ręce w rozpacz — bo uznał w swej dumie,
Pierwszych liter mądrości, że dotąd nie umie.

¹⁾ Pogrzebowa pieśń kościelna.

Wyście mię zapomnieli — ale ja was pomnę;
 270 Wasze twarze, postacie mam w sercu przytomne,
 Oddźwięk waszego głosu, co mi się przysłysz, —
 Przypomni kartkę książki, moich towarzyszy,
 I cały szereg pytań przed oczy mi stanie,
 I który z nas nie umiał, kto umiał zadanie, —
 275 I myślę w głębi ducha: Boże, jaki przedział!
 Dziśbym ja na pytanie dobrze odpowiedział;
 Śmiech, co mi się zdawało trudnem i zawilem!
 Lecz wtedy miałem mądrość — bo szczerzej wierzyłem.

VIII.

Oto z pierwszego planu spogląda surowo
 280 Stary ksiądz *Matematyk* z rozczochną głową,
 Na jego białej szacie jest plama dwojaka,
 Bo bielsza jeszcze kreda i czarna tabaka;
 Lecz zato jego serca nie skaziła plamka
 Na dziesiętny, na setny ułamek ułamka.
 285 Nieugięty, jak Kato, jak cyfra w algebrze,
 Nikt od niego litości w zdaniu nie wyżebrze.
 Na tablicy i w życiu kreślił prostą linję
 I pomiędzy ojcami miał prawą opinię.
 Może go nie lubili — jednak, jak słyszałem,
 290 Kilka razy miał zostać ich prowincyałem,
 Lecz, jak weźmie na kredkę, jak przez cyfry zbada,
 Że trójkąt do trójkąta jakoś nie przypada,
 To zmarszczy się i rzecze, uchylając szyję:
 — „Kto tu piwa nawarzył, niechaj sam wypije!
 295 „Nie umiem mojej łódki kierować na świecie;
 „Później wam będę służył, jeżeli każecie!“
 Poszanowano w starcu jego opór szczery,
 Kazano mu wykładać *dwa a dwa to cztery!*
 W to graj, stary prostaku! z *minusem* i z *plusem*
 300 Bezpieczniej małe dziecię nazwać *asinusem*¹⁾,

¹⁾ Osłem (po łac.).

Niż trzymać w klubach starszych albo staczać spory
Z wielebnymi magistry, lektory, doktory.

Tem lepiej dla doktorów — ale dla nas biada,
Kiedy ksiądz *Matematyk* algebrę wyklada.

305 Ciężył na naszych sercach, jakby głaz kamienny,

Pierwiastek kwadratowy, pierwiastek sześcienny:

Wyciągnij, jeśliś łaskaw, wyciągnij go sztucznie!

Mnie liczył ksiądz profesor między słabe ucznie,

A jednak szczerze kochał — a, że lubił łowy,

310 Czasem odwiedzał w święta nasz zakąt domowy;

Ze strzelbą, z moim ojcem przechadzał się borem

Lub w szachy na papierze grał z definitorem.

Więc wtedy mawiał do mnie: — „Ej źle, panie Janie,

„Źle poszło *centum bovum*, źle poszło zrównanie!

315 „A tu najpierwsza w świecie liczbowa nauka:

„Nikogo nie oszukasz, nikt cię nie oszuka!“

A jednak mimo liczby, kwadraty, sześciany,

Często ksiądz *Matematyk* bywał oszukany,

Wiedząc, że trochę grosza po bracie dziedziczy,

320 Nieraz przyszedł do niego żebrak tajemniczy,

I prosił o jałmużnę lub kredyt otwarty,

Wziął pieniądze — przehułał — albo przegrał w karty;

Lecz ksiądz teologiczną formułę miał na to:

— „Bóg mi zato zawdzięczy stokrotną zapłatą!

325 „Weź kredkę i porachuj — toć rachuba prosta:

„Jałmużna do nagrody — jako jeden do sta“.

I rad z dobrego czynu, rad ze swej formuły,

Czuła i czystą duszę krył w pozór nieczuły,

W liczbach zakładał mądrość i wagę, i miarę,

330 Ale nie liczył pulsów, jak gra serce stare, —

A gdy niósł chętną pomoc dla biednych współbraci,

Co się w liczbach pomylił, to mu Bóg zapłaci.

.

C. Adolf Dygasiński (1839—1902). ¹⁾

[Z książki: *W Kielcach. Opowiadania i uwagi o czasach szkolnych.* (1899).]

I.

Szkoła wyższa realna w Kielcach! Niebawem będzie temu pół wieku. Przewodnicy szkoły, postacie posągowo-poważne, sztywne, rozbudzali u żaków takie same uczucia, jakimi onego czasu natchnął był Gallów barbarzyńskich widok senatu rzymskiego. Dzisiaj już oni po największej części śpią w mogiłach snem nieprzespanym i tylko niektórzy — to tu, to tam — dociągają żywota w sędziwości późnej. Cześć popiołom, cześć starcom!...

...Rekrut do szkoły kieleckiej napływał z tej części kraju, za pępek której możnaby uważać miasto Jędrzejów, albo — wieś Kliszów. Spieszyli malcy pod sztandary nauki od Będzina i Siewierza na zachodzie, od Bodzentyna, Rakowa i Staszowa na wschodzie; od Radoszyc i Mąchocka z północy, — od Opatowca, Nowego Brzeska i Olkusza z południa. Gromady zaciągu szkolnego pochodziły już z nad Wisły, która tu między Pobiednikiem a Polańcem trzyma się kierunku wschodniego, już z nad Nidy, Pilicy górnej, Przemszy Czarnej, Mierzawy, Szreniawy. Jeszcze inni przybywali z borów Łysogórskich, z malowniczych okolic wyżyny Olkuskiej...

...Oto rekruci szkoły już się zgromadzili w klasie pierwszej, liczba ich dochodzi do sześćdziesięciu. Nowicjusze — niezdarne toto, gamoniowate i gapiowate — są smutni, mają miny rzadkie: niejednemu łza pożegnania z matusią jeszcze nie oschła na oku i żalność tkwi w sercu, coś, jakby gwóźdź, głęboko wbity. Jaki taki rozjaśnia się nareszcie i poprzez łyzy uśmiecha, myśląc: „Tu jednak jest dosyć przyjemnie“. Ale tkliwszych myśl upor-

¹⁾ Dygasiński był krajanem Żeromskiego, rodem z Kieliec-
czyzny, i o ćwierć wieku wcześniej od autora *Syzyfowych prac*
uczył się w tych samych murach szkolnych.

czywa ciągle dręczy: „Co też tam moi porabiają teraz w domu?“ Zato weterani drugoletni, tak zwani „senatorowie“, junacy zuchwali, otrzaskani z życiem szkolnem, zachęcają przykładem żywym do hałasowania i figlowania w klasie. Właśnie jeden taki wykrzykuje namiętnie:

— Panowie, zróbmy serka w pierwszej ławie! ¹⁾

A oczy mu się świecą, policzki palają szaleem swawoli i — choć to dopiero ranek — pot spływa z czoła. Ten się spracuje do wieczora!... Oho, ława już trzeszczy: senatorowie wzięli między siebie malca słabego, jak gąsię i gniotą zapalczywie! Pierwsza nauka uspołecznienia.

— Dalej panowie — ostro! Jeszcze lepiej, lepiej!

— Gwałtu, oj jej! Nie wytrzymam, jak mamę Kocham!

Matki, więcej uczuciowe, krążą około gmachu szkolnego, chciałyby przeniknąć okiem grube mury, zobaczyć, jak ten i ów jedynaczek wygląda w roju.

— Muś taki delikatny! Chłopczysko jaki mocniejszy może mi go pobić, sponiewierać...

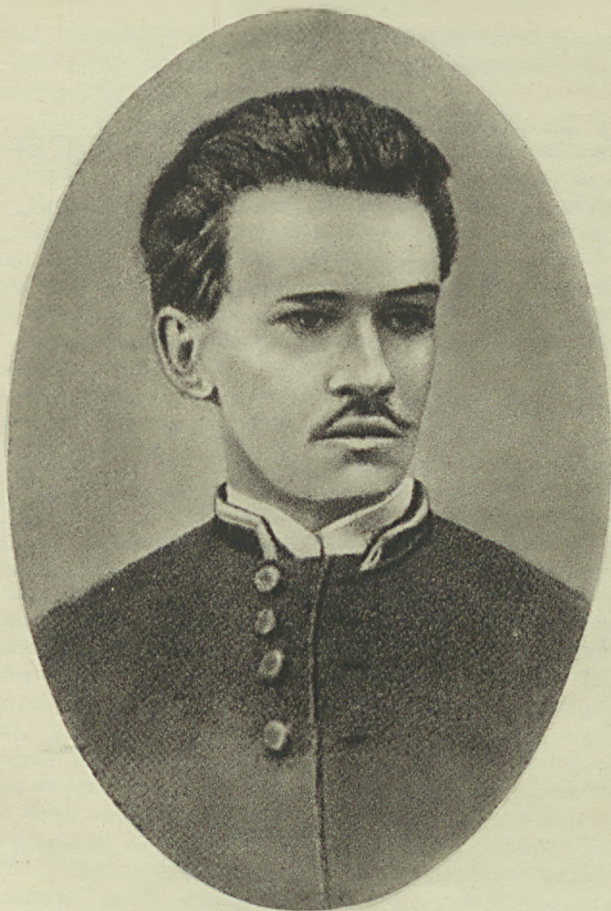
— O, ja drzę o swego Zyzia — dziecko roztargnione... Gotów nie uważać, nie słyszeć, że do niego mówią: nie zjedna sobie profesorów już na pierwszych lekcjach i potem...

— Mój Siunio bo ma złote serce i wszystko można z nim zrobić dobrocią, łagodnością; ale, kiedy się załęknie, traci głowę... Chcę to wytłumaczyć jego profesorom, żeby wiedzieli, jak prowadzić chłopca.

Do klasy pierwszej przyszedł najprzód pan inspektor — twarz bożka leśnego, a zimą i latem nosił na sobie szopy ²⁾, ogromnie wytarte, i na wielkim palcu prawej ręki zawieszał długi klucz od mieszkania. Rozkazał malcom wyjść z ławek, poczem według wzrostu dobierał, ustawiał ich w pary, a przytem szorstko prze-

¹⁾ Zob. obj. do rozdziału I.

²⁾ Gatunek futra.



Stefan Żeromski w wieku szkolnym

rzucał, popychał różnych Musiów, Zyziów, Siuniów, jakgdyby to były rzeczy martwe, i nazywał już „śmierdzielami“, już — „smarkaczami, mazgajami“.

— Oni tu za nic mają człowieka!

Skończył czynność ustawiania i zapowiedział głosem bardzo surowym:

— Żeby mi każdy smarkacz do samego końca roku chadzał na mszę świętą w swojej porze! A jeśli który śmierdziuch zgubi parę, różeczka będzie w robocie!

Mówiąc to, uśmiechnął się, jak szatan, i wykonał ręką ruch, naśladujący czynność smagania. Potem wysunął się na czoło i — niby wódz — prowadził do kościoła cały zastęp żaków, ustawionych w pary.

— Tutaj niema widać żartów! — Myślał jeden, drugi, czując wyraźnie, że go kleszcze karności zaczynają ścisnąć.

Nabożeństwo odbywało się codziennie dla uczniów w kościółku świętej Trójcy i tu niejeden nieuk zanosił gorące modły, myśląc naiwnie, że siły wyższe wezmą w opiekę jego niedbalstwo, ocalą go od niebezpieczeństwa różgi. Przy rozpoczęciu roku szkolnego ksiądz prefekt wygłosił bardzo piękną naukę o obowiązkach ucznia. Ten i ów nowicjusz usiłował skupić uwagę, słuchać, a nie mógł na żaden sposób. O, bo w głowie człowieka odbywają się niekiedy przedstawienia bardzo podobne do widowisk teatralnych i dzień wstąpienia do szkoły nadzwyczajnie sprzyja takim dramatom niepisanym! Od tej chwili zaczyna się kochać przeszłość. Podczas mszy świętej, kiedy człowiek jest w stopniu wyższym sam z sobą, dusza jego wyzwala się i niejako stawia przed oczyma obrazy przerozmaite. „Gniady o tej porze stoi przy żłobie, zza drabinki wyskubuje siano. Poczciwości, jak on się oglądał, ile razy z chlebem wszedłem do stajni i zawsze zarżał!... Obal, kochane psisko, co on tam porabia? Możnaby się założyć, że z ogonem podniesionym wgórę obiega różne kąty, obwąchuje, szuka towarzysza zabawy... Franuś, nicpoń, z pewnością zepsuje mi tam łuk, złamie wędkę. Prosiłem mamy,

żeby mu nie pozwalała tykać, ale...". Wtem w głowie człowieka ukazuje się twarz ojca — surowa i wąsata — i mówi groźnie: „Pamiętaj sobie, żebyś mi w szkole nie zbijał bąków! Uważaj, słuchaj wszystkiego, co starsi mówią, bo...". Człowiek skupia więc ducha, zwraca usilną uwagę na mowę księdza prefekta i znowu nic nie słyszy. „Ojcu się zdaje, że to łatwo... Na święta Bożego Narodzenia przyjedzie się do domu w mundurze, w czapce mundurowej — zupełnie, co innego... Zabiorę z sobą piłkę, scyzoryk i ten nowy malowany piórnik... Będzie co opowiadać!... Czy to w domu ma kto pojęcie o tem, że tu w szkole niektórzy uczniowie noszą wąsy prawie takie, jak tatuś?" Człowiek ma już dziś wiele do opowiadania o tem, jak jest w szkole i gotów jest przed swoimi wysławiać szkołę; ale w tej chwili — tęskno mu za domem i żal ściska serce. „Jak tam jest lubo, przyjemnie na podwórku!... Albo — w stajni między końmi!" Każdy Muś, Zyzio, Siunio wyrzekłby się za to i munduru, i piórnika, i piłki, i scyzoryka. Gdyby człowiek miał dziesięć głów na karku, to i tak nie pomieściłyby się w nich wszystkie takie i im podobne obrazy, myśli pierwszego dnia szkolnego, kiedy po raz pierwszy w życiu nazwano cię po nazwisku. Masz tobie, ksiądz prefekt już skończył naukę, a człowiek nie zapamiętał ani jednego słowa! Pan inspektor, w szopach, przeciska się do klasy pierwszej, najbliższej ołtarza wielkiego, znowu łączy w pary żaków i wyprowadza ich z kościoła przez szpaler między innemi klasami. Któryś trzecio-klasista złośliwie podstawił nogę i jedna para nowicjuszków, mocno trzymających się za ręce, gruchnęła na ziemię, a para następna zwała się na poprzednią. W kościele szmer najmniejszy urasta do rozgłosu i wszyscy spoglądają. Ci, którzy pierwsi upadli, otrzymali raz na zawsze przydomek „para gajdusiów" i potem tylko tak ich nazywano.

Jesteśmy w klasie — rejwach straszliwy. Nie wzięli do serca nauki księdza prefekta. Gwałtu, co się tu dzieje!... Człowiek już jest śmielszy teraz: krzyczy, kiedy inni krzyczą; oddaje kulaka, jeśli go otrzymał. Szkoła działa. „Ho, ho, nasi także bić

umieją! Czekaliśmy tylko na rzetelną zaczepkę". Przytem powstają znajomości i pierwsze stosunki przyjaźni wylanej zaczynają się zawiązywać: tworzą się pary z wyboru, z powinowactwa duchowego. Właśnie Pilades podbił oko Orestesowi, a Orestes wydarł sutą garść włosów z czupryny Piladesa¹⁾. Nigdy niezapomniana chwilo!... To nic: oni się później polubią, powiedzą sobie: „Kochajmy się"! Brutalny zwycięzca na pięści ulega nieraz pokonany przez serce. Kiedy się malcy biorą za czuby, wychodzi to częstokroć na trącanie się starszych kieliszkami. W bójce zuch zucha poznaje, ocenia i już wie, za co ma kochać.

Nagle wśród gwaru żactwa rozległ się głos dzwonka. Jacek, stróż szkolny, dzwonił. Chłop to ogromny o płowych włosach, złowrogo spoglądający z podełba. Ten olbrzym chodził w granatowym kaftanie, w krótkich szarawarach z płótna szarego, a na nogach miał trepy, których kłapanie echem rozbrzmiewało w ciemnym korytarzu szkoły. Słyszając odgłosy owych chodaków drewnianych, niejeden potem zblednie, zadrży i z sercem bijącym poszepnie: „Jacek idzie!" Jacek był uosobieniem wszystkich tych zbójców strasznych, potworów, o których człowiekowi baby opowiadały w domu rodzicielskim historie przerażające: coś jakby jeden z dwunastu w *Powrocie taty*. Bo każdy wie, że Jacek jest pomocnikiem do bicia, ręką prawą pana inspektora. I teraz też uczniowie drugoletni udzielają nowicjuszom zaraz na wstępie objaśnień użytecznych: „Jeżeli się kto nie chce dobrowolnie położyć na ławce, Jacek bierze go w łapy i rozciąga... Oo, trzeba się wystrzegać, żeby nie dostać „na pokładankę!"... Strasznie boli".

Pst! Inspektor znowu wchodzi do klasy. Wzniósł dogóry wielki palec z kluczem i krzyknął ostro:

— Cicho tam, niuchacze!

1) Imiona sławnych z przyjaźni bohaterów *Iljady*.

Stanął na katedrze, białkami oczu gniewnych łypnął na klasę, grzmotnął w stół pięścią, rozłożył jakiś papier i przemówił głosem surowym, który do szpiku kości zmroził nowicjuszków:

— Wstać, żaby!

Cała klasa w oka mgnieniu porwała się na nogi, jak jeden. On teraz wodził oczyma tak jakoś dziwnie, że każdemu żakowi wydawało się, jakgdyby pan inspektor tylko na nim jednym wzrok zatrzymywał i jedynie o nim rozmyślał. Po tym przeglądzie nastąpiło odczytywanie praw szkolnych. Pierwsi ludzie musieli się nadzwyczajnie zdumieć, kiedy prawodawca niespodziewanie odczytał im czarne na białem:

— Kto ukradnie osła, barana, służebnicę bliźniemu swemu, musi mu to wynagrodzić, a nadto odbierze karę stu kijów.

Nowicjusze z otwartymi usty, z wytrzeszczonymi oczyma, nastawiali uszy i słuchali:

— Nie będziesz zbaczał z drogi, idąc do szkoły. Nie będziesz wychodził z domu, jak się tylko zmierzchnie. Nie będziesz na ulicy rozpinął guzików u munduru. Nie będziesz kurzył fajki...

Im dalej ku końcowi posuwało się dzieło wychowania, tem silniej budziły się w wychowawcach skłonności do przekraczania praw szkolnych. Zwierzchnicy szkolni mieli więc coraz więcej pracy z wymierzaniem kar za przestępstwa i odzywali się poważnie: „Jeśli nawet kary nie są hamulcem złego, cóżby to dopiero było przy bezkarności“... Oj, miewałże zacny pan inspektor ciężką pracę wychowawczą, napędzając od dołu rozumu do głowy! Często wypadło ochłostać i czterdziestu żaków dziennie, a każdego zupełnie odpowiednio do stopnia winy i ważności przekroczonego prawa. Dobry człowiek tak się był zaprawił do smagania dzieci różgą (jak mawiał, do „smarowania brzozowym soczkiem cnoty“), że mimowolnie wykonywał ręką ruch, przypominający czynność chłostania: ciach, ciach, ciach. Żywił on bowiem niezłomną wiarę pedagoga, jakoby między hojnie szafowaną przezeń ilością różeg, a przyrostem wszelkich doskonałości ludzkich istniał niezaprzeczenie bardzo ścisły sto-

sunek prosty. Każda różga, która dotkliwie podrażniła młodą, więc czułą, skórę żaka, stanowiła jednocześnie nową zachętę bądź do cnoty, bądź do wiedzy. Dodajmy do tego fanatyczny upór pedagoga, który nigdy nie odstępuje od tak zwanych zasad, a zrozumiemy energiczną jaźń pana inspektora. Filip drugi¹⁾ onego czasu z takim samem przekonaniem palił był heretyków: czynił to dla ich własnego dobra i z natchnienia wyższego.

Inspektor odczytywał dzisiaj pierwszoklasistom prawa szkolne — namaszczone, ogromnie przejęty ważnością chwili i już przewidujący, że ci malcy niezawodnie będą usiłovali przekraczać te prawa. Uprzednio więc wpadał on w szlachetne oburzenie wychowawcy i miał taką postać, jakgdyby chciał zapobiegawczo oćwiczyć w tej chwili któregoś z przyszłych przestępców. Wytchnął bowiem należycie podczas wakacyj i uczuwał w sobie nadmiar sił wychowawczych, które niezbędnie potrzebowały ujścia. Zapał pedagogiczny odbijał się aż nazbyt wyraźnie w jego głosie silnym, spojrzeniach ognistych, nerwowych drganiach twarzy, ruchach ręki prawej. To wszystko udzielało się malcom mocą tajemniczej nici związku, która z duszy silnego przenosi groźbę surową, a po drodze przeobraża ją dziwnie i umysłem słabych oddaje trwogę. „Jak mamę kocham, nie będę tego robił!“ — przysięgał sobie w duszy ten i ów nowicjusz, a ciarki strachu nawskroś go przejmowały. Dobrze się pamięta prawa wbite w pamięć przy takim nastroju duchowym, wyłączającym wszelką krytykę! Kto potem dopuści się przestępstwa i otrzyma karę, ma w sobie świadomość winy i sprawiedliwości odebranej kary. Chwałaż Bogu, skończył nareszcie z temi prawami! Skończył i spogląda wzrokiem jastrzębia... Bo już właśnie ogłosił prawa, wprowadził je w działanie i w chwili tak uroczystej może je przekracza jaki zuchwały przestępca! Niech noby spostrzegł mundur, niezapięty na wszystkie guziki, albo nawet — dwuznaczny półuśmiech, wyraz twarzy, dający

¹⁾ Król francuski (1180—1223).

władzy szkolnej do myślenia! Ociągał się z wyjściem, łąził między ławkami. Szturchnął jednego żaka pod brodę: w ten sposób wyprostował mu głowę, zwieszoną na piersi. „Dogóry nos!“ Innego trzepnął grubemi paluchami po łapach na znak, że trzeba opuścić i przy sobie trzymać ręce, kiedy się stoi frontowo. Człowiek ze strachu miał słodką ślinę w ustach, a wzdłuż kolumny pacierzowej uczuwał ciepło. No, wyszedł przecież! Wszyscy odetchnęli, zaczęli rozmawiać cicho, potem głośniej, coraz głośniej i jeszcze głośniej. Życie, powstrzymane na chwilę w energii, usiłowało wynagrodzić sobie zastój. Dobry pan inspektor! On tak szczerze, niewzruszenie wierzył w swój systemat wychowawczy „soczku brzoźowego“.

Z kolei wchodzi do klasy pan Szymoński, nauczyciel matematyki. Jest to już pedagog w stylu daleko, daleko wznioślejszym. Niziutki, nikły, w okularach na końcu nosa, z twarzą, przypominającą wizerunek Lelewela¹⁾ w starości. Resztki rzadkich siwych włosów, zgarnięte na łysinę, aby ją zasłonić, powiewają w kosmykach ponad uchem. Stąpa zgóry, idzie kroczykiem drobniotkim, niesie pod pachą dziennik, trzyma w ręce tabakierkę i chustkę do nosa czerwoną. We fraku granatowym z guzami złotemi, trochę zaniedbany, niedogolony, z piętnami barwy kawowej na gorsie koszuli — od tabaki. Niema dziś wcale na świecie takich ludzi — filozofów w maskach dziwaków, gruntownie zacnych, a występujących w rolach podejrzanych. Położył dziennik na stole katedry, zbliżył się do pierwszego lepszego z nowicjuszków i zapytał:

— Co zacz jest mości?

— Oleś Puszewski! — odpowiedział mały z pośpiechem, kraśniejac przytem, jak mak polny.

— Wstańże! — podpowiadali natarczywie uczniowie drugoletni, nauczając nowicjusza, że nie powinien siedzieć w ławce, kiedy profesor przemawia do niego. Żaczek powstał, a Szymoński spoglądał mu w oczy i mówił:

¹⁾ Znakomity historyk polski (1786—1861).

— Waćpan bo wiedz raz na zawsze, że „skąd pochodzisz“ znaczy więcej, niż „jak się nazywasz“. Berbeć taki, choć wystrzyżony i w czerwonym kołnierzu, nie uzacnia sobą kraju; ale kraj uzacnia smarkacza, wytrzeszczaka... Francuz rozdziawi gębę, gdy mu powiesz „jestem Puszewski“. Ty mu powiedz „jestem Polak“, a zdejmie kapelusz, ukloni się przed Polakiem... Mnie zaś, Polakowi, i innym Polakom powinienes waćpan powiedzieć wyraźnie, z których okolic Polski pochodzisz, bo to cię zaleca“.

— Z Olkusza! — odrzekł chłopiec z zadowoleniem.

— Bardzo pięknie, chlubnie! Ludzie zacni rodzili się w Olkuszu... Znamy godnego magistra, Marcina z Olkusza ¹⁾.... Widzisz bo waćpan, dawniejsi ludzie w Polsce szczycili się miejscem swego urodzenia: Grzegorz z Sanoka ²⁾, Jan z Wiślicy ³⁾, Michał z Wrocławia ⁴⁾, Miechowita ⁵⁾ — prawda?... Pozwalam obwieścić zgóry nazwisko, jeśli mości nazywa się Kopernik, gdyż Kopernik znaczy więcej, niż Polak: człowiek wielki, jeden na świat cały. Waćpan bo skromniuchno ogłaszaj mi swoje nazwisko: Jestem Olkuszanin, zowię się Puszewski!

Stuknął palcami w tabakierkę, zażył sporą szczyptę tabaki i ciągnął dalej:

— A znasz-że ty, mości Olkuszanie, Babę? Malec zaczerwienił się po same uszy i bardzo nieśmiało wybkąnął pytanie:

— Którą?...

— Mości panie, jedna tylko Baba jest pod Olkuszem, ta, która załała sławne niegdyś olkuskie kopalnie srebra! Waćpan, widzę, bo nie słyszał o rzece Babie i myśli, że go zapytują o babę w spódnicy.

¹⁾ i ²⁾ Marcin z Olkusza i Grzegorz z Sanoka — uczeni, profesorowie Akademji Krakowskiej w w. XV.

³⁾ Poeta łaciński z XVI w.

⁴⁾ Uczony i profesor Akademji Krakowskiej w XVI w.

⁵⁾ Kronikarz polsko-łaciński XVI w.

Koledzy — rzecz prosta — wlot pochwycili sposobność i przydomek „Baba“ przyłgął do Puszewskiego. Chłopczyna zmieszany wił się w ławce, jak piskorz, a Szymoński znowu począł:

— Baba, choć tak szkodliwa, jest to strumyk mały, znika w piaskach, a waćpan upatrujesz może na świecie rzeczy wielkich i pewnie znasz ruiny okazałe zamku na Rabsztynie — prawda?

— Na Rabsztynie? — jęknął Oleś przerażony i zamilkł. Trzeba zaś wiedzieć, że Szymoński prześladował zawzięcie ów sposób odpowiedzi wielu próżniaków, polegający na bezmyślnem powtarzaniu ostatnich słów nauczyciela i będący tylko echem jego pytania. Więc teraz uderzył gwałtownie w tabakierkę, wołając:

— Mości, he, he, jest ciemny, jak tabaka w rogu! Cielątko bo z Olkusza przysłali do szkoły... Ooo, pracować w pocie czoła trzeba, żeby nam tu waćpan nie wyrósł na wołu!

Jakiś inny nowicjusz, pochodzący z pod Olsztyna, uszczęśliwił zato profesora swemi wiadomościami o dziejach zamku olsztyńskiego i o grocie stalaktytowej, położonej tamże w lasach pobliskich. „Chlubnie bo godni waćpaństwo rodzice wychowywali synka w domku. Nie zróbże mości w szkole zawodu miłości rodzicielskiej“. Teraz zaprosił do tablicy żaka pulchnego, pucłowatego, który się wywodził z pod Proszowic.

— Ujmij waćpan mocno kredę w rękę, masz, widzę, siły dobre! Napisz mi sto jedenaście i wyjaśnij mądrze, co tu każda jedność znaczy! Malec napisał liczbę, a nie miał pojęcia, w jakim stosunku te trzy jedności pozostają między sobą i profesor musiał mu to tłumaczyć:

— Wiedz mości, że wartość liczby, jak najczęściej i wartość człowieka, zależy od miejsca! Na miejscu najniższem jest jedność prosta, na miejscu wyższem — jedność dziesięć razy większa, a na miejscu jeszcze wyższem — jedność sto razy większa. Ale człowiek na miejscu wysokiem bywa nieraz sto razy głupszy od tego, który zajmuje miejsce najniższe. Taki głupiec w mate-

matyce należy do ułamków i jest jedną setną człowieka; a im jest głupszy, tem bardziej zbliża się do zera — prawda? Zażył tabaki i zdawał się przez chwilę myśleć o tem, co powiedział; potem zaczął przymawiać żakowi:

— Proszę bo, jak mi się taki waćpan wypaśł na ślicznych kluskach pszenicznych! A ziemia pocziwa proszowska co ma za to, że utuczyła tłustego pędraka? Czy mości Proszowianin wie, że zacny gospodarz zwraca ziemi wyssaną przez siebie z niej żyźność?... Waćpan bo wyciągnąłeś z gleby urodzajnej blisko sto funtów sadełka dla siebie, a — niewdzięcznik obrzydły — nie myśli, widzę, oddać jej ani łuta rozumu.

Chłopiec miał minę obrażonego, zaboląły go te przycinki, zwłaszcza, że koledzy zaczęli się z ławek szyderczo odzywać: „Sadełko! Sadełko!“ Odał więc wargi i mruknął coś pod nosem. Szymoński spojrział nań zukosa, pochłonął szczyptę tabaki, poczem rzekł:

— Mości o swoim miejscu nic nie wie i o miejscu liczb również! Pasorzyt bo, proszę patrzeć, okazały, w dobrej spiżarni wychowany! Tył, tył i utył, a nauczył się tylko jednej obraźliwości. Szkoła oduczy waćpana fochów, a nauczy matematyki... Na pierwszej lekcji uklękniij tymczasem dla nauki własnej! Spokorniejesz mi godnie, mości, znížysz się na ziemi.

Przejdźmy teraz do klasy drugiej i zobaczmy, co się tam dzieje w tym samym czasie. Na katedrze siedzi profesor Bożykowski, szczupły, jak trzaseczka, wygolony, starannie ubrany, liczy pewnie lat jakie pięćdziesiąt, o rysach twarzy szlachetnych, ale skrzywionych — wyrażających niezadowolenie, gniew czy urazę do świata. Jest to nauczyciel zoologii i botaniki, a oprócz tego w klasie piątej wyklada zasady mechaniki. Odbywa się właśnie pierwsza lekcja zoologii, podczas której pan profesor poznaje swoich uczniów, a od czasu do czasu rzuca im jakiś rys, charakteryzujący naukę przezeń wykładaną. Przemawia on z mocnym naciskiem, głosem skrzeczącym, jakby gniewnym, a na niektórych wyrazach się zatrzymuje, chodzi mu może o to,

aby na pewne pojęcia zwrócił uwagę słuchaczy. W całym sposobie zachowania się pedagoga przebiła opryskliwość, szorstkość.

— Zadaniem zoologa — mówił — jest poznawać organizmy zwierząt i sposób ich życia. Podobne zadanie ma botanik, którego przedmiotem badania są znowu ustroje, zwane pospolicie roślinami. Tylko proszę sobie nie myśleć, że się tu dowiecie, jakie krowy dają najwięcej mleka i które woły są najlepsze na opasy.. Zoolog i botanik mają za cel poznanie żywych dzieł stworzenia na naszej planecie, a tem samem wnikają oni w te wielkie plany, podług których Stwórca rozsiał życie po ziemi. Poznawanie więc zwierząt i roślin, jako dzieł bożych, jest poznawaniem Boga w jego wszechmocności twórczej.

Zatrzymał się, odrzucił głowę wtył, spojrzał gniewnie w kierunku uczniów i zapytał:

— Jak się nazywa ten człowiek, pierwszy z brzegu w drugiej ławce na prawo?

— Kapuszewski! Kapuszewski! Huknęło chórem z dziesięć głosów w różnych ławkach.

— Kapuszewski niech wie, że mi się nie podoba jego fizjonomja!... Nie lubię takich ludzi, którzy się podpierają na łokciach i ziewają.

Mówiąc to, ruchem szybkim i ze wstrętem odwrócił głowę w stronę przeciwną, poczem dodał:

— Zbawiciel świata wypędził z ludzi sprośnych szatanów lenistwa, a pozwolił im opętać bestje gruboskórne... Siadaj, Kapuszewski! Nienawidzę człowieka, którego grzechem pierwotnym jest lenistwo.

I przechadzał się teraz od katedry do tablicy z rękoma, założonemi na piersiach. Przystanął i, zwrócony do klasy, z głową zadartą, znowu począł nauczać:

— Zoologja zajmuje się także i człowiekiem, który jako rodzaj zawiera dwa gatunki: *homo vulgaris*¹⁾, bardzo zbliżony do małpy

¹⁾ Człowiek-prostak (łac.).

bezogoniej, i *homo sapiens*¹⁾, stworzony na obraz i podobieństwo Stwórcy. Pierwszy gatunek prowadzi życie zwierzęce, odznacza się drapieżnością, kierowaną przez instynkt żarłoczności. Skoro zaspokoi swój apetyt, popada, w gnuśność i z pokolenia w pokolenie brnie w głupocie, upadlającej rodzaj ludzki. Zoolog bada zęby, żołądek, kończyny w tym gatunku człowieka i tak go określa: Jest to zwierzę wszystkożerne, a choć pozbawione potężnych kłów, pazurów, przewyższa drapieżnością wszystkie inne bestje drapieżne...

— Z czego się śmieje ten drab w ostatniej ławce? Jak się nazywa?

— Sroczewski! — odpowiedziały głosy z ławek.

— Niech Sroczewski powstanie, chcę go całego widzieć!

W ławie podniósł się wyrostek, który już miał spory mech zarostu pod nosem i na brodzie.

— Przypominam sobie, że Sroczewski jest uczeń drugoletni... Osieł domowy jest zwierzę szpetne, ale użyteczne, przezorne, wytrwałe i wstrzemięźliwe... Pan jesteś kulan, to jest osieł dziki!

Wyrzekł ostatni wyraz z ogromnym naciskiem i znowu chodził po klasie z miną kwaśną, niezadowoloną.

— Sroczewski — mówił — w roku przeszłym nie przykładał się do zoologii, nie chciał i dziś nie chce poznać różnic, jakie zachodzą między bestją dziką a człowiekiem. Fizjonomja pańska bardzo mi się nie podoba... Możesz usiąść i do końca roku siedzieć na moich lekcjach; nie dbam o ciebie, panie Sroczewski.

Profesor zasiadł teraz na katedrze, otworzył dziennik, czytał listę uczniów klasy drugiej, którzy, wywoływani z imienia i nazwiska, powstawali w ławkach, przedstawiając się nauczycielowi.

— Krążyński Władysław!

Na wezwanie, powstał chłopak krępy, o małych czarnych oczkach, z czupryną szczeciniastą. Bożykowski zatrzymał na nim wzrok i rzekł:

¹⁾ Człowiek rozumny (łac.).

— Powiedz mi, Krążyński, co stanowi przedmiot badania zoologa, a co botanika i w jakim celu oni badają przyrodę żywą na naszej planecie? Chłopak począł się oglądać na kolegów, a najbliższych szturchał obiema nogami, poszeptując:

— Podpowiadajcie!

Jakoż zprzodu, z tyłu i z obu boków dały się słyszeć ciche podpowiadania, które Krążyński, jak mógł, łowił uchem i powtarzał za panią matką pacierz:

— Zeologia... zeologia... jest to historia... o człowieku i... i... małpie bezogonowej... Podpowiadacze sami nie rozumieli, co profesor mówił; każdy z nich pochwycił jakiś wyraz i podszeptował go koledze, który naprędce układał z tego zdanie.

— Ten Krążyński ma kluski w gębie i jest głupcem bezmyślnym — rzekł Bożykowski ze zgorszeniem.

— Siadaj, człowieku, upośledzony przez przyrodę! Całe swoje życie nie zdołasz umiejętnie wskazać różnic między prosięciem a skowronkiem... Kura ma więcej rozumu!

I, obrzucając wzrokiem całą klasę, zawołał:

— Chciałbym się przecież dowiedzieć, kto tu ma inteligencję? W odpowiedzi na to, jakiś chłopiec z trzeciej ławki nieśmiało wyciągnął dogóry dwa palce.

— Bardzo dobrze!... Lubię śmiałych i nawet jestem po-błażliwy dla zarozumiałych, gdyż tacy mają pragnienie wzniesienia się nad poziom, na czym zbywa nieukom i zwierzętom. A jak się nazywasz, mój chłopcze?

— Pietrzykowski! — odparł malec głosem drżącym.

— Nie bój się, mój Pietrzykowski, powiedz, o czym była mowa! Pokaż, że słowa wiedzy nie są perłami, rzucanymi w błoto!

— Ja proszę pana profesora o pozwolenie wyjścia na dwór, bo jestem chory... — wybełkotał chłopiec wybladły i pomieszany. Bożykowski zdumiał się zrazu tak niespodziewaną odpowiedzią, a potem splunął pogardliwie i zawołał:

— Idź pan do diabła i nie pokazuj mi się na oczy! Nie cierpię ludzi, u których przeważają funkcje życia zwierzęcego — animalizm!¹⁾

Po wyjściu Pietrzykowskiego z klasy, gorycz profesora nadzwyczajnie wezbrała: wykrzywił twarz, rzucał głową na prawo i na lewo. Nareszcie pochwycił skwapliwie pióro z zamiarem zapisania w dzienniku: „Klasa druga podczas lekcji zoologii okazywała bezprzykładny i godny kary brak uwagi“. Wtem w pierwszej ławie powstał malec, wątły blondyn, z wysokiem czołem, wielkimi niebieskimi oczyma.

— Czego chce? — zapytał profesor z porywczą opryskliwością.

— Powtórzyć to, co pan profesor mówił o zoologii i botanice.

— Proszę mówić! — rzekł Bożykowski i położył pióro na stole.

— Pan Bóg stworzył ludzi, zwierzęta i rośliny — mówił chłopiec z wielkiem przejęciem się, głosem wyraźnym, dźwięcznym, który porywał ucho do słuchania.

— Ludzie mają z Boga duszę, a różnią się od zwierząt rozumem i mową. Ale ludzie, tak samo jak zwierzęta, widzą, słyszą, czują, wachają, smakują; ludzie narówni ze zwierzętami jedzą, piją, oddychają, rosną, umierają — mają, podobnie, jak zwierzęta, głowę, nos, żołądek, nogi, i dlatego zoologja opisuje człowieka, jako podobnego do zwierząt. Rośliny, któremi się zajmuje botanika, w tem tylko są podobne do ludzi i zwierząt, że żyją.

Profesor słuchał z zajęciem niezmiernem tego opowiadania płynnego, które uczeń wygłosił bardzo pięknie z taką pewnością siebie, że ani razu się nie zająknął. Rozjaśnił się skrzywiony Bożykowski, zstąpił z katedry, zbliżył się do ławki, zapytując łagodnie:

— Jak się nazywasz, mój chłopcze?

— Jerzy Zdzenicki! — odrzekł uczeń, patrząc śmiało w oczy nauczyciela.

¹⁾ Zwierzęcość, ogół zjawisk życia zwierzęcego (z łac. *animal*, zwierzę).

— Mój Zdzienicki, przepowiadam ci, że nie będziesz człowiekiem pospolitym... Zostaniesz może poetą, filozofem albo — kaznodzieją sławnym. Pamiętaj sobie tylko, ażeby jaka pozioma skłonność nie stłumiła w tobie ognia zapału szlachetnego i pięknych zdolności umysłowych! Bardzo dobrze! Ocaliłeś bowiem honor klasy, to jest — gromady swojej, a taki człowiek nosi miano bohatera.

Wstąpił na katedrę i zapisał w dzienniku: „Zdzienicki Jerzy odznaczył się pilnością i bystrością umysłu, przeto zasługuje na szczególną pochwałę“. Zdawałoby się, że człowiek z klasy pierwszej, drugiej nie jest w stanie rozumieć takich nauczycieli, jak Szymoński, Bożykowski, którzy się nigdy nie zniżali do inteligencji malców, a wymagali, aby ich zrozumiano. Jednakże, zanim się doszło do klasy piątej, każdy znał nawylot sposób myślenia tych pedagogów i wszystkie odcienie ich charakteru. Ludziom dobrym, szczerym należy przebaczyć dziwactwa niewinne, a uczcić ich za pracę sumienną. Nauczali i nauczyli, wychowywali i wychowali. W naszych umysłach odbiła się ich umysłowość, w charakterach — ich indywidualność. Któżby śmiał być niewdzięczny względem swego prawego ojca duchowego?

Przybywamy na lekcję pierwszą do klasy trzeciej. Wychowanie szkolne miało trzy okresy: dzieci klasy pierwszej i drugiej stawały się nicponiami nieznosnymi, tak zwanymi „łobuzami“ w klasie trzeciej i czwartej; nicponie przeobrażali się w klasie piątej i szóstej na młodzieńców myślących. Jestem skłonny mniemać, że zbyt surowy rygor szkolny wyrządzał więcej szkody, niż pożytku dziełu wychowania: temperamenty wartościowe — krewkie, ogniste — nieraz szły na marne. Klasa trzecia zaczynała wytwarzać, a czwarta wykształcała owych wyuzdanych swawolników, bezczelnych zuchwalców, wobec których szkoła często — popadała w zwątpienie pedagogiczne: odrzucała od siebie niekarnego nicponia, oddając go na pastwę życiu. A życie?... Życie nieraz odrzucało i odrzuca ulubionych pieśczochołów szkoły,

a podnosiło i podnosi wzgardzonych przez nią, którzy nie wyczerpali swojej energii i ambicji w ubieganiu się o odznaczenia zewnętrzne, zachowując siły duchowe dla dzieł, godnych człowieka.

Do nauczycieli, których żacy — jak się to mówi — „za łeb wzięli“, należał Hieronim Świątecki, człowiek bardzo łagodny i dobry — do rany przyłożyć. Nigdy się nie unosił gniewem, nie marszczył groźnie, nikogo nie lajał ordynarnie, nie sfukał opryskliwie. Wchodził do klasy zwykle zadumany, spokojny, czasem dobrodusznie uśmiechnięty. Twarz jego pogodna, miła, niewieścia raczej, niż męska — choć poorana brózdami wieku, miała ów wyraz dobroci pobłażliwej, jaki się daje widzieć u matek słabych dla swoich dzieci. Czoło przyżółkłe, oczy przyćmione, bez blasku, brak energii w rysach twarzy, niepewność, brak swobody w ruchach, przemawiały dosyć wyraźnie, że to jeden z molów książkowych, którym życie upłynęło w ślęczeniu nad bibułą zadrukowaną. Przez pół godziny przesłuchiwał uczniów z lekcji zadanej — „wirywał do lekcji“, mówiąc słowami gwary szkolnej; resztę czasu obracał na wykład lekcji nowej — „zadawał“. Był to nauczyciel wszechstronnie wykształcony; więc dyrektor pchał go na różne zastępstwa, łątał nim w szkole wszystkie dziury, ile razy zabrakło nauczyciela fachowego do jakiegoś przedmiotu. Świątecki oddawał się wprawdzie mineralogji głównie, ale, kiedy zaszła potrzeba, musiał wyklądać nieraz geografję, fizykę, historję powszechną, algebrę, technologję, górniczą składnię lub stylistykę języka polskiego, nawet nauczał rysunków i kaligrafji. Trzeba przypuszczać, że i władza szkolna trzymała go za łeb, to jest robiła z nim, co jej się podobało. Przekonania, zasady — może ćwieki w głowie, któremi się kierował Świątecki, jako pedagog, były takie: „Dzieci są zawsze dobre. Wychowawca powinien się z dziećmi obchodzić szlachetnie, łagodnie, jeżeli je pragnie dobrze wychować. Należy ufać, wierzyć dzieciom, gdyż nieufność i podejrzliwość starszych zasiewają w sercach młodych ziarna nieszlachetności“. Od tych zasad uparcie nie odstępował przez całe życie. „Dzieci“ dawały i nauczycielom przewiska;

Bożykowskiego nazywano już „Pokrzywa parząca“, już „Bestja ostrokolczasta“; Świąteckiego — „Omnibus“, „Hiercio“, „Hornblenda“¹⁾. Pierwszego się obawiano, drugiemu ciosano kolki na głowie. Odbywa się właśnie pierwsza lekcja mineralogji w klasie trzeciej, a pan dyrektor, jakby natchniony duchem wieszczym, już na początku roku się odzywa: „Panie inspektorze, proszę pod szczególną opiekę wziąć klasę trzecią!“ Wszyscy trzecioklasiści wybornie znają Hornblendę, gdyż po całych Kielcach krążą tysiączne anegdoty o jego roztargnieniu i nieumiejętności postępowania z uczniami: niedołęga nawpół-głupi. Głównie też drugorocznicy umieją opowiadać mnóstwo wesołych historyjek, okrywających śmieszością zacnego profesora. Pierwszorocznicy wiele z tego już słyszeli, a teraz dowiadują się jeszcze rzeczy nowych. Każde pokolenie uczących się przechodzi przez klasę trzecią, przyjmuje od pokolenia poprzedniego tradycję, roznosi ją po kraju podczas świąt, wakacyj i składa wyraźne dowody, że jeśli profesor ma swoje przekonania niewzruszone, mają je także uczniowie. Uważniej się przyglądając, ludzie wogóle postępują tak samo, jak owe dzieci. Ostatecznie, w trzeciej klasie wiadano, że Hornblendę można „manić“, że się na jego lekcji nie uważa, że można robić, co się komu „żywnie“ podoba, a i tak będzie dobrze — włos człowiekowi z głowy nie spadnie. Pierwszorocznicy dużo słyszeli o tym profesorze, a jednak powiadają: „Nie mieliśmy wyobrażenia, żeby do tego stopnia“... Wśród gwaru, zgiełku wchodzi do klasy: ci tylko nie hałasują, którzy z ciekawością i z uśmiechem złośliwym na ustach chcą mu się przyjrzeć. Idzie do katedry, jak senny, a dłonią w dłoń lekko uderza i powtarza zcicha „cip, cip, cip“. Wygląda tak, jakby tej wrzawy wcale nie słyszał — wcale go to widać nie razi. „Cip, cip“ i jednocześnie zapisuje w dzienniku datę, przedmiot wykładu, treść lekcji, nazwisko swoje — na wszystko są rubryki. Skończył, klasnął w dłonie nieco silniej i nieco głośniej

¹⁾ H o r n b l e n d a — nazwa mineralogiczna pewnego gatunku kamienia.

powtórzył „cip, cip“, poczem zaczął wykładać. Mówił głosem donośnym, dźwięcznym: podał najprzód określenie nauki, przedstawił niezmiernie ważne jej znaczenie i związek z innymi naukami, wskazywał cechy znamienne państwa kopalnego. Niekiedy podnosił głos, kładł nacisk na pewne wyrazy, wychylał się z katedry ku słuchaczom — ożywiał się widocznie, wpadał w zapal. Cóż z tego, kiedy go nie słuchano: może tam gdzie i uważała jaka dusza spokojna i on do niej jednej przemawiał. Rozmawiano bez ceremonji o rzeczach potocznych, przeprowadzano układy, handle. Uczniowie pierwszorocznicy zawiązywali stosunki z drugorocznymi, którzy rzucali na nich urok lekceważeniem władzy szkolnej i jej przepisów. Jakiś dryblas rozparł się gnuśnie w ławie i daje oto rady, nauki sąsiadowi:

— Na jego lekcji się nie uważa... Jest przecie litografowany kajet mineralogji, a prymus tam zaznaczy, skąd-dokąd... Kto będzie chciał, może lekcję „wykuć“; ale i „kuć“ nie potrzeba, a można dostać dobry stopień... W zeszłym roku miałem zawsze czwórkę na cenzurę, a nie wyrывał mię ani razu: wpisało mu się w katalog i koniec... Hornblenda zawsze myśli o niebieskich migdałach, łatwo mu z pod nosa sprzątnąć katalog i wpisać sobie stopień... Jakby się nie udało, to też niema nieszczęścia... Ogromnie go łatwo „otumanić“, byle prędko językiem „pytlować“, nie zająknąć się ani razu, potem się uklonić, iść na miejsce bez pytania i koniec... Dopiero wtedy zaczyna uważać, kiedy uczeń stanie i nie wie, co mówić: u nas takich głupich nie było — wszyscy umieli „szklić“... Mówię ci, człowieku, sumiennie — żeby wszyscy belfrzy tacy byli, to żyć nie umierać!“

W klasie ciągle huczy, niby rój pszczół, czasem się wyrwie jakiś wyraz głośniejszy gniewu czy swawoli, czasem ławka rzaśnie, słychać zgłębienie uderzeń, szamotania: w ostatnich ławkach częstokroć odbywają się zapasy na pięści — „dzieci są dobre“. Wśród tych drugorocznych są i tacy, którzy znają słabości pana profesora, umieją w niego ugodzić, którzy się sadzą na pomysły bezczelne, zuchwałe i usiłują przez różne podejścia wytworzyć

kłopotliwe położenie „belfra“: urządzają sobie z nim wesołe widowiska. Świątecki jest szczęśliwy, gdy mu uczniowie stawiają pytania, gdy znoszą mu do klasy minerały i nastreczają mu sposobność do rozmowy naukowej: on to zowie „rozbudzeniem pragnieniem wiedzy, wewnętrznym interesem duszy młodej, rwącej się do światła“. Tymczasem są to wolne żarty, zasadzki na dobrą wiarę nauczyciela — tak dobrą, że jej długoletnie doświadczenie nie zdołało zachwiać. „Dobre dzieci, którym trzeba zawsze wierzyć, ufać“, zakładają istne fabryki fałszywych minerałów. Z pyłu szosy, chleba tartego, cegły, miałko tłuczonej, kredy, smoły, wosku, żywicy — może i sera — drogą prażenia, suszenia, robi się minerał i z tem przychodzi się do katedry, zapytując:

— Panie profesorze, jaki to jest minerał?

O, wtedy cała klasa wie, o co chodzi i z ciekawością patrzy, nasłuchuje, czy się Hornblenda da „złapać“. A Hornblenda zawsze z najlepszą wiarą ogląda, robi próby twardości, lgnienia do języka, pociera, wacha i niekiedy — wywiedziony w pole — pyta:

— Gdzie to, panie, znalazłeś?

Odpowiada mu się:

— Na „Miedzianej Górze“ albo „Pod Niewachlowem, na Kadzielni, Karczówce, blisko Sukowa“. Profesor zapisuje sobie tę daną i zabiera minerał do domu dla rozpoznania. Najczęściej jednak „nie daje się wziąć na kawał“, spostrzega podstęp przy pierwszych próbach; ale „dla dzieci trzeba być pobłażliwym, wyrozumiałym“. Świątecki miał zawsze w kieszonce kamizelki rzemyczek wąski, cienki, z węzełkiem na końcu, i w ostatnim razie narzędziem tem karcił „psotników“, którzy „niewinną swawolę“ posuwali za daleko: uderzał żaka rzemikiem w łapę lub w głowę, a przytem mówił: Wstydź się, „kruku morski!“ Innym razem zwał takiego psotnika „kogutem morskim“. Były to jedyne kary i jedyne łajania przezeń używane. Rumieńce występowały na jego twarzy bladej, kiedy czasem na korytarzu

w kancelarji, słyszał dyrektorskie łajanie uczniów: „Bydło, osły, hołoto!” W klasie posuwano nieraz śmiałość do tego stopnia, że sobie pozwalano pod bokiem Hornblendy rozmów głośnych o jego ukochanej córce, Frani, pannie już dorosłej: „Francia pana profesora jest najpiękniejszą panną w Kielcach... A jaka ona dobra, jaka mądra!... Całą mineralogję umie napamięć”. Może i w zadumie swojej posłyszał imię kochanej córki, gdyż się uśmiechnął. To zamyślenie człowieka i uśmiechanie się do jakiegoś obrazu, tkwiącego w myśli, stanowiły częstokroć przedmiot domysłów żactwa. „On się pewnie z tego śmieje, że inspektor w lecie nosi szopy!” Wiele jest takich, którzy się cisną do katedry, oglądają jego ubranie, buty, wsuwają mu w kieszenie kartki z wierszykami, albo nawet kredą opisują plecy. Jeszcze inni zasiadają u stóp jego, na podnożu katedry, gwarzą w najlepsze, rozprawiają. Świątecki patrzy na to wszystko okiem pobłażliwem i zapewne sobie myśli, że „dzieci mają do niego zaufanie, że go kochają”. Dobroć, łagodność, pobłażliwość miały — naturalnie — znaczenie wychowawcze w tej surowej szkole, gdzie się z nami obchodzono, jak z więźniami; ale mowy nie było o mineralogji, no, a tej dobroci jego nie można też wysoko cenić, gdyż nie zawładnęła sercami uczniów i nie umiała nimi rządzić, aby ich dobrze wychowywać. Świątecki, człowiek zacny, bardzo wysoko wykształcony, był wychowawcą niezdarnym, nieudolnym.

„W klasie czwartej są lamparty” — mówiło się w Kielcach, i były lamparty. Trudno tu rozstrzygać, co mianowicie w szkole naszej sprowadzało skutki wprost przeciwne tym, jakie usiłowano osiągnąć. Może systemat soczku brzozowego, stosowany przez inspektora, może już pierwsze wychowanie, przyniesione do szkoły z domów rodzicielskich, ogólne usposobienie ówczesnego społeczeństwa, a może wszystko to razem wzięte i jeszcze coś więcej. „Karność, karność!” — powtarzano na wsze strony i nieraz poświęcano wszystko dla karności, tymczasem młodzież, do której właśnie stosowano środki karności

w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu, stawała się najniekarniejszą: najsurowiej i najczęściej karani byli najkrnąbrniejsi. Ujawniało się to najwidoczniej w klasie czwartej. Malcy, chłopstani w klasach niższych z całą ścisłością, wbrew oczekiwaniu władzy, że im się nareszcie „napędzi rozumu do głowy“, wychodzili w klasie czwartej na „skończonych urwisów“, dla których nie było nic świętego — jak mawiał pan dyrektor. Wtedy szkoła przestawała się pastwić nad ciałem wychowanka, składała swój najgłówniejszy oręż wychowawczy i, bezsilna, oddawała społeczeństwu młodzieńców, bodaj czy nie przez nią wprowadzonych na złą drogę. Dyrektor corocznie przemawiał poważnie i z groźbą do różnych czwartoklasistów: „Ty, łotrze, wisisz tu tylko na jednym włosku!“ To znaczyło, że władza szkolna wielokrotnie karała już takiego „łotra“ za różne przestępstwa główne, a nadeszła chwila stanowcza i lada okoliczność wystarczy, aby się „włosek“ urwał i — wychowaniec wyleciał ze szkoły. Ów „wiszący na włosku“ niebardzo tam dbał o pobyt w szkole, owszem, uśmiechało się do niego powabnie życie swobodnego obywatela; ale wydaleniu ze szkoły zawsze towarzyszyła chłosta obostrzona w obecności ojca czy opiekuna, któremu do własnych rąk oddawano „wypędka“ z temi słowy: „Robiliśmy, co się tylko dało, i nic z nim nie można było zrobić!“ „Oj, ta czwarta!“ — uskarżali się każdego roku profesorowie szkoły realnej w Kielcach, nazwanej „wyższą“ niewiadomo dlaczego.

...Z pomiędzy wszystkich profesorów szkoły, najwięcej powodów uskarżania się na klasę czwartą miał pan Świdrowski, nauczyciel języka niemieckiego. Coprawda, prowadził on wojnę nieustającą z żakami całej szkoły; ale łatwiej mu się było opędać malcom z klas niższych, a nawet i zgłębić, podczas gdy czwartoklasiści zawsze go rozdrażnili, „żółci mu ulali, dali się we znaki“, a niemczyzny uczyli się, jak można najgorzej. Wychodząc z tej klasy, profesor sapał i chustką do nosa ocierał pot z czoła. Wysoki, „ciałowity“¹⁾, sztywny, z twarzą dziobatą, oczyma małemi,

¹⁾ Otyły.

Świder, jak go uczniowie nazywali, był uosobieniem pedantyzmu. Ubierał się zawsze bardzo starannie; kołnierzyki twarde, wysokie, podrzynały mu uszy, wybiegały na policzki i rażąco odbijały od twarzy czarniawej; halsztuk¹⁾ z czarnego atłasu, jak chomąto wiązał szyję i podpierał brodę; kamizelka w dwa rzędy guzików, bardzo szeroko wykrojona, pozwalała widzieć obszerne śnieżno-białe pole gorsu koszuli; granatowy frak mundurowy z guzami złotemi; spodnie z fartuszkciem²⁾; na głowie wysoka rura kastorowa³⁾ lśniącej czarnośći; w jednej ręce para białych rękawiczek, w drugiej parasol nieodstępny. A jakie to wszystko czyściutkie, świeże, nowe! Wejście jego do klasy miało powagę obrzędu uroczystego, który się odbywał podług stałego ceremonjału. Profesor stawiał najprzód w kącie parasol, jeśli było błoto, to i kalosze; następnie kładł na katedrze cylinder, co czynił z wielką rozważą: stanąwszy na wzniesieniu, spoglądał, czy krzesło jest czyste, podniósł oburącz końce fraka i dopiero zasiadał. Teraz dłońmi obu rąk przyglądał włosy, podług ówczesnej mody zaczesane na skroniach ku przodowi, spluwał na lewo, przysłaniając usta prawą ręką, poprawiał kołnierzyk i nareszcie wydobywał katalog z bocznej kieszeni fraka. Kiedy już ukończył te czynności przygotowawcze, rozpoczyna lekcję od wyzywania „na środek“ po kilku uczniów naraz. Lekcja taka odbywała się z przerwami, zwłaszcza, jeśli Świder miał dobry humor, gdyż w takim razie uczniowie zarzucali go pytaniami, wymagającemi obszernych odpowiedzi, albo przedstawiali mu jakieś sprawy, które rzekomo wymagały załatwienia prędkiego. Profesor bowiem, w przeciwstawieniu do Hegla⁴⁾, wyobrażał sobie, że wszystko, co jest, jest złe, a może się stać dobrem, gdy on to poprawi, urządzi odpowiednio, jak się zwykle wyrażał

¹⁾ Staromodny krawat.

²⁾ Kłapa nabrzuszną w spodniach staroświeckiego kroju.

³⁾ Cylinder.

⁴⁾ Filozof niemiecki pierwszej połowy XIX w.: głosił m. i. zaadę, że wszystko, co jest, jest „dobre“.

„przeprowadzi reformę podług swego własnego systematu“. Tak na przykład władza szkolna porządkowała uczniów w ławkach podług przeciętnego wypadku z sumy dodanych stopni, podzielonej przez ilość przedmiotów, i usadzanie urzędowe przeprowadzał co miesiąc inspektor; ale Świder postanowił, ażeby na jego lekcji uczniowie zajmowali miejsce w ławach stosownie do swoich postępów w języku niemieckim. Usadzanie takie sam przeprowadzał, co mu zajmowało całą godzinę; uczniowie bowiem dokładali wszelkich starań, aby tę czynność przeciągnąć i Świdrowi w przesłuchiowaniu lekcji, jako też w zadawaniu, przeszkodzić. Że zaś stopnie z języka niemieckiego podlegały nieustannej zmianie, przeto usadzanie podług nich należało często wznowiać. Ale miało się i inne sposoby, powstrzymujące go od prowadzenia właściwej lekcji, a czwarta klasa celowała pod tym względem. Oto Kulewicz staje w ławie i wystawia dwa palce dogóry.

— Czego chcesz tego tam? — zapytuje profesor.

— Prosimy pana profesora, żeby był łaskaw przeczytać nam *Walkę ze smokiem*, to takie ładne!... A inni z boku wykrzykują: „Ach, pan profesor tak ślicznie czyta!“ I rozlega się w całej klasie błagalne mruczenie: „Prosimy — wieersze, wieersze!“ Świder wydobywał z kieszeni znany poemat Szyllera *Der Kampf mit dem Drachen*, który zawsze przy sobie nosił, i zaczynał czytać. Co się też wtedy działo w klasie! Profesor wpadał w zapał nadzwyczajny, gdyż sobie wyobrażał, że ma głos piękny i nikt mu nie sprostą w sztuce deklamacji; krzyczał, to znowu zniżał głos, a towarzyszyły temu miny i ruchy bardzo pocieszne: marszczenie brwi, wykrzywanie twarzy, uśmiechy tkliwe, rozkładanie rąk, bicie pięścią w katedrę, tupanie nogą. Niektórzy uczniowie podczas tego zabawnie przewracali oczy, wznosili je dogóry i nibyto w zachwycie wołali: — „Ot, jej, jakież cudowne, prześliczne!“ Inni trzymali przy oczach chustki do nosa, rzekomo lzy ocierając. Jeszcze inni — wzruszeni jakoby w najwyższym stopniu — szlochali i sapali. A wszystko najprzód

obmyślił i ułożył niejaki Gamarski, ażeby lekcja języka niemieckiego przepadła. Czasem znowu w imieniu klasy występował tenże Kulewicz z taką prośbą: „Dla dobra nauki, upraszamy pana profesora o zaprowadzenie w naszej klasie audytorów“. Audytorowie¹⁾ stanowili słabą stronę Świdra i oś główną jego „systematu“ dydaktycznego. Dobór tych audytorów, zamianowanie dwóch nad-audytorów, przedstawienie im, co i jak mają robić, zajmowało także najmniej godzinę czasu. Z takimi i tym podobnymi przedstawieniami wypychano zawsze Kulewicza, który miał matkę Niemkę i z domu już wyniósł znajomość języka niemieckiego, a dawał do zrozumienia, że to zawdzięcza „systematowi“ pana profesora. Kulewicz był w łaskach; ale i on nie pomógł, jeśli Świder przyszedł do klasy zły, rozdrażniony, a najczęściej tak bywało. Jak miał być dobry, jeżeli dokoła niego istniały liczne przyczyny niezadowolenia?... Przewszystkiem pozostawał na stopie wojennej z „kancelarją“ — tak nazywał w goryczy swej dyrektora i inspektora. Inspektor bowiem, przeprowadzając nieustannie rozmaite śledztwa, badania wśród uczniów klasy trzeciej i czwartej, gdy jednego, drugiego należycie pociągnął za język, przekonywał się, że w klasach tych podczas lekcyj języka niemieckiego dzieją się nieporządki gorszące z winy nauczyciela. Spieszył więc niebawem z taką wiadomością do naczelnego zwierzchnika szkoły i donosił z urzędu swego: „Znowu mamy „awantury“ w klasie czwartej!“

— No, no, cóż tam takiego?

— Ha, Świdrowski, panie dyrektorze — jak to on — przesadzał uczniów podług swego widzi-mi-się, a uczniowie w to im graj! Przez całą godzinę łazili po klasie, drwili z niego, Bóg wie, co wyrabiali, byle czas zabić.

— Jakiż to nietaktowny człowiek! Uskarża się ciągle na klasę czwartą, a sam sobie winien... — To mi się już uprzy-

¹⁾ Uczniowie, wyznaczeni do przesłuchiwania kolegów z lekcji zadanych przed przyjściem nauczyciela.

krzyło!... Dobrze, dobrze, kochany panie, zrobimy z tego użytek! Trzeba koniecznie zapobiec!

I dyrektor wydobywał z kieszeni katalożek, w którym zapisywał różne uwagi nad członkami ciała nauczycielskiego, a teraz sobie krótko zaznaczył: „Świdrowski podnieca klasę czwartą do swawoli“. Przy pierwszej sposobności Świder dostawał „olbrzymiego nosa“, wracał markotny do domu i w oddzielnym katalożku pod właściwą datą zapisywał: „Z powodu wprowadzania w życie systematu pedagogicznego i koniecznych reform szkolnych, spotkało mię znowu prześladowanie ze strony kancelarii. Chcieliby mię — widzę — zrazić; ale znam swój obowiązek i umiem wytrwać na stanowisku“.

Nie to tylko jednak stanowiło przyczynę niezadowolenia, a nawet rozgoryczenia profesora. Oto, gdziekolwiek się ruszył, wszędzie spotykał napis „Świder“: na murach szkoły i seminarjum, na parkanach i ławkach w ogrodzie spacerowym, na dzwonnicy, na zamku, na każdym domu znaczniejszym, a także poza miastem, na słupach wiorstowych, na skałach Kadzielni¹⁾, murach klasztoru bernardyńskiego na Karczówce²⁾ i zresztą w miejscach, których nie wymienimy. Na ścianach białych pisano węglem, atramentem, ołówkiem; na poczeriałych parkanach — kredą, a byli i tacy, którzy ów napis wyrzeźbiali nożem na rosnących drzewach, skałach, murach, na ławkach w klasie. W całych Kielcach nie było nic popularniejszego nad ów napis. To też profesor, ile razy odbywał przechadzkę, zawsze z trwogą wznosił oczy na gmachy wznioślejsze, przeczuwając, że ręka nienawistna zapisała tam jego przezwisko. Zwykle nie doznawał zawodu i wtedy co tchu spuszczał wzrok ku ziemi, a w sercu jątrzył się straszliwie nienawiścią, pogardą dla „gałgąntuchów, duchów bestjałskich i kanalskich“ — tak nazywał uczniów w napadach złości. Razu jednego spostrzegł na kominie domu piętrowego wypisaną tę firmę swoją, co sprawiło, że na-

¹⁾ i ²⁾ Wzgórza malownicze w okolicach Kielc.

zajutrz wszystkim uczniom, „wyrwanym do lekcji“ w klasie trzeciej i czwartej, zapisał pałki z języka niemieckiego i ze sprawowania. Otóż, walka z kancelarją i z uczniami wyrobiła u profesora zgryźliwość, popędlliwość, lekceważenie, wzgardę dla całego otoczenia. Takie uczucia najwięcej szkody przynoszą temu, który je żywi i zaprawdę ciężko jest człowiekowi przebrnąć z nimi padoł doczesny. Świdrowski był istotnie nieszczęśliwy. Przecież wszystkie wspaniałe przymioty geniusza ludzkości nie skupiają się nigdy w jednym człowieku; ale każda jednostka ludzka posiada jakąś część tego znakomitego skarbu i z nią występuje do czynu na polu działalności powszechnej. Świder był nauczycielem pilnym, sumiennym i wkładał niemało zapału w pracę, a jednak usiłowania jego nauczycielskie nie wydawały owoców. Dlaczego? Na to pytanie odpowiedział był raz pan dyrektor podczas sesji pedagogicznej: „Pedagog głupi, a przytem uczciwy i przejęty swoją rolą, jest to największy wróg wychowania: taki, im sumienniej pracuje, tem więcej złego nabroi. Prawda, że się sam ośmieszy wobec uczniów i nie zdoła przeprowadzić swoich niedorzecznych jakichś tam reform, systematów; ale dziękuję za profesora, ośmieszonego w szkole!“ Całe grono nauczycieli obecnych na tem posiedzeniu wiedziało, do kogo dyrektor pije. Koniecznie chciał pozbyć się nieznosnego przezwiska „Świder“ i przemawiał do rozumu uczniów klas wyższych: tłumaczył im według zasad lingwistyki, że ród Świdrowskich wywodzi swą nazwę od Suider. „Przodkowie moi przybyli z nad zatoki Zuider-see¹⁾, zwali się „Zuidrowie“ albo „Suidrowie“, z czego przez przybranie końcówki polskiej *ski* powstało nazwisko „Zuidrowski, Suidrowski“; a że *swi* musi się zamienić na *swi*, przeto potomkowie Suidrów noszą nazwisko Świdrowskich, nie zaś Świdrowskich“. Lingwistyka nic a nic mu nie pomogła; żacy tem bardziej przezywali go „Świdrem“ i doprowadzili do ostatniego stopnia rozgoryczenia.

¹⁾ W Holandji.

Pan Kryspin Zaworski odbywa w klasie piątej lekcję wstępną historii powszechnej, a naucza on także geografji w klasach niższych. Był to jedyny w szkole realnej filolog, gorący wielbiciel klasycyzmu, i zapewne z tego powodu z jakimś lekceważeniem spoglądał na ludzi, nie mających pojęcia o „boskim“ Homerze, „nieporównanym“ Wirgiliuszu i „wiecznie młodym“ Horacym. Słyszało się nieraz u ust jego: „Kielce — ha, ha, ha!... To nie Ateny, dalibóg — gorzej, niż osławiona Abdera!...¹⁾ To *vicus barbarorum*! Ha, *oppidum obscurum, miserrimum*!“²⁾). Kto się nie uczył w domu rodzicielskim po łacinie, nie rozumiał profesora, a jeśli się taki znalazł w klasie, zyskiwał jego względy. Wywierał on wpływ na umysły wrażliwsze, ponieważ poza światem zwierząt, roślin, minerałów, sił i procesów przyrodniczych, figur i formuł matematycznych, ukazywał świat dziejów, sztuki, poezji. Ale były to raczej jego zachwyty osobiste, napomknienia niejasne dla nas i niezrozumiałe, którym brakowało bądź gorliwości wychowawczej, bądź metody, prowadzącej do celu. Znaczyło i tak wiele, że podniecał tego i owego, obudzał interes wewnętrzny. „Cywilizuj się, barbarzyńco!“ — wołał nieraz na ucznia, któremu trudność sprawiało wymawianie nazwisk greckich: Arystydes, Tucydydes, Arystoteles, Halicarnasius, Massagetha. Już w ostatnich latach istnienia tej szkoły realnej zaprowadzono poza planem szkolnym nieobowiązkowe lekcje łaciny, której nauczał Zaworski. Różni ojcowie zalecali synom naukę tego języka: „Książdz, doktor, aptekarz muszą koniecznie umieć po łacinie!“ Profesor drwił z tego niełitościwie: „Jeśli tylko o kabzę chodzi, to się i bez łaciny można obejść... Poco aż na Kapitol się wspinać?“ Uczniowie przezwali go „Hebes“, ponieważ on tak nazywał każdego nieuka, a wszystkim próżniakom i osłom zbiorowo nadawał nazwę „Azja“. Usiadł oto na katedrze, wsparł się na łokciu, pogrążył palce w czuprynie bujnej,

¹⁾ A b d e r a — słynna w starożytnej Grecji z nieuctwa mieszkańców.

²⁾ Siedziba barbarzyńców! miasto ciemne, arcyliche! (po łac.).

starannie trefionej, i wodził oczyma po ławach. Do klasy piątej wstępowało się na zasadzie surowego egzaminu z czterech klas niższych; ale tę surowość stosowano tylko do matematyki i nauk przyrodniczych, na inne przedmioty patrzano przez szpary. „Trygonometria, sekcje koniczne ¹⁾, geometria wykreślna, algebra, mechanika, fizyka, chemja, geografia matematyczna potrzebują głów nie sianem, nie wiórami wypchanych!” — wykrzykiwał pan dyrektor, stawiając na egzaminie pałki czwartoklasistom, których nie chciał wpuścić do klasy piątej. „Bo, jak go wpuszczę, to będzie chciał wyjść, pójdzie na wydział matematyczny i narobi szkole wstydu“. Niejeden atoli złożył dobrze egzamin z matematyki, a nie umiał wypracować piśmiennie najprostszego opisu. Zaworski znał tych uczniów i, robiąc teraz ich przegląd, mówił z ironicznym uśmiechem na ustach: „He, he, he, co ja widzę!... Hordy Azjatów grożą zalewem Europie... No, no, niech tylko barbarzyńcy nie myślą, że wszystkie rozumy posiadli, ponieważ wiedzą, jak się robi mydło, wypala wapno i przetapia ruda żelazna!“ Zaczął wyklądać i spostrzegł, że któryś z uczniów ziewa. „*Aetas aurea appropinquatur* ... ²⁾, Hebesie ³⁾, połóż się brzuchem dogóry na słońcu, a słodkie miody z drzew rajszych będą ci same w gębę otwartą siurczkiem spływały!“

.....

Z godnością i namaszczeniem nosił powagę swoją pan Ignacy Stawski, starszy nauczyciel języka rosyjskiego. Posiadał on wszystkie warunki, niezbędnie człowiekowi potrzebne, aby mu względnie dobrze smakował twardy kawałek chleba nauczycielskiego. Był to zasobny stary kawaler, który nie potrzebował drzeć o przyszłość: gdyby go nawet emerytura ominęła, miałby

¹⁾ Sekcja koniczna — (mat.), przecięcie stożkowe, płaszczyzna.

²⁾ Zbliża się wiek złoty! (po łac.).

³⁾ Nicponiu.

i tak żyć z czego. Taka pewność materialnej podwaliny pozwalała też Stawskiemu, jako pedagogowi, być dosyć niezależnym względem despotycznego dyrektora szkoły. Zimny, spokojny, jakby wykuty z marmuru, bez uśmiechu, bez zmarszczki gniewu, jednostajny w tonie głosu, w ruchach miarowych, poważnych, przez całą godzinę nauczał, egzaminował i równo z dzwonkiem przerywał lekcję. Wzrokiem utrzymywał w klasie porządek i nigdy nie tracił czasu, jak inni, na udzielanie przestroóg, napomnień; a jednak nie było przykładu, ażeby któryś żak dopuścił się jakiego wybryku pod wpływem zimnych, burych oczu profesora. Był on uosobieniem taktu nauczycielskiego, to jest niezłomnej rutyny, która wcieliła w postępowanie wszystko, co się dzieciom narzuca, jako powaga, i — woli stanowczej, która to wiązała i utrzymywała zawsze w jednej mierze. Każdy nauczyciel, obarczony pracą, jeżeli tylko nie chce zużyć się przedwcześnie i zniechęcić do roboty, musi sobie znaleźć taki *modus vivendi* ¹⁾, taki spokojny nałóg postępowania. Nie różga to i koza inspektorska, nie srogość dyrektora wprowadzały do szkoły pierwiastek karności i rządu pedagogicznego; jedynie zimna krew Stawskiego, jego takt nadzwyczajny, czyniły zadosyć temu wymaganiu. Ale już poza szkołą nie wywierał on wpływu na uczniów.

Nie będę tu wymieniał różnych innych pedagogów szkoły, gdyż ich fizjonomje fizyczne i duchowe nie wywarły na władzę pamięci silniejszego wrażenia, a z tego powodu zupełnie się w niej zatarły.

II.

Były onego czasu w Kielcach panie, rozmaite wdowy-niewdowy, które utrzymywały tak zwane stancje czyli pensjonaty uczniów. Ojcowie, nie mający funduszków dostatecznych, aby pomieszczać synów u któregoś z profesorów, co kosztowało drogo, zasięgali języka o różnych innych stancjach i oddawali malców

¹⁾ Sposób życia (po łac.).

pod opiekę tej lub owej „studenciarki“, jak się wtedy mawiało. Swojego czasu używała była sławy stancja niejakiej Lodowskiej, nazywanej przez uczniów „Biskupicą“, gdyż się nieustannie przechwalała, że jest siostrą jakiegoś zmarłego już biskupa. Nasi ojcowie mniej dbali o odżywianie synów, a to stosownie do panującej zasady: „Chleb ma rogi“ i — *plenus venter non studet libenter*¹⁾. Zdaje się, że na sobie sprawdzili wartość tej zasady, chcieli więc synom ująć obroku. A może też i przewidywali wieszczco lata głodu... Główną siłę wychowawczą na takiej stancji stanowił korepetytor, który przez ciąg roku szkolnego prowadził kampanję, ujadając się z żakami; gospodyni w każdym razie chowała do kieszeni zebrane wawrzyny, jako gotówkę. Przedsiębiorcy, zarobkujący na cudzych mózgach i żołądkach, nigdy nie bankrutują, jeżeli sobie zysk jako cel postavili. Dawniej, podobnie, jak dzisiaj, rodzicom chodziło tylko o to, aby syn z roku na rok otrzymywał promocję. Podstawy dzielnego charakteru męskiego, rozumu rzetelnego były i są ilościami niewiadomemi w równaniach wychowania; troska o nie rzadko kiedy oblegała głowy rodzicielskie i często można było słyszeć wyznanie szczere: „Ja tam nie chcę, ażeby syn mój był filozofem“. Nagrody, pochwały, promocje, świadectwa i patenty — oto cele, dla których się posyłało dzieci do szkoły, a i dziś niewielkie zmiany zaszły pod tym względem. Korepetytor na stancji miał więc nielada zadanie, ażeby „wydębić“ — jak mówiono — na różnych nieukach „trójkę przeciętną“, potrzebną do promocji. Ha, w krajach, gdzie ludzie mają plecy obnażone, przy pomocy kija wznoszono piramidy! Skóra malca jest bardzo wrażliwa!

Sama pani Lodowska, kwoczka cudzych piskłat, odgrywała niezmiernie małą rolę w tem dziele zarobkowania na żołądkach żaków, obdarzonych żarłocznością gąsienic. Chleb ma być świętem prawem ludzi, ale o tem wie tylko Bóg i — głodni

¹⁾ Brzuch pełny nie uczy się chętnie (po łac.).

Największe prawo do chleba mają ci, którzy go zjadają za głodnych. Lodowska utyla na żakach. Żywo mi stoi przed oczyma dziś jeszcze postać Biskupicy, wizerunek stylowy ówczesnej staruszki-szlachcianki. Wysiaduje całemi dniami w fotelu z pokryciem włosianem czarnem, ma na głowie czepiec czarny koronkowy z końcami wolno puszczonemi; a z pod czepca wycierają dwa loki włosów białych, zwinięte na skroniach w pukle, które przypominają wióry. Jest to osoba pełna w sobie, zaokrąglona we wszechciele; z godnością surową wodzi wkoło oczyma dużemi, wyblakło-niebieskiemi i albo odmawia koronkę, albo, nałożywszy okulary, wykończy na drutach jakieś chusteczki włóczkowe, rękawiczki z pół-palcami, zarękawki, czy co tam. Ma ona zawsze na podręczu ziarnka palonej kawy, które żuje: używka ta była w modzie u kobiet ówczesnych. Kot biały, Miluś, którego oczy przypominały i wyraz łagodny, i barwę oczu pani, wysypiał się zwykle na jej podółku. W warsztacie karmienia „uczniaków“ drugą osobą główną po korepetytorze była córka Biskupicy, Kasia, zwana przez pensjonarzy „Katarynką“: w języku młodzieży szkolnej właściwie imię i nazwisko nikomu nie wystarczało. Ta panna, licząca mniej więcej dwadzieścia lat życia, pulchniutka, okrągłuchna na wszystkie strony, różowo zabarwiona na twarzyczce, nadzwyczajnie czynna, gospodarna stanowiła duszę kuchni i spiżarni pod firmą macierzyńską. Ona zakupywała na targach przedmioty spożywcze, wydawała śniadania, obiady, podwieczorki, kolacje i pełno jej było w kuchni. Po wyjściu uczniów do szkoły, robiła porządki przy pomocy dziewczki w dwóch izbach studenckich, istnych stajniach Augiaszowych. Jeżeli który żak zachorował, ona wyrokowała nie odwołalnie, czy należało przyzwać lekarza, gdyż umiała biegle odróżniać choroby rzeczywiste od udanych. Na wypadek nieobecności korepetytora uśmierzała wrzawę rozszalałych malców, a częstokroć nawet musiała własnoręcznie rozbrajać zapamiętałe walczących, co było zadaniem bardzo trudnem. Zawierała umowy z rodzicami, pisywała do nich listy, przedstawiała im rachunki,

prowadziła rejestra i utrzymywała kasę przedsiębiorstwa. Katarzynka, z powodu skąpstwa i ogromnej stanowczości, przez cały rok szkolny pozostawała na stopie wojennej z pensjonarzami, głównie — z najmłodszymi, jako najżarłoczniejszymi i najkrnąbrniejszymi. Miano do niej wieczną urazą o to, że jest kobietą, a przewodniczyć chce płci męskiej, — że wydaje na stół za małe kawałki chleba, mięsa, sera, — że ze sknerstwem szafuje masłem, cukrem, mlekiem i t. d. Jakże tu zaspokoić głód żarłoków, mając przytem i głównie na oku zarobek własny? Dzielną, wytrwałą pomocnicą panny Lodowskiej była Łucka albo Łusia, zwana przez uczniów „Dragonem” — dziewczka przysadzista, szeroka w plecach, czerwona, jak burak, zawsze spocona, rozczochrana i bardzo wojowniczo usposobiona względem uczniów. „Ktoby też kiedy mógł nasycić to psiarstwo?... Waża z komina nie schodzi, a zawdy im mało i jeszcze jeden drugiego obżera”.

Dźwignią w porządku wyższego rzędu, przedstawicielem wiedzy i zasad wychowawczych, które garnkuchnie Biskupicy zbliżały poniekąd do zakładu edukacyjnego, był korepetytor, Wojciech Stępowicz. Młodzieniec ten dwudziestoletni, dobrego wzrostu, posiadał taką siłę, że — jak upewniali świadkowie wiarogodni — kiedy mu się udało podbić rzetelnie piłkę palantem, to piłka zupełnie znikiała wgórze z oczu. Czarny, dziobaty, zezowaty, szpetny na twarzy, miał duszę z kamienia, rękę z żelaza, i utrzymywał w surowej karności jedenastu chłopaków. Łapy, wymierzane przezeń potężną linją dębową, szturchańce w kark, targańce za uszy, włosy i inne energiczne środki edukacyjne wyciskały codziennie z oczu żaków zdroje łez obfitych. Wychowano go podług takiego właśnie systematu, więc i on w podobnyż sposób wychowywał pokolenie najmłodsze: bił, a płaczu nie znosił. Trudno byłoby stanowczo dowieść, że wychowywanie przez zadawanie cierpień ma tylko swoje złe strony. Stępowicz uchodził w Kielcach za znakomitość korepetytorską; to też malcy obdarzyli go przezwiskiem „Madej”. Okropne były chwile wy-

dawania lekcji i owe godziny korepetycji odprawianych pokolei z klasą pierwszą, drugą, trzecią. Plagę żaków stanowiła arytmetyka w połączeniu z geometrią; nie można „wykuć“ pamięciowo, trzeba koniecznie zrozumieć i tego rozumienia napędzano bólem. W cierpieniach ciężkich rodziły się nasze pojęcia ilości, rozciągłości. Zналиśmy takich, którzy dopiero pod wpływem strachu rozpoczynali pracę myślenia, jakkolwiek psychologowie uważają trwogę za wroga myśli. Madej głównie dokuczał chłopcom papinkowatym, płacziwym pieścuchom mam; okazywał zaś niejaka przychylność chłopakom zaciętym, wytrzymałym, którzy znosili męczarnie z zębami zaciśniętymi — bez łez, bez pisku — jakgdyby nie odczuwali bólu. Jeżeli takich walił, to jedynie, aby ich doświadczyć, o ile też są wytrwali. Trzeba mu przyznać, że był bardzo sumiennym rzemieślnikiem, nadzwyczajnie dbałym o dobre wykończenie powierzzonej sobie roboty. Biada żakowi, który trzeci raz zrzędu wydawał przed korepetytorem jedną i tę samą lekcję, a jeszcze jej nie umiał! Lodowska zasympiała nieraz, słuchając, jak Madej wykrzykuje głosem ponurym: „Ośle, mazgaju, bęcwale, trutniu!“ A wślad za tem rozlegały się uderzenia linji — pac, pac, pac... I krzyk nieraz mniej wytrzymałych: „Oj jej, jej, jej!...“ „Mój panie najśłodszy!“ Jeżeli zdarzenie było bardzo hałaśliwe, Katarynka stawiała pod drzwiami i nasłuchiwała, zagryzając ulubiony chleb świętojański albo cukier lodowaty, migdałki, następnie opowiadała matce, kto i za co odebrał karę. Te kobiety wiedziały, że Stępowicz na nie pracuje. Niekiedy krzyki nadzwyczajne sprowadzały pod drzwi także Łuckę, ciekawą posłuchać, który „studenciak znowu co przeskórzył.“ Dziewka miała serce dla najmniejszych żaczków, wzruszała się ich cierpieniami i czasem nawet usiłowała zmiękczyć twardego korepetytora. Oleś Puszewski, plaksa lękliwy, tkliwy i delikatny, prawie cały czas pozaszkolny nie ocierał łez z oczu; częstokroć łzy mu spływały w talerz zupy albo — w szklanke mleka, już i tak przez Katarynkę rozwodnionego. Baba — tak zwano Olesia — kilka razy potajemnie zwracał się ze skargą do

samej pani Lodowskiej; ale Biskupica uspakajała go temi słowy: „Mój brat, nieboszczyk biskup, zawsze powiadał, że człowiek odbiera karę, choćby niesłuszną, jedynie dla swego własnego pożytku... Oprócz tego, pamiętaj sobie, chłopcze, mój brat nieboszczyk biskup mawiał: Wszelka władza pochodzi od Boga... A był to człowiek wielki, znakomity“. Gospodyni także bała się tego surowego korepetytora i okazywała skłonność do wierzenia obiegającej na stancji między żactwem wieści, jakoby nawet pan inspektor bardzo starannie unikał wszelkich zatargów z niebezpiecznym Madejem. Puszewski miał przyjaciółkę i opiekunkę w Łuccie, która się rozżalała nieraz nad jego niedolą i, gdy spotkała chłopca gdzie w samotności, wsunęła mu w rękę jabłko, gruszkę, kilka śliwek, orzechów. „Niebożátko moje, chudzinka“ — mówiła, głaszcząc go po głowie pod brodę łapą grubą, brudną, opieczoną przy ogniu. „Trzeba na to Heroda ostatniego, żeby umęczać takie niewiniątko!“ Mordercze korepetytorstwo osiągało cel pożądaný i młode pokolenie narodu na stancji u Lodowskiej pod wodzą Madeja w ciągu dwóch lat przechodziło z klasy do klasy. „O, my tego nie znamy, co to jest uczeń marnujący dwa lata w jednej klasie!“ — przemawiała chępliwie Katarynka do ojców, którzy byliby radzi coś utargować z ceny ustanowionej za wyżywienie synów i opiekę macierzyńsko-ojcowską nad nimi. Łucka też z tego samego powodu zachowywała w postawie bardzo dużo godności, chcąc dać do zrozumienia, że na stancji, gdzie ona działa, wszystkie „uczniaki“ dostają promocje. „Dokuczliwe to-to, nikiem psiaki, a jak się rozjadą, to człekowi markotno.“

Dzięki mozolnym usiłowaniom Madeja, stancja Lodowskiej podniosła ceny, zaczęła należeć do zakładów wychowawczych kosztowniejszych i trzeba było na pół roku przed wakacjami zamawiać miejsce dla pensjonarza. „My, właściwie mówiąc, nie utrzymujemy stancji, tylko — pensjonat, zakład naukowy“ — były słowa Katarynki, która nie mogła znieść tego, ażeby ktoś mógł porównywać stancję Lodowskiej z innemi stancjami

Szyfrowe prace.

w mieście. Obowiązki korepetytora przepisywała władza szkolna, a były one takie: korepetytor codziennie rano i wieczór musiał odmawiać pacierz z uczniami; przestrzegał gorliwie, ażeby żaden z powierzonych jego opiece malców nie kurzył fajki; przesłuchiwał każdego żaka, czy umie dobrze napamięć lekcje, zadane przez szkołę; nauczał zasad arytmetyki i geometrii w zakresie, przepisany dla każdej klasy; w rekreacje ¹⁾ i święta winien był z całą gromadą odbywać przechadzki. Ile razy przechadzka miała nastąpić, Stępowicz umawiał się poprzednio z jakimś innym korepetytorem, który zabierał znowu swoją stancję i tak dopiero dwa towarzystwa albo używały gry w palanta latem, albo zimą zabawiano się w obleganie i zdobywanie tak zwanej fortecy. Madej odznaczał się wielkim zapałem do gier wspomnianych, a stancja Biskupicy zawsze zwyciężała, ponieważ wódz jej nie pojmował, co to jest pierzchnąć z pola bitwy przed nieprzyjacielem. Kto od Madeja otrzymał uderzenie piłką w plecy, ten długi czas pamiętał, gdzie go zaswedziło. Podczas zdobywania wałów fortecy, usypanych ze śniegu, piguły lodowate warczały w powietrzu, a wódz szedł na czele, wołając: „Za mną wiara!“ Tak wyćwiczył, wymusztrował swoją stancję, że nawet Oleś Puszewski, choć z płaczem i strachem, szedł do szturm, a nikt nie śmiał pomyśleć o odwrocie.

Jeden tylko uczeń na stancji Lodowskiej nie podlegał tyrańskiej władzy Stępowicza, mianowicie — kolega jego z klasy pierwszej, Janek Łukowski, który, odsiadując po dwa lata w każdej klasie, był właśnie obecnie czwartoklasistą drugoletnim i obchodził się bez korepetytora. Pamiętam go bardzo dobrze i widzę, jak doczyścza mundurek z najmniejszej plamki, — jak usiłuje doprowadzić buty do połysku świetnego, albo — jak oburącz wciera w czuprynę wonną pomadę topolową. Zawsze się tak stroił, przygotowywał, ile razy zamierzał wyjść na ulicę; jak raz w tym samym czasie, kiedy uczenice szkoły pani Kalińskiej

¹⁾ Dnie wolne od nauki szkolnej.

używały przechadzki, Janek, wyświeżony, cały pachnący, jak apteka, lubił defilować przed szeregiem dziewcząt młodziutkich, które znał z imienia i nazwiska. Pewnie serce przemawiało głosem znanym każdemu: „Trzeba kogoś kochać!“ I Janek szukał owego przedmiotu miłości, nie wiedząc, gdzie go znajdzie, a szukał wszędzie, gdzie się dało. W czasie adwentu¹⁾ nigdy nie zaniedbywał rorat²⁾, co zacny ksiądz prefekt przypisywał uczuciom pobożności; tymczasem Janek na tej drodze skarbił sobie względy Katarynki, której przyświecał swoją latarką w podróży do kościoła. Człowiek, pragnący kochania, zawadzi nieraz i o serce z lodu, a to może jest lepsze, niż bezmyślnie namiętne rzucanie się ćmy w płomień żywy. Nasz czwartoklasista był to kształtny, wysmukły brunecik, a grzeczny, a nadskakujący, przystojny brunecik — jeden z takich, których się lubi na rzut oka, bez zdania sobie sprawy za jakie przymioty. Miał główkę małą, włosy nieco kędzierzawe, czoło wąskie, uśmiech lekko głupkowaty, zalotny, a cały wyraz twarzy zdawał się przemawiać: „To jakiś miły człowiek!“ Był istotnie miły i na stacji u Biskupicy jaskrawo odbijał od wszystkich żaków, jako też od ich korepetytora. Ci wszyscy pensjonarze skwapliwie stronili od wody, mydła, grzebienia; nosili mundury zaplamione, spodnie wystrzępione u dołu, buty wykoszlawione, czapki bez podszewek i z daszkami połamanymi; koszule ich, o ile się wychylały z rękawów mundurów, wyglądały, jak urodzajna ziemia święta. „Ależ to istne warchlaki w barłogu!“ — zawołał raz profesor Przeborski, który z urzędu miał obowiązek odwiedzać stację Lodowskiej, a odznaczał się wielką starannością w ubiorze. U niektórych malców brud i atrament wrosły w palce i za paznogie tak uparcie, że matki na żaden sposób nie zdołały tego wywabić w ciągu wakacyj. Głównie też po ukończeniu wydawania lekcji przed korepetytorem rzucały się każdemu w oczy owe łapy wstrętne brudne, a napęcz-

¹⁾ Okres czterotygodniowy do Bożego Narodzenia.

²⁾ Nabożeństw, odprowadzanych wczesnym rankiem.

niałe od uderzeń linją, ponieważ je, jako zbolale, żacy trzymali zawsze na wierzchu przed sobą. Jeszcze osobliwiej wyglądały twarze niektórych płaksów: brud i atrament rąk, dłonią wcierane razem ze łzami, tworzyły tu desenie cieniowane — coś w rodzaju jabłkowitości u koni różnej maści¹⁾. Umywanie, mianowicie w porze zimowej, stanowiło czczy obrządek zanurzania rąk w wodzie i oplukiwania policzków zlekka. Tylko Janek, obnażony do pasa, umywał się długo, cierpliwie, starannie — z namaszczeniem. Katarynka, już i tak zapracowana, napierana listami matek, wtrącała się niekiedy w sprawy czystości ciała i odzieży; nie słuchano jej jednak, gdyż większość znaczna żywiła niezlomne przekonanie, że mężczyźni nie powinni ulegać kobiecie. Co się tyczy Łucki, nieporządek „studenciaków“ był dla niej rzeczą obojętną: uważała go za zupełnie naturalny. Madej, naczelnik stancji, sam nosił się dosyć niedbale i wygląd brudny żaków nie raził go wcale. Panna Lodowska usiłowała zwalić na jego głowę i trud opieki nad utrzymaniem czystości wśród żactwa, a przynajmniej pragnęła zyskać poparcie na tem polu władnego korepetytora. Ale napróżno raz i drugi napomykała, że „bielizny uczniaków doprać się nie można“; Stępowicz tak wyglądał, jakgdyby jej dawał do zrozumienia: „Robię, co do mnie należy; jednakże nie myślę być niańką i praczką tych dzieci“. Więc wobec okoliczności bardzo sprzyjających bakterje niechlujstwa zamnożyły się na stancji i, aby je wyplenić, potrzebna tu była jakaś nowa władza *ad hoc*²⁾. Czasem atoli, jeżeli ten stan rzeczy zahaczał już o któreś z praw szkolnych, inspektor brał w obronę ideę porządku i — trzeba przyznać — zawsze skutecznie. Na widok gorszącego braku guzików u munduru albo — przydługich włosów rozkostrzewionej czupryny, zbliżał się do winowajcy z uśmiechem szatańsko-złowrogim, ze spojrzeniem zmijowatym i bez długich ceregieli zapraszał do komórki na

1) M a ś ć — barwa końskiej sierści.

2) Umyślnie wyłoniona (dosł.: *do tego*; po łac.).

„soczek brzozowy“. Człowiek już zgóry wiedział, że za taką „sprawkę“ czeka go, i to niezawodnie, jak amen w pacierzu, uświęcone zwyczajem pięć odlewanych. Ból cielesny wytwarzał, naturalnie, gorycz duchową, uczucie ogromnie niepożądane przez pedagogów; więc pan inspektor uważał sobie za obowiązek święty złagodzić ową gorycz, przemawiając do obitego głosikiem słodziutkim: „Kochaneczku, to ci się przyda! Nauczyłem cię, że prawa trzeba szanować... Zostaniesz obywatelem i nauczysz innych!“ Takie drobnostkowe kary nie wymagały współudziału Jacka. Jeżeli to jednakże była chwila szczęśliwa, chwila rzadka, w której pan inspektor, już syt smagania, miał prawicę zbyt mocno spracowaną, wtedy cała sprawa kończyła się na tymczasowym ostrzeżeniu: „Nie igraj, bo się doigrasz! Rózcza będzie w robocie!“ Tyle tylko powiedział, grożąc na swym nosie wielkim palcem, a człowiek już wiedział, o co chodzi. I to się zdarzało w takich razach, że pan inspektor w jaką godzinę po daniu ostrzeżenia, gdy sobie nieco wypoczął, zrywał się do czynu: wypukiwał żaka z klasy podczas lekcji i wiódł do komórki, ażeby prawu złożyć ofiarę. Bo dlaczegoż miał czekać do jutra, skoro przekroczenie prawa nie podlegało najmniejszej wątpliwości, a sprawiedliwość i na chwilę zasnąć nie powinna? Tak czy owak, „kochaneczek“, bądź „rózczką upomniany“, bądź „ostriżony“, brał dyskę od Katarynki, która sumę ową zapisywała niezwłocznie w rachunku ojca „na strzyżenie“, i pędził do pierwszego lepszego golibrody. Oj, było nieraz dużo wydziwienienia przy takim strzyżeniu! „Święci Pańscy, jeszczeż też nigdy w życiu nie dotykał głowy tak zapługawionej!“ Przyszywanie wszelkich guzików stanowiło jeden więcej obowiązek Dragona, ponieważ, według zdania pani Lodowskiej, Katarynka, siostrzenica nieboszczyka biskupa, nie powinna — broń Boże — tykać żadnych guzików ubrania męskiego. „Nigdy, przenigdy na to nie pozwolę, ażeby się Kasia tak poniżała!“ Wstręt do czesania, powszechny u pensjonarzy na stacji Biskupicy, można poniekąd usprawiedliwiać godnym oplakania stanem, w jakim się znajdowały ich głowy

młodziutkie. Zaprawdę, trudno było drapać twardym grzebieniem czaszkę, pełną guzów, zboląłą od prztyków koleżeńskich, poranioną w rozmaitych bójkach, upadkach, a przytem mającą uszy naddarte przez korepetytora i jakby przylepione. Porządkowi w odzieży i utrzymaniu ciała ściśle odpowiadał brud i ogromny nieład w łózkach, kuferkach. Ileż to razy niedojezdzony kawałek chleba z masłem, serdelek, piernik, ciastko chowaliśmy pod kołdrę, poduszkę, ażeby je dobrze ukryć przed oczyma drapieżnego, a silniejszego towarzysza! On i tam niejednokrotnie dotarł, zabrał, zjadł rzecz znalezioną, a w dodatku cię wyśmiał. Zwoje szpagatu, rzemyki, fajerwerki, minerały, różne guziki — leżały w kuferkach, poprzekładane bielizną. Fajki, tytoń, nieraz jaki stary pistolet, proch, ołów ukrywano troskliwie w siennikach przed okiem zwierzchności, a nawet wśród pierwszoklasistów rzadki nie kurzył tytoniu w owe czasy. Pan inspektor wpadał niekiedy znienacka na stację, zarządzał rewizję i miał u siebie w domu istny kram fajek, pozabieranych żakom; pokrzywdzeni przez niego rozpuszczali plotkę, jakoby nigdy nie kupował tytoniu na własny użytek, gdyż mu wystarczyły zapasy, znalezione na rewizjach stancij. Bogatsi kurzyli, tak zwany, „waksztaf“ „„żuków“, i „turecki“; ubożsi — „gelbvirginien“, zwany w gwarze szkolnej „wirginjuszem“, albo nawet — „drajkienig“.

Ale powróćmy do Janka Łukowskiego. Celujący kaligraf i rysownik, trudnił się przepisywaniem kajetów i odrabianiem rysunków za pieniądze, a otrzymywał obstalunki z klas różnych. Przy oszczędności miał zawsze z takich zarobków w kieszeni monetę brzęczącą na pomadę, wodę kolońską, rękawiczki, krawaty, spinki itd. Uczył się źle, nie miał ani chęci, ani zdolności do nauki. Są genjusze i talenty myśli, są inne — woli, charakteru, — dlaczegóżby człowiek, istota zdolna do wszystkiego, nie miał zostać genjuszem lub talentem porządku. Kolega Madej powiedział raz żartem do Łukowskiego: „Zostań pokojówką, a będą cię przepłacali, pozyskasz sławę!“ Mimo złe postępy

w naukach, Janek znajdował pobłażanie u władzy szkolnej, ponieważ był bardzo porządny pod każdym względem, spokojny, przyzwoity. Oko inspektora, które umiało i w całym znaleźć dziurę, z przyjemnością zatrzymywało się na tej postaci w mundurze troskliwie dopiętym, doczyszczonym, z karkiem starannie wystrzyżonym, twarzą wygoloną — istny model formy określonej przepisami. Zachwycano się też nadzwyczajnym porządkiem ucznia, który przedstawiał profesorom kajety czystości niepokalanej, obłożone papierem, poprzekładane barwną bibułą angielską: wszędzie biało, różowo, błękitno, zielono, jak w sielance poety niemieckiego. Taki każe się lubić. A jak on pisał, — sztych! ¹⁾ Nauczyciel rysunków i kaligrafji, zwany nauczycielem obojga kaligrafij, dusza zacna, łagodna, niezmiernie skłonna do uczuciowych wylewów tklivości, rozplakał się jednego razu na widok dzieła Janka — kajetu ozdobnej kaligrafji, zapisanego rondem, gotykiem i literami lapidarnemi ²⁾. „Posiałem mnogie ziarna, — mówił wzruszony — a tylko to jedno wydało owoce wspaniałe!” Syn kaligrafji — rzecz można... Janek, niby mnich średniowieczny, nie skąpił pracy, jeśli chodziło o wykończenie piórkiem wroniem i pędzelkiem jakich prześlicznych inicjałów, napisów. W trzeciej klasie przewano go „majstrem cechu kaligrafji“, a dopiero w klasie czwartej znaleziono jeszcze odpowiedniejsze przezwisko: „Baletnik“. Również i Katarynka wzruszyła się pewnego dnia niezmiernie — ona, taka zimna — kiedy Janek ofiarował jej na imieniny deseń własnego pomysłu: prześliczny szlak na chustkę do nosa, z cyfrą K. L., unoszoną w girlandzie przez dwa brzuszkwate aniołki. „Tylko na naszej stancji umieją tak pisać!“ — wykrzykiwała panna Lodowska, a Łucka z otwartymi usty o mało się nie przeżegnała znakiem krzyża na widok aniołków. Coprawda, Katarynkę łatwo było posadzić o wzruszenie, gdyż zawsze miała oczy napelnione wil-

¹⁾ Sztych, rysunek sztychowy — odznacza się delikatnością i starannością kresek.

²⁾ T. j. skoropisem.

gocia. Innym razem Janek przepisał był dla niej własnoręcznie na podarunek książkę do nabożeństwa, a do książki tej dodał dedykację, ozdobioną kwiatami, gołąbkami, sercami, i wewnątrz między karty książki, włożył dwa fiołki zasuszone, związane wstążeczką różową, co mogło dawać wiele do myślenia. Ucisnęła za to wielokrotnie jego rękę obiema pulchnemi rączkami, odzianemi w rękawiczki włóczkowe bez palców. „Jakiż pan jesteś uprzejmy, dobry! Dziękuję, bardzo dziękuję.“ Biskupica, widząc, co za podarunek otrzymała córka, rzekła nadzwyczajnie uroczyście: „Januszk, z ciebie będzie kiedyś wielki człowiek! Taki młody, a jednak umiał wybrać podarunek stosowny dla siostrzenicy nieboszczyka biskupa.“ W klasie przesiadywał bardzo spokojnie, jak trusia, i najczęściej zapatrzone na swoje paznogie. Nie rozmawiał nigdy z nikim, a kiedy go wyzwano do lekcji, przekonywał się z łatwością, że nic nie umie, i wysłuchiwał uwag profesorów z poważną godnością i tak, jakgdyby je rzeczywiście gorąco brał do serca. Wogóle umiał siedzieć, stać, chodzić, kłaniać się, stosownie do wymagań danej chwili i okoliczności. Dwójki, to jest stopnie niedostateczności, odgrywały główną rolę w jego cenzurach; ale sprawowanie czyli moralność Janka oceniano piątką, co znaczyło, że posiadał wszystkie cnoty pożądane przez szkołę. Piątka z religji, kaligrafji i rysunków wyrażała doskonałość, do jakiej tylko wznieść się można ławie szkolnej w zakresie tych przedmiotów. „Wychowawca nie powinien wymagać od ucznia rzeczy niepodobnych, ponieważ za wielką ilość ludzi uczonych nie jest błogosławieństwem kraju, a mierniak tępawy może niegorzej ciągnąć powszedni pług roboty społecznej“ — odzywał się niekiedy pan dyrektor, jeżeli w gronie nauczycieli spostrzegał zapal do prześladowania tak zwanego osłóstwa, skierowany do Janka. „Czyż koniecznie trzeba łamać sobie głowę nad wynalazkiem prochu, aby zostać użytecznym członkiem społeczeństwa?“ Pan inspektor liczył się ze zdaniem dyrektora i przez szpary patrzył na dwójki, palki Łukowskiego; czasem jednak wsadzał go do kozy. Na stacji

jeden Janek miał swój stoliczek oddzielny; wszyscy malcy mawiali do niego „panie“, podczas gdy on ich tykał. Stosunki z Madejem były przyjacielskie, chociaż niekiedy ostygły cokolwiek, jeżeli naprzykład wyszło najaw, że Janek w czasie pobytu w stancji na przechadzkach pił kawę u Biskupicy i Katarynki. W przekonaniu Stępowicza, który był kawałkiem Kato¹⁾, zakrawało to na podlizywanie się studenciarkom. Taki Madej gotów był w oburzeniu cnotliwem nazwać kolegę wyrodkiem podłym za potajemne wypicie szklanki kawy.

Robota na stancji szła głównie wieczorem, na parę godzin przed kolacją. Janek, wymuskany, owinięty w długi szlafrok, siedzi za stolikiem wsparty na łokciach — myśli. Gwar tu panuje taki, jak w szkole żydowskiej, gdyż żacy uczą się, uczą lekcyj zadanych i każdy głośno powtarza swoje. Ruda umysłowa — że tak powiem — przerabia się tu na różne gatunki myśli samodzielnej gwoili pożytku ludzkości. Pierwszoklasista zamrużył oczy, obiema dłońmi zatkał uszy, aby słyszeć tylko siebie samego, kiwa się, jakby senny i uporczywie wykrzykuje „Jeż... jeż... *erinacaeus europeus... erinacaeus europeus.....* Ma grzbiet i boki pokryte kolcami... Jeż... jeż... *erinacae...* Filarski, nie przeszkadzaj! Jak Bożę kocham, pójdę na skargę!... Może się zwijać w kłębek... w kłębek... w kłębek... Filarski, nie zaczynaj!“ Drugoklasista znowu, wiercąc zapamiętałe palcem w nosie, uprawia historję Starego Testamentu i wymrukuje: „Widząc Laban, że się Jakób stał majętnym, zaczął mu tego mocno zazdrościć... zaczął mu tego mocno zazdrościć... Dyziu, przehandluj mi swoją piłkę! Dam ci za nią Machaona, Atalantę, Wstęgówkę ponsową²⁾ i przez cały tydzień będziesz zjadał moje bułki na śniadanie.“ „Ee, niema głupich! Zięba mi dawał kawę, podwieczorki i gotówką dychę, a nie chciałem.“ Tuż obok rozlega się niemczyzna, wygłaszana z niezmier-

¹⁾ Kato Starszy — senator rzymski (237—142 przed Chr.), słynął z surowości zasad i obyczajów.

²⁾ Nazwy motyli (tu chodzi o zasuszone w zbiorze).

nym naciskiem: „*Auf was-worauf, auf das-darauf; aus was-woraus, aus das-daraus; bei was-wobei, bei das-dabei.*” Jakiś żak na końcu stołu usiłuje przekrzyczeć wszystkich i woła donośnie, jakoby kramarz, zachwalający na jarmarku swoje towary, albo — woźny podczas licytacji: „Uri, Szwyc, Unterwalden i Lucern!... Uri, Szwyc, Unterwalden i Lucern!... Cztery kantony leśne!” Dokola stołu przechadza się poważnie trzecioklasista, chłopak rosły, płowowłosy, od czasu do czasu wytknie szcztka któremu malcowi w tył głowy i, jakby nigdy nic, deklamuje z ogromną powagą: „*Proszło sto liet i szto ostałoś — Ot silnych, gordych sich mużej — Stol polnych woleju strastiej?*”¹⁾

Tymczasem z drugiej izby dolatywał tutaj gruby a wyrazisty głos Madeja, odbywającego właśnie korepetycje geometrii. O, tam szło ostro! „Kąt *a* plus kąt *b* są równe sumie dwóch kątów prostych; kąt *b* plus kąt *c* także są równe sumie dwóch kątów prostych... Że zaś dwie ilości równe trzeciej są sobie równe więc... Śmigielski, które tu dwie ilości równają się trzeciej?... To tak uważasz, bałwanie?... Nawet tego nie rozumiesz, że kąty można dodawać?... Dawaj łapę!” I dało się słyszeć najprzód trwożliwe bełkotanie żaka, a potem — trzykrotne trzaśnięcie linji w zetknięciu z dłonią malca — pac, pac, pac. Na te odgłosy wszyscy zamilkli i — z wyjątkiem Janka — zwrócili głowy ku izbie korepetytorskiej. „Zgadnijcie, ile łap oberwał już dzisiaj Śmigus?” zapytał drugoklasista Dyzio. „No, dziewięć — wielkie rzeczy! Brało się już piętnaście i nic!” odrzekł chępliwie trzecioklasista Krasociński, z przydomkiem „Lufa“, który na stancji dawał nieraz przedstawienia wytrzymałości: kładł się na łóżku dogóry grzbietem, a dwaj najsilniejsi pensjonarze, Łęczycki i Sroczewski, walili pytaami twardemi z ręczników.

— „Babo, — szepnęła Puszkowskiemu na ucho Mirowski, drugoklasista i słynny obżartuch, — kopnij-no się do kuchni, prze-

¹⁾ Urywek z poematu poety rosyjskiego Puszkina („Sto lat minęło i cóż zostało po tych dzielnych, dumnych mężach, tak pełnych namiętności?”).

szpieguj, co dadzą dziś na kolację! Ty tam masz łaski i Dragon ci wszystko powie." Łucka powiedziała, jeżeli przypadkiem w zapale kucharskim nie poswarzyła się z Katarynką: wtedy bowiem wpadała w szal wściekłości, klęła straszliwie i gotowa była wyrzucić z kuchni nawet ulubieńca swego Laksanderka — tak nazywała Olesia Puszewskiego. Naraz wszyscy przypomnieli sobie bliską już chwilę wydawania lekcyj i w izbie znowu zahuczało, jak w ulu.

W klasie Janek Łukowski zdawał się żyć najbliżej z Kaziem Kościańskim, chłopcem dobrym, tylko narownym, kapryśnym paniczkiem. Matka owego Kazia pozwoliła się być komuś przekonać, że koniecznie powinna oddać jedynaka do szkoły publicznej, jeżeli z niego ma wyrość obywatel kraju pełen męskiego hartu duszy. Można pani sprowadziła się więc do Kielc i posyłała syna do szkoły; ale nieustannie drżała na myśl, że Kazio przez obcowanie z lada kim w takiej klasie czwartej może się nauczyć mnóstwa „różnych niepotrzebnych rzeczy“ i skazić swoje dobre wychowanie domowe. Dyrektor, ksiądz prefekt, inspektor, profesorowie mieli utrapienie ciężkie z tą matką niepospolicie troskliwą. Codziennie nawiedzała już tego, już owego, i tak ich dręczyła, jakgdyby ci ludzie mieli obowiązek święty myśleć wyłącznie o jej Kaziu. Zwierzchnicy szkoły byli uprzejmi, mając na względzie płeć piękną, rodowitość, majątek znaczny i niemałe znaczenie towarzyskie wdowy. Któżby lepiej od pedagogów umiał ocenić takie stosunki? Oni przecież nieustannie mają to na oku, ażeby w drodze wychowania zapewnić jednostce znaczenie społeczne i szczęście osobiste. Ale pani Kościańska pragnęła, aby ojcowie duchowi całego pokolenia wyrównywali jej sercu macierzyńskiemu w troskliwości o Kazia. Jeszcze jakoś najlepiej udawało się jej z inspektorem: wszystko tu budziło otuchę, że mały dodatek, przydany na szalę, zupełnie przechylił na stronę dbałej matki lekko wahającą się jeszcze przychylności dostojnika szkolnego. W tym celu sprowadzono z lasów pani Kościańskiej olbrzymiego odyńca, którego oficjaliści zastrzelili

z polecenia dziedziczki, i wspañiale zwłoki monarchy borów prosto zawieziono do domu pana inspektora. Naturalnie, jakieś pięćset funtów cennego mięsa odegrały niemalą rolę w wychowaniu młodego dziedzica Kościanej Woli z przyległościami. Inspektor, zobowiązany i wzruszony, wziął żywo do serca już pierwszą prośbę matki, której właśnie chodziło o przesadzenie jedynaka w klasie, a tem samem o uwolnienie go od towarzystwa niejakiego Forcia Złańskiego, chłopca „grubych instynktów i obyczajów“, jak mniemała Kościańska. Ten Forcio dał raz Kaziowi w nos takiego szczutka, że krew siurczkiem popłynęła i z trudnością ją zatamowano. Gagatek mamusi dostał teraz za towarzysza ławy Janka Łukowskiego. Kościańska uszczęśliwiona nie wiedziała, jak ma wyrazić wdzięczność panu inspektorowi, gdyż Janek według jej zdania nietylko nie kaził obyczajów Kazia, ale wywierał nań wpływy zbawienne. „Młodzieniec porządny w całym znaczeniu tego słowa.“ To też w śpiżarni inspektorskiej zapasy mięsa z dzika jeszcze się były nie wyczerpały, a tu już ze wsi przywieziono sarnę. Potem nastąpiły z kolei zajaczki, kuropatwy, cietrzewie, jarzabki, kwiczoły. Rzecz prosta, inspektor innem okiem spoglądał teraz na Janka i nawet go już do kozy nie wsadzał, wyrażając w ten sposób taką myśl niejako: „Niechże i tobie będzie lżej żyć, skoro przez ciebie dzieje mi się lepiej!“ A Łukowski chadzał w święta na wyborne obiady do pani Kościańskiej, którą sobie zjednał, podobnie, jak i Kazia, z czem mu było wcale dobrze. Na pauzach dziesięciominutowych Janek nieodstępnie widniał obok swego towarzysza; obaj zjadali soczyste kielbaski parowe albo gorące ciastka z jabłkami, przysmaki cenne, niedostępne dla znacznej większości. Tłum malców, chciwie łakomych owych smakołyków, jeno się oblizywał, patrząc z upodobaniem i zazdrością na tych dwóch czwartoklasistów, którzy się wzajemnie wychowywali na porządnym obywateli kraju. Cóż teraz dla Janka znaczyła jakaś tam bułka z masłem, wydzielona przez Katarynkę? Rzucił ją na stancji pierwszemu lepszemu głodomorkowi, mówiąc wspañiałomyślnie:

„Zjedz sobie!” O taką bułkę nieraz krew przelewano, zwłaszcza, jeśli padła na stole między Lufę i Mirowskiego, który z powodu żarłoczności miał przezwisko „Rekin”. Jakże się teraz ubiegano o łaski Janka!... Zanim Łucka wniosła do izby tacę z bułkami, przeznaczonemi na drugie śniadanie do szkoły, oczy wszystkich zwracały się ku temu, który miał do rozdania swoje dwie bułki z masłem. Najwięcej wyrazu miały oczy Rekina: każde jego oko, gdy spojrzał, składało się jak najwyraźniej z kółka białego, z kółka blado-niebieskiego i kółeczka czarnego. Oleś Puszewski, Baba, miał oczy piękne, wielkie, łzawe — oczy łani umierającej: z tych oczu znać było, że one nie docisną się do rzuconej bułki. Albo największy siłacz, albo zuchwalec, albo chciwiec porywali owe bułki — zupełnie, jak w życiu. Dziś rzeszę głodnych trudno nakarmić małą ilością chleba.

Łucka nie mogła wyjść z podziwu, że Janek od jakiegoś czasu prawie nic w domu nie jada, a miała ona bardzo wysokie wyobrażenie o smakowych zaletach potraw, które przyrządzała własnymi rękoma, i mówiła: — „Już mu nie smakuje nawet rosół na wieprzowinie z kartoflami... Gdzież on co lepszego zjeść może?” Lodowska dowodziła, że Kościańska zaprasza Janka do swego domu jedynie przez wzgląd na nieboszczyka biskupa. „Bo każdy uczeń, który mieszka u mnie na stacji, ma zupełnie inne uważanie w świecie.” Madej jednak kręcił coś nosem i zwracał koledze uwagę: „Jadasz obiady u panów, których nie możesz zaprosić do siebie na obiad... Taka darmocha nie uchodzi!” Wykręcał się Janek, jak mógł, gdyż Stępowicz, stary kolega, zawsze nań wywierał jakiś wpływ tajemniczy, — rzecz można — gospodarował w jego duszy. Ale trudno się wyrzec smacznych obiadów, które się nie podobają przyjacielowi może dlatego, że ich nie jada.

Węzły przyjaźni, stosunków z ludźmi kłępują nieraz człowieka i nakazują niejako żyć podług cudzej etyki; atoli skłonności i tak przemogą ostatecznie, aby uratować samolubstwo indywidualizmu jednostki.

Nadeszły zapusty; u pani Kościańskiej odbywały się lekcje tańców i Janka zaproszono, aby także wziął w nich udział dla kompletu. Pokazało się niebawem, że Łukowski ma również w nogach talent do rysunków i kaligrafji. Wyrabiał on nogami prześliczne esy-floresy i tancmistrz, zachwycony raz jego postępami w płasach, zawołał z uniesieniem: „Posadzka tego salonu jest dla pana polem za małym! Człowiek z nogą tak lekką, śmiałą i zręczną może sobie zjednywać podziw i uwielbienie tysięcy ludzi. Trzeba tylko dołożyć pracy, wydoskonalić talent przyrodzony! Sława uśmiecha się do pana, wyciąga ręce, jak do wybrańca swego“. Janek, uśmiechnięty, stojąc w trzeciej pozycji, z jedną ręką na piersiach, z drugą przy boku, podniósł do góry swą małą główkę, na której uczuł jakgdyby wieniec wawrzynowy. A tancmistrz rzekł uroczyście: „Wstąp pan do baletu! Znam się na nogach i za przyszłość świetną zaręczam słowem honoru.“ Słowa te rozniosły się w szkole i odtąd Łukowskiego nazywano „Baletnikiem“. Pocziwy Janek, ile razy zasiadł przy stoliku z zamiarem przygotowania się na lekcje do szkoły, a miał pod ręką ołówek czy pióro, zaczynał natychmiast rysować, kaligrafować i na tem mu cały czas schodził. Nim zaczął brać owe lekcje tańców, z pod ręki jego wychodziły zwykle główki męskie i żeńskie; męskie przypominały zawsze rysy twarzy jego własnej, którą dobrze znał, ponieważ często widywał w zwierciadélku. W rysunkach owych, kreślonych prawie bezwiednie, autor zwracał głównie uwagę na porost włosów. Były tam więc głowy krótko strzyżone i tylko z wąsami, inne o czuprynach bujnych, a z młodzieńczym zarostem pod nosem i na brodzie, jeszcze inne — trefione podług ówczesnej mody z rowkiem przez sam środek, od tyłu, aż do czoła, a zdobne w wąsiki i bokobrody i t. d. Obecnie, kiedy już tak szczęśliwie poszła mu nauka płásów, rysował nogi nieustannie i w najrozmaitszych położeniach: nogi, posuwające się w kadrylu, podskakujące, przytupujące, wybijające hołubca w mazurze i t. d. Madej, który sobie wyobrażał, że mężczyzna jest to Hannibal, Aleksan-

der Wielki, Gonzalw z Korduby ¹⁾, Bajard ²⁾, Konrad Wallenrod, Litawoi ³⁾, z pogardą spoglądał na rysowane przez kolegę główki i razu jednego zawołał: „Fryzjerstwo!“ Z podobną pogardą wyrażał się o wszelkich płasach: „Froterka, bezmyślne fikanie!“ Ci dwaj koledzy, przyjaciele, mieli odmienne ideały: co jeden kochał, tem drugi pomiatał.

W czasie ostatnich dni zapustnych, pani Kościańska wyprawiła bal dla dzieci, a zaproszono na tę ucztę rodzinę dyrektora szkoły i rodziny profesorów, mające dziatwę w wieku, który czyni człowieka zdolnym do żwawych podskoków. „Baletnik“ przybył na bal i, wystrojony, wonny, fruwał, jak huraganem unoszone piórko, gdyż cały zapal duszy młodzieńczej przelał w nogi. Uważał on sobie za obowiązek wysoki tańczyć głównie z panną dyrektorówną, miłuchną dwunastoletnią Maniusią, tanecznicą zawołaną. Pan dyrektor, mąż wzrostu wysokiego, bardzo poważny — nawet posępny — krótkowidz, prowadził właśnie naboku zawziętą rozmowę z profesorem Bożykowskim o budowie wszechświata, kiedy nadeszła pani dyrektorowa i szepnęła mu na ucho: „Mężusiu, przecie też popatrz, jak nasza Marynka prześlicznie tańczy!“ Na to wezwanie dyrektor przerwał rozmowę, poważnym krokiem zbliżył się ku sali balowej, włożył na nos okulary i widział rozpromienioną Maniusię, która hasała w objęciach Janka. — „Powinszować, powinszować panu dyrektorowi takiego ucznia!“ — mówiła z wdzięcznym uśmiechem prezesowa, chłodząc się wachlarzem. Były pijar, surowy, jak matematyka, której się oddawał, i, jak ona, ścisły, dyrektor mniemał, że prezesowa, chwalać Janka za zręczność w tańcu, godzi złośliwie w szkołę; więc spokojnie i z godnością odparł pocisk dwuznacznikiem: „Z naszej szkoły przybyli na dzisiejszy balik tylko ci, którzy zasługują na uznanie i pochwałę pani prezesowej.“

¹⁾ Sławny hiszpański wódz średniowieczny, pogromca Maurów.

²⁾ Sławny średniowieczny wódz francuski, zwany „rycerzem bez strachu i skazy“.

³⁾ Bohaterowie poematów Mickiewicza.

Odwrócił się i szedł kończyć przerwana rozmowę z Bożykowskim, a w jego myśli, zwróconej ku ciałom niebieskim, Janek przewijał się, niby planeta wirująca, której księżycem była Manusia. „Osieł!... Jest już ósmy rok w szkole i nie przekroczył poza czwartą klasę.“ Gniewało to pana dyrektora, że musi myśleć o Janku, uczniu, którego właśnie w bieżącym roku szkolnym należało zobowiązać, ażeby sobie wziął patent niższy z ukończonych klas czterech i wstąpił do apteki — może do seminarjum ¹⁾ — jako niezdolny korzystać z wykładów matematyki w klasach wyższych. Wawrzyny salonowe Janka rozgoryczyły także Kazia Kościańskiego, który nie okazywał ani chęci, ani zdolności do tańca; ale podobala mu się nadzwyczajnie panna dyrektorówna i z nią byłby tańczył bardzo chętnie, gdyby nie to, że, zapraszana do tańca, odmawiała każdemu, oprócz Łukowskiego. Otóż, Kazio zawziął się i wcale nie chciał tańczyć, okazując jawnie swoje niezadowolenie. Upominała go matka: „Bądźże uprzejmy, jesteś gospodarzem zabawy, bierz przykład z Janka, przypatrz się, jak on swobodny, jak ożywia towarzystwo!“ Chłopiec do reszty wezbrał i wybuchnął: — „Ja nie chcę, ażeby mnie za tańce wychwalano! Nie myślę być baletnikiem!“ Przecież takie kwasy, muchy w nosie mogły popsuć całą zabawę; przeto uprzejma gospodyni zobowiązywała Janka, ażeby nie ustawał w ochocie i swoim zapalem podtrzymywał zapal młodzieży zebranej. Wywiązywał się z zadania jak najlepiej i całą pleć piękna z zachwytem nań spoglądała. „Cóż to za miły, przyjemny młodzieniec...“ — dawało się słyszeć na wszystkie strony. O, bo w owych czasach bardzo zwracano uwagę na to, czy młodzieniec umie dobrze tańczyć, kłaniać się z wdziękiem, a i — pisać kaligraficznie! Po ukończeniu szkoły średniej niewiele zawodów miało się do wyboru i jakiś pęd powszechny gnał młodzież głównie do służby biurowej. Biura urzędów rozmaitych pochłaniały całą armję

¹⁾ Wstęp do seminarjum duchownego otwierało dawniej już czteroklasowe wykształcenie.

wyzwolonych ze szkoły. Bardzo, a bardzo nieliczni rzucali się gdzieś daleko w świat na uniwersytety, ponieważ dla żadnych wiedzy wyższej istniała w Warszawie tylko Szkoła Sztuk pięknych, a w Marymoncie ¹⁾ — Szkoła Rolnicza. Zawód urzędniczy pachniał nawet osiadłemu na roli szlachcicowi, który uczuwał pod sobą grunt niepewny. To też trudno było docisnąć się do owych biur, zapchanych przez tłumy aplikantów ²⁾, bezpłatnych i płatnych, dietarjuszów ³⁾, kancelistów. Kobiety jednakże zwykle, jeśli nie zawsze, ułatwiały przystęp, choć nieraz wydawał się niemożliwym. Droga zaś do kobiet, to jest do ich względów, stała zawsze otworem, podobnie, jak i dzisiaj, przy nieco większych wymaganiach, dla każdego, kto im się podobał: miał „powierzchnowość” przyjemną, dobrze tańczył i był miły „w obejściu”. Stąd to pochodzi przysłowie, które dzisiaj poniekąd już kurs utraciło: „Dorobił się nogami posady”. Ba, wtedy i żonę posażną łatwiej było sobie wytańczyć! Czasy idealniejsze, jak wogóle każda przeszłość!...

...Madej i Baletnik, jako koledzy, spotkali się byli i zaprzyjaźnili najprzód w klasie pierwszej, a rozdzielili się zaraz w następnym roku, ponieważ Janek nie dostał promocji. Ale, że Stępowicz musiał powtarzać klasę drugą, więc w drugim roku doczekał się w niej Łukowskiego i znowu siedzieli obok siebie na jednej ławie, utwierdzając poprzednio już zawarte stosunki przyjacielskie. Rozmaite wspólnie przeżyte cierpienia w komórce, zatargi z profesorami i kolegami, wreszcie właściwa młodemu wiekowi potrzeba otwierania serca i zwierzania się przed kimś — były to klejnoty cenne, prawie codziennie wrzucane do skarbca przyjaźni, szczęśliwie skojarzonej w klasie pierwszej. Nie było tam owych cnót, które kaznodzieja Cycero uważa za warunki przyjaźni; ale przyjaźń była z pewnością. Dwa bieguny różniamiennie przyciągały się doskonale: Janek — bierny, milczący,

¹⁾ Wioska pod Warszawą (dziś — w granicach miasta).

²⁾ Praktykantów.

³⁾ Urzędników nieetatowych.

spokojny, obojętny na wszystko, co go otaczało; Wojtek — energiczny, myślący, gotowy w razie danym czuć, myśleć i działać za przyjaciela. Cóż kiedy w następnym znowu roku Madej przeszedł do klasy trzeciej, Janek pozostał w drugiej! Lgnęli i tak do siebie nawzajem, utrzymywali ciągle stosunki przyjacielskie: jeden drugiego zwykle odprowadzał po lekcjach do domu, odwiedzał podczas rekreacji, a bardzo często chodzili razem na Kadzielnię, na Karczówkę ¹⁾. Łukowski prawie zawsze milczał, niekiedy tylko uśmiechał się zalotnie, niemniej kochał szczerze przyjaciela, ulegał mu we wszystkim i, jak to mówią, w ogień poszedłby za niego, gdyby zaszła potrzeba. Rok przeszedł im w rozłące; ale w roku następnym skojarzyli się po raz trzeci, gdyż Madej i w tej klasie musiał pokutować dwa lata: zatrzymały go — pałka z niemieckiego, pałka z mineralogji i dwójka z geografji. Świder miał jak najgorsze przekonanie o Stępowiczu jeszcze od klasy pierwszej, zapisywał mu stale pałkę z niemczyzny, pałkę ze sprawowania, a dodawał: — „Tobie, duchu kanalski, należałoby zapisać pałkę z minusem, najwyżej — zero“. Czemże się mógł taki spokojny Wojtek narazić Świdrowskiemu? Musimy to opowiedzieć. Świder wymagał, ażeby każdy uczeń miał oddzielny zeszyt i w nim zapisywał przysłowia niemieckie, zwroty właściwe temu językowi, dowcipy i t. d. Porządek taki należał do „systematu“ i profesor kładł wielki nacisk na ów zeszyt, zwany przezeń *Taschenwörterbuch* ²⁾. Kto nie zdołał na lekcję języka niemieckiego przygotować ani przysłowia, ani zwrotu dobrego, ani dowcipu, ten miał obowiązek napisać trzy zdania, ułożone z wyrazów, których znaczenie rozumiał. Otóż Stępowicz nigdy nie mógł zdobyć się na coś podobnego i zwykle w klasie dopiero ktoś bieglejszy wypisywał mu naprędce takie zdania. Pewnego dnia jednak zamierzył pokonać trudności i zasiadł do roboty, gdy niejaki Kulewicz,

¹⁾ Lesiste wzgórze pod Kielcami.

²⁾ Słownik kieszonkowy (po niem.).

czwartoklasista i współpensjonarz, przyszedł z pomocą, mówiąc: „Żeby tu dziesięciu takich, jak ty, Wojtków łamało sobie głowę, toby też nie wymyślili nic mądrego!... Dawaj swój *Taschenwörterbuch*, a wpiszę ci takie zdania, że dostaniesz od Świdra piątkę z plusem!“ Kulewicz umiał po niemiecku, więc Stępowicz podsunął mu skwapliwie swój zeszyt, a sam wziął się do odrabiania innej lekcji. Trzy zdania, które czwartoklasista wpisał, brzmiały: *Unser Lehrer der deutschen Sprache heisst Bohrer. — Der Bohrer ist dumm wie ein Esel. — Der Bohrer ist böse wie ein Teufel*¹⁾. Trzeba zdarzenia, że Świdrowski „wyrwał na pierwszy ogień“ Wojtka i natychmiast kazał przedstawić sobie *Taschenwörterbuch*. Ze zgrozą odczytał profesor owe trzy zdania, potem wpił w ucznia jaszczurcze spojrzenie i z ust drgających złością, wypadły słowa: „Aa, ty bęcwale, duchu kanalski!...“ I wyskoczył z katedry, przypadł do chłopca, chwycił go oburącz za uszy, trząśł jego głowę zapalczywie. Nie skończyło się na tem, nastąpiła surowa kara szkolna: dziesięć różeg chłosty i dziesięć godzin kozy ciemnej. Biedny Madej nie wiedział, co mu Kulewicz napisał w zeszytce! Świdrowski zaś mścił się przez lata, gdyż był bardzo pamiętliwy. Pałka z mineralogji miała znowu tę przyczynę, że Wojtek nie umiał „szklić“, wydawał lekcję, mówiąc powoli, bez prędkiego trzepania, a nawet z zająkiwaniem. Zwracało to uwagę Świąteckiego, wyrывało go z zadumy i budziło w nim podejrzenie, że się uczeń nie przygotował na lekcję.

— A co, panie?... Kruku morski, nic nie umiesz! — wykrzykiwał Hornblenda i zapisywał pałkę.

Pan dyrektor ogromnie wydziwiał z tego powodu:

— Widać, żeś jest nicpoń, próżniak ostatni, skoro nawet z mineralogji masz postęp mały — z przedmiotu, którego się i największe osły uczą bardzo chętnie!

Ostatecznie nie dostał promocji, doznał od stryja bardzo surowego przyjęcia:

¹⁾ „Nasz nauczyciel niemieckiego nazywa się Świder. — Świder jest głupi, jak osieł. — Świder jest zły, jak djabeł“ (po niem.).

— Ojca ci zastępuję, więc musisz, nygusie niegodziwy, poczuć ojcowską rękę!

Swoją drogą dyscyplina była w robocie, a swoją — organista, który wcale nie umiał po niemiecku, przez całe wakacje gnębił Wojtka tem bardziej językiem niemieckim; tylko teraz okazywał już mniej pochopności do wszelkiego bicia, gdyż szesnastoletni chłopak miał rękę silną i twardą, jak żelazo.

.....

D. Henryk Sienkiewicz (1846—1916).

(Z noweli: *Z pamiętnika korepetytora*¹⁾).

...Światło lampy, chociaż przyćmione, często budziło mnie i nieraz o drugiej lub trzeciej po północy widziałem Michasia pracującego jeszcze. Mała i wątła jego postać, przybrana tylko w bieliznę, schylona była nad książką, a w ciszy nocnej senny, zmęczony głos powtarzał mechanicznie konjugacje greckie i łacińskie, z tą jednostajnością, z jaką w kościele powtarzają słowa litanji. Na regularną, delikatną jego twarzyczkę występowały rumieńce zmęczenia, a zaczerwienione oczy kleiły się do snu. Gdym zawołał na niego, by zagasił lampę i udał się spać, chłopiec odpowiadał mi żalosnym głosem:

— Nie umiem jeszcze lekcyj, panie Wawrzyńkiewicz.

Odrabiałem z nim przecież wszystkie zadania od czwartej do ósmej, a potem od dziesiątej do dwunastej i sam nie szedłem do łóżka, nimem się nie przekonał, że umie wszystko i że zadania pisemne były odrobione. Ale doprawdy, tego wszystkiego

¹⁾ Jest to nowela, napisana przez Sienkiewicza w r. 1879, w jej brzmieniu pierwotnem. Później, aby utwór ten ze względów cenzuralnych mógł ujrzeć światło dzienne na terenie zaboru rosyjskiego, Sienkiewicz zmienił go o tyle, że przeniósł akcję do Poznania i nadał noweli tytuł *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*. Pod tym tytułem nowela figuruje w zbiorowych wydaniach dzieł Sienkiewicza.

było za dużo; skończywszy ostatnią lekcję, chłopiec zapominał pierwszej, a łacina, grecki, starosłowiański i nazwy rozmaitych rosyjskich gubernij wprowadzały biedną jego głowę w taki chaos i gorączkę, że spać nie mógł. Wylaził wtedy z pod koldry, zapalał lampę i w koszuli tylko zasiadał na nowo do stolika. Gdym go łajał, wybuchał płaczem. Może powinienem był nie pozwolić, by dziecko męczyło się nad siły, ale cóż miałem robić? Musiał przecie wyuczyć się codzień choć jako-tako lekcyj, bo inaczej wydalonoby go ze szkół, a Bóg jeden wie, co by to był za cios dla pani Marji, która po śmierci męża, zostawszy z dwojgiem sierót, wszystkie nadzieje złożyła na Michasia.

Położenie było prawie bez wyjścia, bom z drugiej strony widział doskonale, że nadmierne wysilenia umysłowe podkopują zdrowie chłopca i mogą życiu jego zagrozić. Trzeba było przynajmniej wzmacniać go fizycznie, gimnastykować, kazać mu dużo chodzić lub jeździć konno, ale nie było czasu na to. Każdą chwilę, potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierały uprażnienia¹⁾. Rankiem, gdym mu pakował książki do tornistra i gdym widział, jak jego chude ramiona gięły się pod ciężarem tych bizantyjskich tomów, serce mi się poprostu ścisnęło. Mówiono mi też nieraz, że chłopaka psuję i rozpieszczęm, że Michaś widocznie nie dość pracuje, że ma zły akcent w rosyjskim języku i że beczy z lada powodu.

Chory sam jestem na piersi, samotny w świecie i zgryźliwy, więc te wymówki niejedną mi chwilę zatrwały. Jaż najlepiej wiedziałem, czy Michaś nie dość pracuje! Było to dziecko, obdarzone średniemi zdolnościami, ale tak wytrwałe i przy całej słodczyj taką posiadające siłę charakteru, jakiej nie zdarzyło mi się spotkać w żadnym innym chłopcu. Biedny Michaś namiętnie i ślepo był przywiązany do matki, że zaś mu powiedziano, iż matka bardzo jest nieszczęśliwa i chora i, że, gdy on będzie się jeszcze źle uczył, to może ją dobić, więc chłopak drżał przed tą myślą

¹⁾ Ćwiczenia (ros.).

i nocami całemi siedział nad książką, byle tylko matki nie zmar-twić. Nie mógł powstrzymać płaczu, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzial-ności. Ba! co komu było do tego? Miał złe u d a r e n i e ¹⁾ — i kwita! Ja go nie psułem, ani rozpieszczałem, tyłkom go rozumiał lepiej; żem zaś, zamiast łajać dziecko za niepowodzenia, starał się je pocieszać, to już moja rzecz. Sam napracowałem się w życiu niemało, nacierpiałem głodu, nędzy, nie byłem szczęśliwy, nie będę szczęśliwy i — niech tam licha weźmie! Nawet już zębów nie ściskam, gdy o tem myślę! Nie wierzę, żeby było warto żyć, ale może dlatego właśnie mam prawdziwe współczucie dla każdej biedy...

...Rodzina Michasia była niegdyś bardzo zamożna, — ale za dużo kochali — więc rozmaite burze rozwiały fortunę, a to, co zostało, nie jest wprawdzie nędzą, nie jest nawet ubóstwem — w porównaniu jednak do dawnych czasów miernością. Michaś był ostatnim z rodziny, to też pani Marja kochała go nietylko, jak własne dziecko, ale zarazem, jak wszystkie swoje nadzieje na przyszłość. Na nieszczęście, z zaślepieniem, zwykłem mat-kom, widziała w nim niepospolite zdolności. Chłopiec wprawdzie istotnie nie był tępy, a należał do tego rodzaju dzieci, których zdolności, z początku średnie, rozwijają się dopiero później razem z siłami fizycznymi i zdrowiem. W innych warunkach, w innym kraju, mógłby był skończyć szkoły, uniwersytet i stać się pożytecznym pracownikiem na każdym polu. W tych, jakie istniały i istnieją w szkołach rosyjskich dla polskiego dziecka, męczył się tylko — i, wiedząc o wysokiem wyobrażeniu, jakie matka miała o nim, wysilał na próżno. Wiele rzeczy na świecie widziały oczy moje, i postanowiłem się niczemu nie dzi-wić, ale wyznaję, że z trudnością przyszło mi uwierzyć, by mogła istnieć taka plątanina stosunków, w którejby dziecku na złe

¹⁾ Akcent (ros.).

wyszła siła charakteru, wytrwałość, praca i przywiązanie do matki. Jest coś niezdrowego w takich stosunkach, i, gdyby mi słowa mogły zapłacić za żal i gorycz, które czuję, powiedziałbym razem z Hamletem¹⁾, że „dziwne rzeczy dzieją się w państwie duńskim“.

Pracowałem z Michasiem, jakby od tych stopni, które on za postępy dostawał, moja przyszłość zależała... Gdy mu się udało dostać dobry stopień, dziecko przychodziło z klasy rozpromienione i szczęśliwe. Zdawało mi się, że w takich razach Michaś urósł nagle, że się rozkurczał; jego chmurne zwykle oczy śmiały się wówczas tą szczerą dziecinną wesołością i świeciły, jak dwa węgielki. Zrzucał natychmiast ze swoich szczupłych pleców tornister, przeładowany rosyjskimi książkami, i, mrużąc na mnie jeszcze w progu, wołał:

— Panie Wawrzyńkiewicz! Mama będzie kontenta! Dostałem dziś z geografii... niech pan zgadnie, ile?

A gdym udawał, że nie zgaduję, przybiegał do mnie z pyszną miną i, zarzuciwszy mi ręce na szyję, mówił niby do ucha, ale bardzo głośno:

— Piątkę! Naprawdę piątkę!

Były to dla nas obydwóch szczęśliwe chwile. Wieczorami w takie dni Michaś rozmarzał się i, wyobrażając sobie, co to będzie, jeżeli dostanie wszystkie stopnie celujące, gwarzył nawpół do mnie, nawpół do siebie:

— Na Boże Narodzenie pojedziemy do Zalesina; śnieg będzie padał, więc pojedziemy sankami. Przyjedziemy w nocy, ale mama będzie na mnie czekała; uściska mnie, ucałuje, a potem spyta o cenzurę. Ja zrobię smutną minę naumyślnie, a tu mama czyta: „celujący, celujący, celujący!“ O panie Wawrzyńkiewicz!...

I biednemu chłopcu łzy stawały w oczach, a ja, zamiast go powstrzymać, sam biegłem za nim zmęczoną wyobraźnią i przypominałem sobie dom w Zalesinie, jego powagę, spokój, tę

¹⁾ Bohater tragedji Szekspira pod tym samym tytułem.

wyższą szlachetną istotę, która tam była panią, i szczęście, jakie jej sprawi powrót chłopca z celującymi w cenzurze.

Korzystałem z takich chwil i dawałem Michasiowi nauki, tłumacząc mu, że mamie bardzo chodzi o jego naukę, ale także o zdrowie, że więc powinien nie płakać, gdy go wyprowadzam na przechadzkę, sypiać tyle, ile mu każę i nie upierać się przy nocnem siedzeniu nad książkami. Odbierałem też często listy od pani Marji, polecające mi, bym czuwał nad zdrowiem dziecka, ale z rozpaczą prawie przekonywałem się codzień, że pogodzić ten system naukowy, jaki u nas panuje, ze zdrowiem — było prawie niepodobieństwem. Gdyby przedmioty wykładane były za trudne, byłbym sobie poradził, cofnąwszy Michasia z klasy drugiej, do której wszedł — do pierwszej — i pani Marja, jako rozumna kobieta, zgodziłaby się na to. Ale on doskonale pojmował te niby przedmioty wykładane, nie o naukę więc chodziło, tylko o czas, jaki zabierały lekcje i zadania. Na to już nic nie mogłem poradzić i liczyłem jedynie, że, gdy święta nadejdą, odpoczynek wypełni te szczerby w zdrowiu dziecka, które czyniła nadmierna praca.

Gdyby Michaś był dzieckiem obojętniejszem, mniejbym się troszczył o niego, ale on jeszcze prawie żywiej odczuwał każde niepowodzenie, niż pomyślność. Owe chwile radości i celujących, o których wspomniałem, rzadkie były na nieszczęście. Tak nauczyłem się czytać z jego twarzy, że, skoro tylko wszedł, od pierwszego rzutu oka poznawałem, gdy mu się nie udało.

— Dostałeś zły stopień? — pytałem.

— Tak jest!

— Nie umiałeś?

Czasem odpowiadał: „Nie umiałem“, częściej jednak: „Umiałem, ale nie mógł wypowiedzieć po rosyjsku“.

Jakoż mały Owicki, prymus, którego naumyślnie sprowadziłem, by Michaś się z nim uczył, mówił mi, iż Michaś głównie dlatego dostaje złe stopnie, że się nie umie wysłowić. W miarę, jak dziecko czuło się coraz więcej zmęczone fizycznie i umysłowo,

takie niepowodzenia powtarzały się częściej. Zauważyłem, że, gdy malec, wyplakawszy się, siadał następnie do lekcyj, cichy bywał i niby spokojny, ale usta drgały mu, i w tej usilności i w zdwojonej energii, z jaką zabierał się do zadań, było coś rozpaczliwego i gorączkowego zarazem. Jego nocne siedzenia stawały się coraz częstsze. Bojąc się, że gdy się obudzę, każę mu iść spać, wstawał cicho, pocichutku wynosił lampę do przedpokoju, tam ją zapalał i zasiadał do roboty. Zanim go na tem złapałem, kilka nocy przepędził w ten sposób między nieopalonemi ścianami. Nie miałem innej rady, jak, wstać, zawołać go do pokoju i przerobić z nim raz jeszcze wszystkie lekcje, by go przekonać, że je umiał i że niepotrzebnie narażał się na przeziębienie. Ale on jeszcze sam wkońcu nie wiedział, czy co umiał, czy nie umiał. Dziecko traciło siły, chudło, żółkło i zasępiało się coraz bardziej. Czasem trafiało się coś takiego, co przekonywało mnie, że nie sama jednak praca i niepowodzenia wyczerpują jego siły. Raz, gdy wykladałem mu historję polską, co na żądanie pani Marji robiłem codziennie, Michaś zerwał się, i, gdym na niego spojrzał, przestraszyłem się, ujrawszy badawczy i prawie surowy wyraz jego twarzy, z jakim mnie spytał nagle:

— Panie! Więc to wszystko prawda? Zupełna prawda? Bo...

— Bo co, Michasiu?... — pytałem ze zdziwieniem.

Zamiast odpowiedzi wybuchnął płaczem.

Zrozumiałem powód tego wybuchu. Nie było żadnej wątpliwości, że dzieciom trafiało się słyszeć wiele rzeczy, które raniły ich najgłębsze uczucia i które były wprost zaprzeczeniem albo pogardą tego, co w domach nauczono je czcić i kochać. Zdania takie ześlizgiwały się po innych chłopcach, nie zostawiając nic, prócz niechęci i starannie ukrywanej nienawiści, ale chłopczyzna, tak uczuciowy, jak Michaś, odczuwał je boleśnie, nie śmiał zaprzeczyć, choć może nieraz miał ochotę krzyczeć z bólu, ale burzył się, gryzł i martwił. W ten sposób do zmartwień, któremi karmiły go niepowodzenia i złe stopnie, przyrzuciła nieopisanej goryczy rozterka, w jakiej żył ciągle.

Dwie siły, dwa głosy, których słuchać jest obowiązkiem dziecka, ale które też właśnie dlatego winny być zgodne, ciągnęły go w dwie różne strony. Co jedna powaga nazywała białem, zacnem, ukochanem, druga występkiem. Więc w tem rozdwojeniu chłopiec szedł za tą powagą, do której rwało się serce, ale musiał udawać, że słucha przeciwej; musiał udawać od rana do wieczora i żyć w tym męczącym przymusie dnie, tygodnie, miesiące. Co za położenie dziecka!

Dziwny był los Michasia. Dramata życiowe zaczynają się zwykle dopiero później, gdy pierwsze liście poczną spadać z drzewa młodości; dla niego wszystko to, co się składa na nieszczęście: przymus moralny, zgryzota, niepokój, daremne wysiłki, szamotanie się z niezwalczonemi trudnościami, stopniowa utrata nadziei — wszystko to poczęło się w jedynastem roku życia... Ani jego wątła postać, ani wątłe siły nie były w stanie sprostać temu ciężarowi. Uplewały dnie, tygodnie; biedak podwajał pracę i wysilenia, a skutek był coraz mniejszy, coraz bardziej opłakany. Listy pani Marji przyrzucały jeszcze ciężaru do brzemia: „Bóg obdarzył cię, Michasiu, niezwyklei zdolnościami“ — kończyła zwykle matka. Gdy chłopiec odebrał pierwszy raz taki list, chwycił mnie za ręce i, zanosząc się od płaczu, powtarzał:

— Co ja poradzę, panie Wawrzyńkiewicz! Co ja mogę poradzić?

Istotnie, jakąż mógł znaleźć radę na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną zdolnością do języków i chwytania u d a r e n i j a?

Nadeszły dni rekreacji na Wszystkich Świętych — cenzura wcale była nieszczególna; z trzech najważniejszych przedmiotów miał miernie. Na jego najusilniejsze prośby i zaklęcia nie posłałem jej pani Marji.

— Drogie, złoty panie! — mówił, złożywyszy ręce. — Mama nie wie, że na Wszystkich Świętych dają stopnie, a do Bożego Narodzenia może Bóg zmiłuje się nade mną.

Biedne dziecko ludziło się nadzieją, że jeszcze te złe stopnie poprawi, a coprawda, ludziłem się i ja. Sądziłem, że wdroży się w rutynę szkolną, że przywyknie do wszystkiego, że wprawi się w język rosyjski i nabierze akcentu, na koniec, że coraz mniej będzie potrzebował czasu do nauki. Gdyby nie te nadzieje, dawno byłbym pisał do pani Marji, przedstawił jej stan rzeczy. Jakoż nadzieje nie zdawały się być płonne. Zaraz po Wszystkich Świętych Michaś dostał trzy stopnie celujące, z których jeden z łaciny. Ze wszystkich uczniów sam tylko wiedział, że od *gaudeo* czas przeszły dokonany jest: *gavisus sum*, a wiedział dlatego, że, dostawszy poprzednio dwa celujące, pytał mnie, jak po łacinie: „ucieszyłem się“. Myślałem, że chłopak zwarjuje ze szczęścia. Odzyskał humor i zdrowie prawie odrazu. Napisał do matki list, zaczynający się od słów: „Mamusiu najdroższa! Czy ukochana moja wie, jak jest *perfectum* od *gaudeo*? Pewnie nie wie ani mama, ani mała Lola, bo w całej klasie ja tylko jeden wiedziałem“.

Utrzymać te celujące noty stało się zadaniem jego życia. Ale był to tylko krótki blask jego szczęścia. Wkrótce fatalny polski akcent w rosyjskim języku zburzył to, co wybudowała usilność i praca, a nadmierna ilość Bóg wie jakich przedmiotów nie pozwalała dziecku poświęcić każdemu z nich tyle czasu, ile wymagała jego wysilona pamięć. Wypadek przyczynił się jeszcze do powiększenia niepowodzeń. I Michaś, i Owicki zapomnieli mi powiedzieć o jednym zadaniu piśmiennem i nie odrobili go. Owickiemu to uszło, bo go jako prymusa nie pytano, ale Michaś dostał publiczną naganę wraz z zagrożeniem, że zostanie wydalony... Przypuszczano oczywiście, że utulił umyślnie przede mną zadanie, by go nie odrobić. Chłopiec, który był niezdolny do najmniejszego kłamstwa, nie miał sposobu przekonania o swej niewinności. Mógł wprawdzie powiedzieć, że Owicki zapomniał, ale na to nie pozwalał honor szkolny. Moje zaręczenia nietylko nic nie pomogły, ale ściągnęły na mnie wymówki, że swoim postępowaniem nietylko zachęcam

chłopca do lenistwa, ale wogóle staram się osłabić wpływ szkoły i tych nowych idei, które w przeciwstawieniu do „domowych przesądów” szkoła stara się w dzieci wszczepiać. Zgryzłem się z tego powodu, ale więcej jeszcze udręczeń i niepokoju przyczynił mi widok Michasia. Wieczorem dnia tego widziałem go, jak, ścisnąwszy głowę rękoma, szeptał myśląc, że go nie słyszę:

— Boli! boli! boli!

List od matki, który nadszedł nazajutrz rano i w którym pani Marja obsypywała Michasia pieścizotami za owe celujące, był nowym dla niego ciosem:

— O, sprawię mamie ładną pociechę! — zawołał spazmycznie.

Nazajutrz więc, gdy mu wrzucił na plecy tornister z książkami, zatoczył się i mało nie upadł. Chciałem mu nie pozwolić iść do szkoły, ale mówił, że mu nic, prosił tylko, żeby go odprowadzić, bo się boi zawrotu głowy. Wrócił w południe z nowym „miernym”. Dostał go za lekcję, którą umiał doskonale, ale, jak powiedział Owicki, załął się i nie mógł słowa przemówić. Utwierdziła się stanowczo o nim opinia, że był to chłopiec tępy, leniwy i przesiąknięty wstecznymi, konserwatywnymi instynktami.

Z opinią tą, jakoby był tępy i leniwy, walczył, jak tonący, rozpaczliwie, ale napróżno. Wkońcu stracił wszelką wiarę w siebie, wszelką ufność we własne siły. Doszedł do przekonania, że wysiłki i praca daremna, że on musi się źle uczyć — a jednocześnie przedstawiał sobie, co na to powie matka, jaki to dla niej będzie ból, jak to może podkopać jej wątłe zdrowie. Ksiądz z Zalesina, który czasem pisywał do niego, człowiek poczciwy, ale nicogłębny, każdy list kończył słowami: „Tedy niech Michaś pamięta, że nie tylko radość, ale i zdrowie matki zależy od jego postępów w nauce”. Pamiętał, pamiętał nawet zanadto, bo często przez sen powtarzał żalonym głosem: „mamo! mamoo!” jakby ją błagał o przebaczenie.

Boże Narodzenie zbliżało się szybko. Tymczasem chłopiec dostawał coraz gorsze stopnie i co do cenzury nie można się było łudzić. Napisałem do pani Marji otwarcie, że dziecko jest słabowite, a przeciążone, że mimo największej pracy nie można sobie dać rady i że prawdopodobnie trzeba je będzie odebrać ze szkoły, a trzymać na wsi i przede wszystkim wzmacniać jego zdrowie. Lubo z odpowiedzi czułem, że jej miłość macierzyńska została nieco zraniona, jednakże odpisała, jak kobieta rozumna i kochająca matka. Nie mówiłem Michasiowi o tem nic, bom się coraz lękał dla niego każdego silniejszego wzruszenia, wspomniałem mu tylko, że, cokolwiek wypadnie, matka wie, że pracuje dla niej i potrafi wszystkie jego niepowodzenia wyrozumieć. Sprawilo mu to widoczną ulgę, bo się wypłakał długo i serdecznie, co mu się od niejakiego czasu nie zdarzyło. Płacząc, powtarzał ustawicznie: „Moja droga, dobra mama! ile ja jej sprawię zmartwienia“! Jednakże na myśl, że wkrótce pojedzie na wieś, że zobaczy matkę i małą Lolę, i Zalesin i księdza Maszyńskiego, uśmiechał się przez łzy. Mnie także było pilno do Zalesina, bom już prawie nie mógł patrzeć na mękę dziecka. Tam czekało na niego serce matki i życzliwość ludzka, i cisza, i uspokojenie. Tam nauka miała dla niego twarz swojską i życzliwą, nie obcą, bizantyjską i wykrzywioną drwiącym uśmiechem z tego, co dziecku było drogie. Tam mu nie mogło przyjść do głowy pytać się mnie z rozpaczą, czy naprawdę była jakaś polska historia; tam wreszcie cała atmosfera była cicha i czysta, którą dziecinne piersi mogły oddychać. Wyglądałem więc dla niego świąt, jak zbawienia, liczyłem na palcach chwile, które nas od nich przedzielały, a które dla mnie były chwilami niepokoju, dla niego męczarni.

Bo też wszystko zdawało się na niego sprzysięgać. Dzieci miały polecenie nie używać nigdy innego języka między sobą, jak rosyjskiego. Michaś zapomniał się raz: powiedział małemu Owickiemu, że go kocha, nie w języku wykładowym — i za to przekroczenie dostał jako „demoralizujący innych“ drugą pu-

bliczną naganę. Było to już przed samemi świętami. Jak to odczuł ten dzieciak ambitny i wrażliwy, nie podejmuję się nawet opisywać. Co za chaos musiał wytworzyć się w jego umyśle, jak wichrzyły i pomieszały się jego pojęcia o tem, co było złe, co dobre, co zasługiwało na karę, a co na naganę!

Rwało się wszystko w tej dziecinnej piersi. Przed oczyma widział zamiast światła ciemność i zamiast jednej drogi koło błędne, z którego nie było wyjścia. Giął się też, jak kłos pod wiatrem. Widziałem, że, gdy rankiem szedł do klasy, każdy nerw trząsł się w nim, jak przed męką. Wkońcu twarz tego jedenastoletniego dziecka przybrała wyraz poprostu tragiczny. Wyglądał tak, jakby go ustawicznie dusił za gardło płacz i jakby przemocą wstrzymywał szlochanie... Oczy jego patrzyły, jak oczy męczonogo ptaka; czasem opanowywało go dziwne zamyślenie i senność, a ruchy jego zrobiły się, jakby bezwiedne. Stał się niezwykle cichy, spokojnie i mechanicznie posłuszny. Gdym mu mówił, że czas na przechadzkę, nie upierał się, jak dawniej; brał czapkę i szedł za mną w milczeniu. Byłbym prawie kontent z tej zmiany, gdybym nie widział, że pod nią kryła się wyegzaltowana rezygnacja i ostateczne zwątpienie. Siadywał przy lekcjach, odrabiał zadania, jak i dawniej, ale więcej już z przyzwyczajenia. Widziałem doskonale, że, powtarzając mechanicznie konjugacje, myślał o czem innem, albo raczej nie myślał o niczem. Raz, gdym się go spytał, czy już skończył wszystko, odpowiedział mi, jakby sennie: „Ja myślę, panie, że się to na nic nie zdało“. Bałem się przy nim wspomnieć nawet o matce, by nie przepędzać tego kielicha goryczy, z którego piły jego dziecinne usta.

Ale drżałem o jego zdrowie, bo mizerniał ciągle i wkońcu stał się prawie przezroczysty. Siatka delikatnych żyłek, która dawniej ukazywała mu się na skroniach, gdy się śmiał lub bardzo ożywił, stała się teraz widoczną zawsze. Przytem, dziwna rzecz! Wypiękniał tak, że zrobił się prawie podobny do jakiegoś obrazu. Żal było patrzeć na tę główkę dziecinną, napół anielską, która

sprawiła wrażenie wędnącego kwiatu. Nie mógł już udźwignąć wszystkich książek w tornistrze, więc wkładałem mu tylko niektóre, a resztę sam nosiłem, bom teraz codziennie prowadził go i odprowadzał ze szkoły. Na wszelkie kwaśne uwagi jużem nie zważał. Święta nareszcie nadeszły. Konie z Zalesin czekały od dwóch dni, a list pani Marji, który przyszedł wraz z niemi, zapowiadał, że nas tam czekają z niecierpliwością. „Słyszałam, że ci, Michasiu, ciężko idzie — kończyła pani Marja, nie spodziewam się już celujących, chciałabym tylko, by nauczyciele twoi myśleli tak, jak ja, iż uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, i że dobrem sprawowaniem starałeś się wynagrodzić niedostateczne postępy“. Ale nauczyciele myśleli wcale co innego, jak również mieli odrębne pojęcie o sprawowaniu się dzieci, więc cenzura zawiodła i te nadzieje. Ostatnia nagana za użycie języka „nie-wykładowego“ tyczyła się wprost sprawowania chłopca, który, „jako nie dający widoków, by mógł korzystać odpowiednio, a zabierający napróżno miejsce innym“, został usunięty ze szkoły.

Michaś przyniósł ten wyrok wieczorem. W mieszkaniu było prawie zupełnie ciemno, bo śnieg bardzo obfity padał na dworze, więcem nie mógł widzieć jego twarzy; widziałem tylko, że poszedł do okna, stanął w niem i bezmyślnie patrzył na ulicę i na płatki śnieżne, kręcące się w powietrzu. Nie zazdrościłem biędactwu myśli, które, jak owe płatki musiały kręcić mu się w głowie, ale wołałem z nim nie mówić ani o wyroku, ani o cenzurze. W ten sposób upłynął nam z kwadrans w milczeniu, a tymczasem ściemniło się prawie zupełnie. Zapaliłem lampę i zabrałem się do pakowania rzeczy w tłumok, widząc zaś, że Michaś ciągle stoi nieruchomie przy oknie, spytałem go:

— Co tam robisz, Michasiu?

— Prawda — odparł głosem, który dygotał i zatrzymywał się na każdej sylabie — że mama siedzi teraz z Lolą w zielonym gabinecie przed ogniem i myśli o tem, że przyjedziemy.

— Być może. Czemu ci tak głos drży? Czyś nie chory?

— Nie, panie! Nic mi nie jest, tylko mi bardzo zimno.

Rozebrałem go i położyłem natychmiast do łóżka, bo istotnie drżał cały, a rozbierając, patrzyłem z litością na jego wychudzone kolana i ręce tak cienkie, jak żdźbła trzciny. Kazałem mu napić się gorącej herbaty i okryłem go, czem było można.

— Lepiej ci teraz, dziecko?

— O tak! Głowa mnie trochę boli.

Biedna głowa miała od czego rozboleć. Zmęczone dziecko usnęło wkrótce i oddychało pracowicie przez sen swemi wąskimi piersiami, ja zaś kończyłem pakować jego i swoje rzeczy. Potem, ponieważ piersi bolały mnie tego dnia z powodu zimna więcej, niż zwykle, położyłem się zaraz. Zdmuchnąwszy świecę, usnąłem prawie w tej samej chwili.

Koło północy obudziło mnie światło i jednostajne, dobrze mi znane mruczenie. Jakoż istotnie na stole paliła się lampa, przed stolikiem zaś nad książką siedział Michaś w jednej koszuli; policzki jego pały, oczy były przymknięte, jakby dla lepszego natężenia pamięci, głowa trochę wtył przechylona, senny głos zaś powtarzał:

— *Conjunctivus: amem, ames, amet...*

Szarpułem go za ramię:

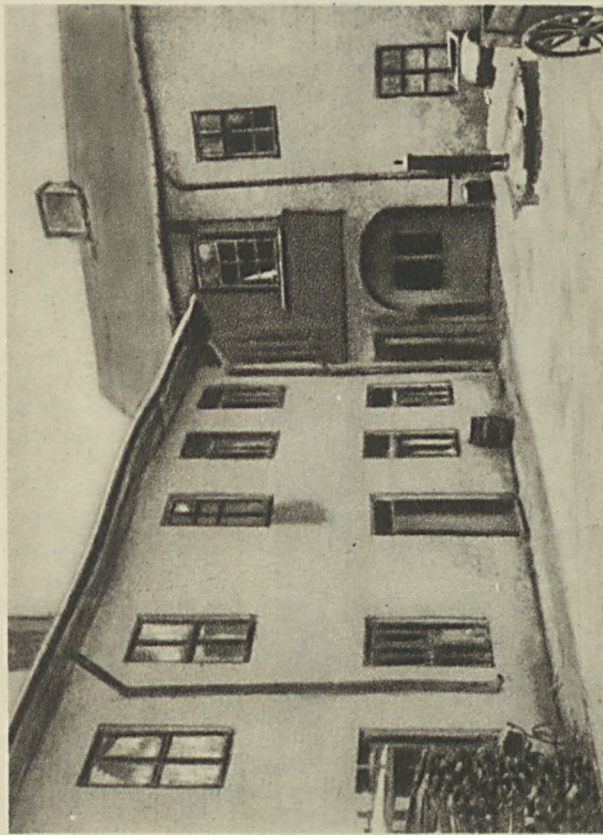
— Michasiu!

Rozbudził się i począł mrugać oczyma ze zdziwieniem, patrząc na mnie, jakby mnie nie poznawał.

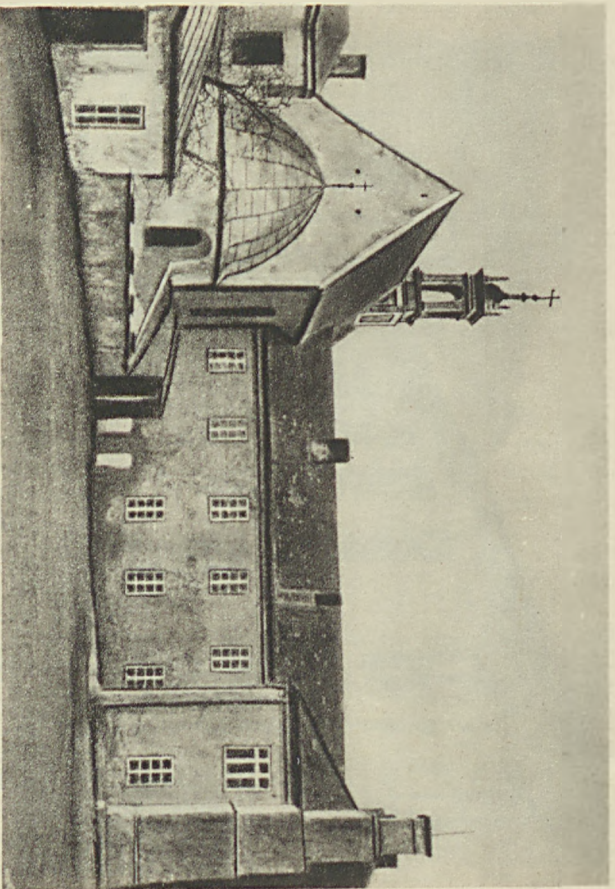
— Co ty robisz? Co tobie jest?

— O panie! — odrzekł, uśmiechając się — powtarzam wszystko od początku. Muszę dostać celujący stopień z łaciny; mama się dopiero ucieszy.

Porwałem go na ręce i zaniósłem do łóżka; ciało jego parzył o mnie ogień. Na szczęście doktor mieszkał w tym samym domu, sprowadziłem go więc natychmiast. Nie potrzebował się długo namyślać: chwilę potrzymał za puls dziecka, potem rękę położył mu na czole. Michaś miał zapalenie mózgu...



Dom przy ul. Starowarszawskiej Nr. 6, w którym mieszkał Żeromski
w pierwszych latach swego pobytu w Kielcach



Gimnazjum w Kielcach, do którego uczęszczał Żeromski
Obok kościoła św. Trójcy

...Pierwszy dzień świąt zszedł mi na przygotowaniach do pogrzebu, które były dla mnie straszne, bo matka nie chciała odstąpić zwłok, a ciągle robiło się jej słabo. Zemdląła, gdy ludzie przyszli brać miarę na trumnę, potem, gdy zaczęto ubierać ciało, наконец, gdy ustawiono katafalk. Rozpacz jej stykała się co chwila z obojętnością służby pogrzebowej, przywykłej do podobnych widowisk, i przechodziła prawie w obłęd. Sama układała wióry w trumnie pod atlasem, bredząc nawpół w gorączce, że poduszczełka za niska. A Michaś leżał tymczasem na łóżku, ubrany już w nowy mundurek i białe rękawiczki, sztywny, obojętny i pogodny.

Włożyliśmy go wreszcie do trumny i ustawili na katafalku, a naokoło dwa rzędy świec. Pokój, w którym biedne dziecko tyle się naodmieniało słów łacińskich i naodrabiało zadań, zmienił się jakby w kaplicę, bo zamknięta okiennica nie puszczała światła dziennego, a żółty, migotliwy blask świec nadawał ścianom pozór jakiś kościelny i uroczysty. Nigdy też od czasu, jak dostał ostatnie celujące, nie widziałem u Michasia twarzy tak rozpogodzonej. Delikatny jego profil zwrócony do sufitu, uśmiechał się łagodnie, jakby chłopiec w tej wieczystej rekreacji śmierci upodobał sobie i czuł się szczęśliwy. Migotania świec nadawały twarzy jego i temu uśmiechowi pozory życia i snu.

Powoli chłopcy-koledzy jego, którzy nie powyjeżdżali na święta, poczęli się schodzić. Oczy dzieci rozszerzały się zdziwieniem na widok świec, katafalku i trumny. Może dziwiła ich rola kolegi. Oto niedawno jeszcze był między nimi, zginał się, jak i oni, ciężarem tornistra przeładowanego książkami, dostawał złe stopnie, odbierał łajania i nagany publiczne, miał złe u d a r e n i e, każdy mógł go pociągnąć za włosy i za ucho, a teraz leżał taki wyższy od nich, uroczysty, niedostępny, spokojny, taki otoczony światłem; wszyscy zbliżali się do niego z szacunkiem i pewną trwogą — i nawet mały Owicki, choć prymus, niewiele wobec niego znaczył...

Chłopcy, trącąc się łokciami, szeptali sobie do ucha, że teraz on już o nic nie dba, że, gdyby nawet kto przyszedł, to onby się już nie zerwał, ale uśmiechałby się tak samo spokojnie, że on tam zupełnie, zupełnie może zrobić, co mu się podoba, szumieć¹⁾, jak zechce i mówić nawet po polsku do małych aniołków ze skrzydełkami pod szyją.

Tak szepcąc, zbliżali się do szeregu świateł i odmawiali wieczny odpoczynek Michasiowi.

Następnego dnia przykryto trumnę wiekiem, umocowano ją gwoździami i poniesiono na cmentarz, gdzie grudki piasku, pomieszane ze śniegiem, wkrótce ją skryły przed memi oczyma... na zawsze. Dziś, gdy to piszę, upłynęło już od tego czasu kilka miesięcy, ale pamiętam cię i żal mi ciebie, mój mały Michasiu, mój kwiatku uwiedły zawczasie! Miałeś zły akcent, ale serce pocziwe... Nie wiem, gdzie jesteś... czy mnie słyszysz... wiem tylko, że twój dawny nauczyciel kaszle coraz więcej, że mu coraz ciężiej, samotniej i że wkrótce może odejdzie, jak ty odszedłeś.

E. Włodzimierz Perzyński²⁾.

(Z powieści: *Uczniaki*, Warszawa. Gebethner i Wolff, bez roku).

Emiljanow był gospodarzem pierwszej klasy i opiekunem stancji państwa Smolickich. Bardzo często wpadał wieczorami sprawdzić, czy wszystko było w porządku, zgodnie z przepisami gimnazjalnemi. Uchodził on za największego eleganta wśród nauczycieli. Zawsze był wypomadowany, wyperfumowany, nosił najładniejsze mundury, jasne, starannie zaprasowane spodnie i buty tak błyszczące, że można się w nich było przeglądać.

1) Hałasować (ros.).

2) Współczesny powieściopisarz polski.

Podczas lekcji stałem i ulubionem jego zajęciem było piłowanie paznogci małym pilniczkiem w błyszczącej oprawie, który nosił w kieszonce od kamizelki. Z tego powodu uczniowie zastanawiali się nawet nad tem, skąd Emiljanowowi brały się paznogcie, bo je wciąż piłował, a wciąż miał.

Emiljanow był niby to bardzo dobry, chętnie śmiał się i żartował z uczniami, ale najłatwiej było od niego pałkę dostać i najgorzej prześladował za polski język. Już, jak Emiljanow usłyszał, że któryś uczeń po polsku mówił, napewno się taki od kary nie wywinął. Emiljanow był dopiero od dwóch lat nauczycielem; podobno, jak mówiono, sam dwa lata temu dopiero skończył uniwersytet w Rosji i przyjechał do Warszawy.

— Michniewicz, cóż to ci jest? Rozchorowałeś się? — odezwał się Emiljanow, wchodząc do uczniowskiego pokoju.

Usiadł na łóżku i pogłaskał Heńka po głowie.

— Nic wielkiego — wtrącił pan Smolicki, który wszedł za nauczycielem. — Na jutro będzie zdrów.

Kazik, wyprostowany przy biurku, zpodłba patrzył na Emiljanowa. Od niego właśnie dostał pałkę z geografji i uważał go za sprawcę wszystkich swoich dzisiejszych nieszczęść.

O tem, że Heniek chorował z powodu papierosów, ma się rozumieć, Emiljanowowi nie powiedziano.

— U państwa często dzieci chorują — odezwał się słodziutkim tonem Emiljanow.

— Ale gdzież tam! — zaprotestował żywo pan Smolicki. — W tym roku nikt nie chorował, no i tego za chorobę przecież nie można uważać.

Pan Smolicki mówił po rosyjsku fatalnym akcentem. Emiljanow uśmiechnął się ironicznie.

— Znać, że pan nie przyzwyczajony mówić po rosyjsku. Przepraszam, że sobie pozwalam na takie uwagi — dorzucił odrazu z niesłychanem ugrzecznieniem — ale tak pan to już zabawnie, z polska powiedział, że mimowoli mi się wyrwało...

Pan Smolicki poczerwieniał zlekka. Widoczne było, że go oburzyła bezczelność Emiljanowa, ale, niestety, nie mógł na nią odpowiedzieć tak, jakby należało.

— Akcent rosyjski jest bardzo trudny — odparł po chwili.

— Ii! nie trudniejszy, niż każdy inny — uśmiechnął się Emiljanow. — Tylko państwo wyjątkowo niechętnie język rosyjski traktujecie. Dlatego chłopcy źle mówią i muszę im pałki stawiać.

Wiadomo było w całym gimnazjum, że Emiljanow zwracał specjalną uwagę na dobry akcent rosyjski. Uczeń mógł jak najlepiej lekcję umieć, ale, jeśli mylił się w akcencie, otrzymywał zły stopień.

Pan Smolicki nic nie odpowiedział na uwagę Emiljanowa. Ale to nie zraziło młodego pedagoga, który ze szczególnem zamięłowaniem poruszał zawsze ten temat.

— Języka rosyjskiego trzeba się uczyć, jak każdego innego. Do francuskiego, niemieckiego trzyma się bony, guwernantki i dlatego dzieci mają wprawę. Jeżeli w domu z sobą nie będą trochę mówiły, w szkole nigdy nie nabiorą akcentu.

Pan Smolicki znów nic nie odpowiedział. Emiljanow odezwał się już z lekkim zniecierpliwieniem w głosie:

— Zgadza się pan ze mną?...

— Zapewne, zapewne — odparł pan Smolicki przyciszonym głosem.

Emiljanow parsknął krótkim śmiechem.

— Nie z wielkiem przekonaniem pan to powiedział.

— On chce, żebyśmy w domu po moskiewsku mówili — pomyślał Kazik, obrzucając nienawistnem spojrzeniem nauczyciela.

Emiljanow wstał z łóżka, zbliżył się do Kazika i ujął go pieśczośliwie pod brodę.

— Ten się dziś nie spisał...

— Aha! — mruknął pan Smolicki.

— Ani słówka nie odpowiedział.

— To dziwne, bo wczoraj umiał lekcję, sam go przesłuchiwałem.

— Widocznie przez noc zapomniał. Przez noc często się zapomina lekcji, nieprawda?...

I Emiljanow wybuchnął śmiechem, zadowolony ze swego dowcipu.

Emiljanow usiadł przy biurku i zaczął przerzucać książki, potem nibyto od niechcienia otworzył szufladę; wyciągnął z głębi jakiś kajet i otworzył go z zaciekawieniem.

— Cóż to jest?

Emiljanow nie tylko po szufladach plondrował, ale i pod poduszki zaglądał. Miało się wrażenie, że byłby najszcześliwszy, gdyby mógł wszystko w całym mieszkaniu dogóry nogami przewrócić.

Kazik, korzystając, że przestano zwracać na niego uwagę, wymknął się z pokoju. Taka go ogarnęła złość na Emiljanowa, że postanowił się na nim zemścić. Na szczęście miał przy sobie swoje pudełko z karaluchami. Nie zdążył go już schować zpowrotem pod łóżko i, gdy Emiljanow wszedł do pokoju, wsadził je w kieszeń. Pędem pobiegł do przedpokoju, rozejrzał się dookoła — na szczęście nie było nikogo — szybko otworzył pudełko i wsypał karaluchy w kieszeń od palta Emiljanowa.

Potem wrócił do pokoju uczniowskiego.

Emiljanow siedział jeszcze przy biurku. Wszystko już przejrzał, ale żał mu było wstawać od rewizji. Żartował z chorego Heńka, nazywając go babą, i muskał przytem starannie utrzymane wąsiki.

Na małym palcu lewej ręki Emiljanow nosił pierścionek z brylantem i ten palec trzymał zawsze odsunięty trochę od innych, jakgdyby na to, żeby brylant było lepiej widać. Co prawda, po całym gimnazjum opowiadano sobie, że ten brylant był fałszywy. Wyszło to z trzeciej klasy od żydka Stuglera, którego ojciec był jubilerem.

Emiljanow potrafił nieraz godzinę siedzieć i zanudzać swemi dowcipami państwa Smolickich i uczniów. Tak było i tym razem: wpadł w wyjątkowo dobry humor i usta mu się nie zamykały. Przytem wciąż strzelał oczyma po pokoju, jakgdyby się spodziewał, że uda mu się jeszcze niespodziewanie coś „zakazanego“ odnaleźć.

Wreszcie jednak wszystkie tematy się wyczerpały. Przystojny pedagog wstał i pożegnał państwa Smolickich. Do przedpokoju odprowadziła go cała stacja. Emiljanow uśmiechnięty włożył palto, sięgnął do kieszeni po rękawiczki i nagle krzyknął prze-
rażliwie...

Nikt nie wiedział, co się stało. Emiljanow machnął gwałtownie rękami, chcąc zrzucić z siebie palto, ale zaczęło mu się o coś i nie mógł dać sobie rady. Zaczął kręcić się i skakać, zupełnie, jakby tańczył jakiś dziki taniec.

Przez chwilę wszyscy myśleli, że zwarjował.



Najlepszym przyjacielem Kazika był Tomek Wolański. W klasie nazywano go Arbuzem, ponieważ był mały i gruby.

Przez dwa pierwsze kwartały Kazik i Arbuz siedzieli obok siebie, ale później, ponieważ rozmawiali i podpowiadali sobie lekcje, więc Emiljanow ich rozsadził. Rozdzielały ich dwie ławki i podczas lekcji mogli rozmawiać tylko na migi.

Od wizyty Emiljanowa na stacji upłynęło kilka dni. Oczywiście z powodu tych karaluchów, które Kazik wrzucił Emiljanowowi w kieszeń od palta, zrobiła się straszna awantura. Choć nikt o tem nie wiedział, że Kazik miał schowane karaluchy, odrazu podejrzenie padło na niego. Tym razem pan Smolicki strasznie się na niego rozgniewał. Mówił, że za taką sprawkę mogli mu zabronić trzymać uczniów na stacji. I Kazik dostał w skórę.

Emiljanowa udało się ułagodzić, ale pan Smolicki aż się rozchorował ze zmartwienia. Przez dwa dni leżał w swoim pokoju, w łóżku. Przez te dwa dni ciotka i młodszy chłopcy patrzyli na Kazika, jak na zbója. Ciotka powtarzała mu na każdym kroku:

— Przez ciebie wuj się o mało nie rozchorował.

Starsi uczniowie mniej się przejmowali chorobą pana Smolickiego. Śmieli się i opowiadali sobie coś pocichu. Raz Kazi-kowi udało się podsłuchać jeden wyraz: „wyśpiwywał“, ale reszty dowiedzieć się nie mógł, bo Obicki go spostrzegł i zaraz zaczął na niego krzyczeć:

— Wynoś się! Jak będziesz podsłuchiwał, za uszy dostaniesz!

* * *

Kazik był jednak skruszony. Zrozumiał, że mógł wujostwu wielką krzywdę wyrządzić, i postanowił się poprawić. Przez kilka dni uczył się pilnie lekcyj. Dał sobie słowo honoru, że już do końca roku ani jednej pałki nie dostanie. Coprawda do końca roku pozostawało już niewiele czasu i słowo Kazika tyczyło się tylko pałek „sprawiedliwych“. Pałki za „akcent“ i „niesprawiedliwe“ nie wchodziły w rachubę.

Dopiero na piąty dzień nie nauczył się łaciny. Łaciny dawał Aleksander Aleksandrowicz Dobronrawow, który tem się odznaczał, że miał bardzo bujną brodę i długie, opadające aż na kołnierz włosy. Był to jeden z najsurowszych nauczycieli, uczniowie bali się go, jak ognia, i na jego lekcjach panowała niczem nie zamaćcona cisza. Aleksander Aleksandrowicz miał zwyczaj przed wyrwaniem długo i przenikliwie wpatrywać się w ucznia, który pod tym wzrokiem mieszał się, denerwował i, nawet, jeśli umiał dobrze lekcję, tracił spokój, potrzebny do odpowiadania. Oczywiście, w wyższych klasach ten manewr pedagogiczny nie wywierał odpowiedniego wrażenia, tem bardziej więc Dobronrawow starał się to sobie powetować w pierw-

szej i drugiej. Czasami, wytrzymawszy jakiegoś ucznia przez kilka chwil pod grozą swego spojrzenia, Dobronrawow nagle wyrывał niespodziewanie innego. Wówczas uśmiechał się pod wąsem i w takich momentach nie tylko było wolno, ale nawet należało całej klasie wybuchnąć śmiechem. Dobronrawow marszczył brwi, nakazywał klasie milczenie, ale wszyscy wiedzieli, że w istocie był w dobrym humorze. To też uczeń, tak niespodziewanie wyrwany, mógł się być zawsze spodziewać większej pobłażliwości. W klasie mówiono o takich, że mieli szczęście.

Kazik od początku godziny siedział przyczajony, jak trusia. Nadomiar złego łacina była ostatnią lekcją. Strasznieby było już przed samem pójściem do domu dostać palkę. Kazik miał zegarek, ale popsuty, więc nie mógł nawet mieć tej pociechy, żeby patrzeć, ile minut zostało do dzwonka. Musiał się pytać Arbuz. Gdy tylko Dobronrawow odwracał głowę, Kazik oglądał się na kolegę i gorączkowo dawał mu znaki oczyma. Arbuz odpowiadał mu na migi.

Nie było to bezpiecznie, bo, gdyby Dobronrawow ich złapał, napewno odpowiadałoby obaj. I to w najgorszy sposób, bo „z miejsca“, nie wychodząc z ławki. Za jedno pytanie można było tak palkę dostać, że ani się człowiek obejrzał. Przytem Kazikowi się zdawało, że Arbuz kłamał i kpił sobie z niego. Raz pokazał mu, że zostało osiemnaście minut i ćwierć. Potem Kazik przez długi czas nie mógł się obejrzeć, bo Dobronrawow stał blisko, a gdy nareszcie Dobronrawow podszedł do tablicy i Kazik mógł znów odwrócić głowę, Arbuz pokazał mu szesnaście i pół. Otóż było niemożliwe, żeby przez cały ten czas tylko dwie minuty upłynęły.

— Czekaj, dam ja ci za to! — odgrażał się Kazik koledze w myśli.

Jak zwykle na ostatniej lekcji w klasie było strasznie duszno. Dobronrawow nie pozwolił zapuścić rolet i słońce prażyło prosto w oczy. Kazik nie wiedział już, czym czas zabić, i zaczął liczyć

muchy. Cztery siedziały na piecu, a sześć latało pod sufitem. I jeszcze jedna ogromna tłukła się między szybami. Była nawpół zdechła. Wciąż chciała wyleźć gdzieś dogóry po szybie i, dodrapawszy się najwyżej do połowy okna, spadała zpowrotem. Powtarzało się to raz po raz. Kazik zaczął ją obserwować i za każdym razem, kiedy spadła, doznawał uczucia zadowolenia. Nagle usłyszał swoje nazwisko.

Dobronrawow kazał mu wyjść do tablicy. Nogi mu się ugiwały ze strachu, kiedy szedł. Ale w tej samej chwili, gdy się zbliżył do katedry, rozległ się dzwonek. Przez sekundę ważyły się losy Kazika.

Dobronrawow bardzo często, gdy się tak złożyło, że kogoś wyrwał, nie zwracał uwagi na dzwonek i przeciągał lekcję, ale dziś, może dlatego, że to była ostatnia lekcja i że jemu także śpieszyło się do domu, zamknął z trzaskiem dziennik.

— Udało ci się — odezwał się z uśmiechem do Kazika — bo pewne nic nie umiałeś.

Kazik był tak uradowany, że zapomniał o swoich pretensjach do Arbuza. Wyszli razem z gimnazjum.

.
Najulubieńszymi dniami dla Kazika były galówki. Było to niby święto, a nie święto. Rano szło się do kościoła, jak w niedzielę, z tą tylko różnicą, że w niedzielę wszyscy schodzili się na mszę oddzielnie wprost z domów i właściwie nad tem, czy kto przyszedł czy nie, nie było wielkiej kontroli, bo tylko „dyżurny“ znaczył to w swoim notesiku dla księdza, w galówki zaś trzeba się było zebrać w gimnazjum, odczytywano listę i potem parami wszystkie klasy szły do kościoła. Do najulubieńszych sportów uczniowskich należało wymykanie się z szeregów po drodze. Praktykowało się to głównie w wyższych klasach, ale i w najniższych znajdowały się śmielsze natury, które szły za przykładem starszych. Kazik, Arbus, Pestkojad i starszy Michniewicz dwa razy się tak wymykali na zakręcie ulicy, bo

wtedy idący przodem pomocnik gospodarza klasy tracił ich na pewien czas z oczu. Wpadali do bramy i tam przeczekiwali, aż wszyscy przejdą.

W kościele można było się nie modlić i nie uważać. Wprawdzie i w niedzielę nieraz zdarzało się Kazikowi, że zaczynał bujać myślami o sto mil od nabożeństwa, ale uważał to za ciężki grzech i, przyłapawszy się na takiej nieuwadze, starał się ją potem nadrobić podwójnem skupieniem i pobożnością. Ale ten powrót do skupienia był trudny, wymagał znacznego wysiłku woli, aby rozfantazjowany mózg ująć w karby modlitwy. To też bardzo często w takich razach Kazik próbował wchodzić w kompromis z poczuciem obowiązku względem Pana Boga i naznaczał sobie dwu albo trzypięciominutowy termin, aby jeszcze myśleć „o czemś innem”. Zostawało mu jednak dręczące poczucie grzechu i w kalendarzyku, w którym notował swoje grzechy do spowiedzi wielkanocnej zapomocą różnego rodzaju tajemniczych hieroglifów stosownie do kategorii grzechów, znów przybywał jeden znak.

W galówki dusza Kazika wolna była od tych skrupułów. Mógł nie uważać, rozglądać się, rozmawiać z kolegami i uważał, że wszystko było w porządku, bo przecież nikt nie mógł od niego wymagać, żeby się naprawdę modlił za cara.

Pewnego razu, gdy wypowiedział głośno przy obiedzie ten pogląd, pan Smolicki go zgromił:

— Głupi jesteś. W kościele zawsze trzeba się modlić.

Kazik zaprotestował:

— Jaktol to ja się mam modlić za Moskali?

— Możesz się za kogo innego modlić.

Starsi chłopcy, a nawet ośmioklasista Szydłowski stanęli po stronie Kazika i z teologicznej dysputy, jaka się wywiązała, pan Smolicki nie mógł wybrnąć. Przyszła mu z pomocą ciotka, która argumenty Kazika przerwała krótko:

— Dość tego! Jeżeli jeszcze słowo się odezwiesz, odejdziesz od stołu.

Pan Smolicki zwrócił się do Szydłowskiego z wyrzutem:
— Że też pan tak samo rozumuje, jak oni!

(Szydłowskiemu oboje wujostwo mówili „panie“. Nie lubili go zresztą. Kazik podsłuchał raz, jak pan Smolicki mówił, że całe szczęście, że Szydłowski kończył już gimnazjum, bo jeszcze przez rok za nic w świecieby go na stacji nie trzymał).

Po ustach ośmioklasisty przewinał się ironiczny uśmieszek, szykował się do jakiejś odpowiedzi, ale pan Smolicki uprzedził go niecierpliwie:

— Nie mówmy już o tem.

Kazik wiedział, że wuj obawiał się wdawać z Szydłowskim w dysputy, bo Szydłowskiego przegadać było bardzo trudno. Zawsze miał odpowiedź gotową. Po jednej z dysput Michniewiczowie dowodzili nawet, że Szydłowski był od pana Smolickiego mądrzejszy. W głębi duszy Kazik podzielał to przekonanie, ale nie przyznał braciom racji. Pewne poczucie związku krwi kazalo mu wystąpić w obronie wuja. Doszło do ostrej kłótni. Wieczorem jednak w łóżku, kiedy Kazik przemysliwał całe to zajście, ogarnęło go zniechęcenie. On postąpił szlachetnie, ale wuj nigdy nie umiał takich porywów ocenić i nie warto było go bronić.

.
Ze wszystkich książek, które Kazik w swoim życiu czytał, najbardziej podobał mu się „Pan Twardowski“. I nieraz, zwłaszcza, gdy jakaś niesprawiedliwość napelniła go oburzeniem przeciwko życiu i ludziom, zastanawiał się nad tem, czyby nie zaprzedać duszy djabłu. Nie zwierzał się z tym pomysłem przed nikim. Raz mimochodem zaczął Arbuza:

— Słuchaj, Arbuz.

— Co?

— Czy tybyś zaprzedał duszę djabłu?

Arbuz wzruszył ramionami.

— Żebyś potem całe życie w piekle siedział?

— Ale zato mógłbyś robić, co ci się podoba.

Arbuza ten argument nie przekonał.

— Zresztą o panu Twardowskim to nieprawda.

— Kto ci to mówił?

— Tatuś.

Kazik zmarszczył brwi. Nie chciał wobec Arbuza wyrażać się sceptycznie o jego ojcu, w głębi duszy jednak nie mógł się powstrzymać od myśli, że stary „Arbuz“ na niczem się nie znał.

Arbuz był jedynym człowiekiem, przed którym Kazik mógł się z tego pomysłu zwierzyć. Bo przed kim innym? Przed Michniewiczami nie. Obaj byli głupcy i durnie. Poza tem, prócz Arbuza Kazik miał jeszcze w klasie dwóch przyjaciół: „Pestkojada“ i Stacha Zarzyckiego. I „Pestkojad“ i Stach byli w całym tego słowa znaczeniu „przyzwoici faceci“, ale nie do tego, żeby im się zwierzać. Gdy więc próba porozumienia się z Arbuzem zawiodła, pomysł konszachtów z djabłem wzorem pana Twardowskiego pozostał wyłączną tajemnicą Kazika.

I po namyśle Kazik musiał przyznać, że tak było lepiej. Jeśli chciał się zwierzyć ze swego projektu Arbuzowi, to motywem tego nie było tylko czysto przyjacielskie dążenie do podzielenia się tajemnicą. Miał raczej pewnego rodzaju wyrachowanie na względzie. Pragnął, żeby Arbuz razem z nim zaprzedał duszę djabłu. Wprawdzie musieliby się dzielić władzą, ale zawsze we dwóch byłoby rażniej ważyć się na taki czyn, niż samemu. Przyszła mu potem jednak do głowy refleksja, że djabła na taki układ nie chciałby się zgodzić. „Albo, albo — powiedziałby napewno — jeśli mi chcesz duszę sprzedać, to się zdecyduj i miej odwagę sam to zrobić“.

Kazik zastanawiał się nieraz na tem, czego by od djabła zażądać. Różne plany przychodziły mu do głowy, ale od kilku dni wpadł na zupełnie nowy pomysł, który go zachwycił.

Tym nowym pomysłem był niewidzialny pancerz.

Kazik wysilał nawet fantazję na to, aby szczegółowo ten pancerz obmyślić, choć właściwie należało to już raczej do djabła,

niż do niego. Ale Kazik posiadał pewną skłonność do ścisłości w myśleniu i samo mgliste określenie „niewidzialny pancerz“ nie mogło mu wystarczyć. Odrazu zresztą udało mu się znaleźć szczęśliwe rozwiązanie. Miała to być cieniuteńka warstwa „naelektryzowanego powietrza“, któreby wcale nie przepuszczało kul.

Ubrany w ten pancerz Kazik poszedłby do gimnazjum i jak-gdyby nigdy nic usiadł w ławce. Na oko, ma się rozumieć, nie byłoby znać, że ma na sobie pancerz. Przed samą lekcją wstałby i powiedział do całej klasy: „Panowie, zastrzelę dziś Emiljanowa“. Wszyscy zaczęliby się śmiać i krzyczyć: „Warjat, głupiec!“.

Kazik, ma się rozumieć, nie obraziłby się o to. Poczekaliby, aż Emiljanow przyjdzie, usadowi się na katedrze. Wtedy dopiero znówby się podniósł i powiedział głośno po polsku:

— Przyszła twoja ostatnia godzina, Moskalu!

Emiljanow wpadłby we wściekłość. Przedewszystkiem o to, że Kazik ośmiela się mówić po polsku. Zapisaliby go do dziennika. Wtedy Kazik wyjąłby rewolwer, spokojnie wycelował i — buch!

Aż go zimny dreszcz przeszedł, gdy uprzytomnił sobie, jak Emiljanowowi krew chlusnęłaby ustami i jakby runął z katedry na ziemię.

W klasie zrobiłby się straszny rwetes. Zbiegliby się wszyscy: dyrektor, inspektor Dobronrawow. Coby który się pokazał, Kazik brałby go spokojnie na cel i — trup. Potem wyszedłby na ulicę. Przed gimnazjum sprowadzonoby już tymczasem wojsko, armaty, ale, gdyby się soldaci przekonali, że Kazika kule się nie imają, pouciekaliby wszyscy przerażeni.

Wtedy on poszedłby na kolej, kazał dać sobie oddzielny pociąg z samych wagonów pierwszej klasy, pojechał do Petersburga i tam postawił carowi warunek:

„Albo niech się wszyscy Moskale wynoszą z Polski, albo cię zabiję“.

Ma się rozumieć car przestraszyłby się i uległ. I wówczas jego obranoby na króla polskiego.

* * *

Godzina nudnej lekcji płynęła niepostrzeżenie. Nagle Kazik drgnął.

— Dalecki! — padło z katedry.

— Słucham — odparł Kazik machinalnie po polsku. Tak był zamyślony, że zapomniał zupełnie, że to lekcja.

Na szczęście była to lekcja arytmetyki, której dawał Polak Grzybiński. Nie umiał utrzymać powagi i uczniowie niewiele sobie z niego robili. Ale nie lubiano go. Po gimnazjum krążyła opinia, że „Grzyb“ niejednokrotnie był gorszy od Moskali.

Wynikało to z jego zahukania i zalęknienia. Drżąc o swoją posadę, Grzybiński własnego cienia się obawiał.

I teraz, gdy Kazik odpowiedział po polsku, na twarzy Grzyba odmalowało się przedewszystkiem przerażenie. Obejrzał się na drzwi, jakby chcąc sprawdzić, czy z korytarza nie mógł kto tego usłyszeć, i wybuchnął:

— Czyś ty oszalał, ośle?!

— Przepraszam — zaczął się Kazik usprawiedliwiać po rosyjsku, ale Grzyb nie dał mu dojść do słowa.

— Ty durniu, idjoto! — wymyślał, wymachując rękami (Repertuar wymysłów Grzyb miał bardzo obfity — z tego był także znany w gimnazjum). — Mnie i siebie narażasz! Pójdiesz na dwie godziny do kozy.

Kazik zdrętwiał. Tego dnia wypadały imieniny Zygmunta.

Sośniewicz i „Pestkojad“, który miał pieniądze, obiecał po lekcjach zaprowadzić Kazika i Arbuza na ciastka. Tak się przytem cudownie składało, że z powodu choroby jednego z nauczycieli miano ich zwolnić z ostatniej lekcji. Zyskiwali przez to całą godzinę.

— Niech mi pan daruje, ja przecież nie naumyślnie — jęknął płaczącym głosem Kazik.

Cała klasa ujęła się za nim.

— Niech mu pan daruje, niech mu pan daruje! — zaczęło się rozlegać z różnych miejsc coraz głośniejsze, aż wreszcie utworzył się z tego ogólny chór.

Grzyb przestraszył się hałasu, który mógł ściągnąć do klasy inspektora czy dyrektora. Skończyło się na tem, że postawił Kazika do kąta „twarzą do ściany“. Ale zaledwie Kazik stanął, zaraz rozległ się dzwonek.

W okresie egzaminów w klasach wyższych zdarzała się możność bardzo często, że pierwszą i drugą klasę rozpuszczano wcześniej do domów, czasami nawet zaraz od rana po pierwszej lekcji. Była to gratka, z której korzystano radośnie, tem bardziej, że można było do domu nie wracać, bo, oczywiście, w domu o tem, że wszystkich lekcyj nie było, nikt nie mógł wiedzieć. Kazik, Arbuz i Pestkojad w takich razach zostawiali tornistry u pewnego stróża, którego wynalazł Pestkojad, najsprytniejszy do takich rzeczy i umiejący się ze wszystkimi dogadać, i włoczyli się po mieście.

Tym razem tak się szczęśliwie złożyło, że można było nawet iść do Łazienek na łódki. Byli wyjątkowo zasobni. Mieli we trzech dwie czterdziestówki. Perspektywa „łódek“ ostatecznie przewyciężyła resztki wahań Kazika.

— Chodźmy — zdecydował z mocą.

Skoro on i Pestkojad tak już postanowili, Arbuz, choć może się i bał w głębi duszy, ale musiał się do nich zastosować — nie było rady.

Zostawiono tornistry u przyjaciela stróża i przyjaciele w złotych humorach ruszyli do Łazienek. To jest naprawdę w dobrych humorach byli tylko Kazik i Pestkojad. Arbuz bał się w głębi duszy tej eskapady i szedł markotny.

Pestkojad to zauważył i pogardliwie zwrócił się do kolegi:

— Jak się boisz, to uciekaj do domu.

Arbuz zaczerwienił się po same uszy.

— Wcale się nie boję.

I zaczął najhałaśliwiej udawać dobry humor z obawy, aby go nie posądzono o tchórzostwo. Ale Kazik i Pestkojad znali się na tem i od czasu do czasu zamieniali ironiczne spojrzenia.

Byli już nad stawem w Łazienkach i zbliżali się do przystani łódek, gdy nagle w alejce ukazał się jakiś niski i gruby mężczyzna w meloniku ze śpiczastą brodą. Zmierzył ich podejrzliwem spojrzeniem i nagle, zbliżywszy się szybko, zaczął po rosyjsku:

— Co tu robicie?

Był to oczywiście nauczyciel z jakiegoś innego gimnazjum. Chłopcy zaczęli mu się tłumaczyć, że nie mieli tego dnia lekcyj, ale nauczyciel ani słuchać tego nie chciał. Zażądał biletów.

Arbuzowi łzy zakręciły się w oczach. Kazik nadrabiał miną, ale także mu było nieswojo. Pestkojad zaś zbladł, zagryzł usta i nagle, nim przyjaciele zdążyli się zorjentować, co robi, odskoczył dwa kroki wtył dla nabrania rozpędu, pochylił się i z całej siły wyrzwał pedagoga głową w brzuch.

Pedagog jęknął, chwycił się rękami za brzuch i tak się zatoczył, że aż mu melonik spadł z głowy.

— W nogi! — ryknął nieludzkim głosem Pestkojad. Uciekali, jakgdyby im skrzydła urosły. Każdy z nich zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji. Jeśli tamtemu uda się ich złapać, napewno będą wyrzuceni z gimnazjum.

— Goni nas!

Kazikowi tchu w piersiach zabrakło. Obejrzał się i tuż za sobą ujrzał ścigającego go belfra. Moskał już był pewien, że go trzyma. Wyciągał rękę, żeby go chwycić za kark.

— Boże!... Boże!... — jęknął Kazik, czując, że nagle wszystkie siły go opuszczają. Pociemniało mu w oczach.

I nagle usłyszał za sobą głośnie przekleństwo. Jego prześladowca potknął się o kamień i wyciągnął się, jak długi, na ziemi.

Stało się to o kilkanaście kroków od wysokiej, okratowanej bramy, zamykającej aleję. Pestkojad i Arbuz już się drapali dogóry. Kazik rzucił się za nimi. Strach dodał mu zwinności.

W sekundę, jak małpa wspiał się na kratę. Jak zeskoczył po drugiej stronie na ziemię, sam nie wiedział.

Ale już byli za kratą — bezpieczni.

Pestkojad szybko zbierał kamienie, żeby bombardować ścigającego ich belfra, gdyby chciał za nimi przez kratę przełazić. Tamten zbliżył się do kraty, spojrzał w górę, widocznie jednak przechodzenie na drugą stronę wydało mu się zbyt karkołomnem przedsięwzięciem.

Zmierzył ofiary, które mu się wymknęły, nienawistnem spojrzeniem.

— Czekajcie, ja was znajdę jeszcze! — zasyczał.

Pestkojad pokazał mu język. Nawet w Arbuza wstąpiła fantazja.

— Słuchajcie, panowie! — wykrzyknął. — Zatańczmy mu taniec indyjski.

I wszyscy trzej z dzikimi krzykami zaczęli tańczyć jakiś wściekły taniec, czyniąc różne nieprzystojne miny i gesty w stronę nauczyciela, który, widząc swoją bezsilność, aż posiniał ze złości.

* * *

Udało się, bo się udało, ale cały wieczór Kazik miał potężnego stracha. Bo to, że awantura narazie zakończyła się szczęśliwie, nic, niestety, jeszcze nie przesądzało o jutrze: taki rozwścieklony Moskal mógł pójść po gimnazjach i szukać uczniów. Całe szczęście, że byli we trzej natyle przezorni, i, wchodząc do Łazienek, pozdejmowali z czapek palmy z cyfrą gimnazjum. To bądź co bądź utrudniało trochę poszukiwania. Honor tej przezorności należał się Arbuzowi. W Łazienkach, gdy Arbuz pierwszy zdjął czapkę i odpiął palmy, Kazik uśmiechnął się ironicznie. Wiedział, że Arbuz robił to przez tchórzostwo, teraz jednak musiał przyznać w duchu, że i tchórzostwo mogło się czasami na coś przydać. Ale, oczywiście, to, że Moskal nie wiedział, z którego byli gimnazjum, stanowiło jeszcze słabą pocie-

chę. Mógł pójść po wszystkich gimnazjach. Poznałby ich na pewno. Kazik w wyobraźni widział już, jak ich szykują w podwórzu w szeregu, jak „tamten“ z inspektorem idzie od ucznia do ucznia i świdruje każdego przenikliwie oczyma. I wreszcie wyciąga drapieżną rękę:

— Ten.

Kazik siedział nad książką, ale wyrazy skakały mu przed oczyma i o nauce ani mowy być nie mogło. A tu nadomiar złego pan Smolicki nie wyszedł, jak zwykle, po kolacji, tylko pozostał w domu. Te wieczory, które wuj spędzał w domu, nie należały do najweselszych. Z nudów, nie mając co robić, wciąż zaglądał do pokojów uczniowskich i dla zabicia czasu przesłuchiwał chłopców lekcyj.

Kazik czuł, że to lada moment na niego spadnie. I nie zawiodło go przecucie. Pan Smolicki wszedł do pokoju, naregulował zegar z kukułką, który wisiał na ścianie, zajrzał Michniewiczowi w kajet i wreszcie zwrócił się do Kazika:

— Czego się uczysz?

— Geografji — mruknął Kazik ponuro.

— Umiesz?

— Umiem.

— A gdybym cię tak przesłuchał?

— Może mnie wuj przesłuchać.

— No, to pokaż, co masz zadane.

W momentach skruchy po zajściu z Emiljanowem Kazik dał sobie uroczyste słowo honoru, że już nigdy wuja nie oszuka. Coprawda tak się składało, że od owego czasu pan Smolicki ani razu nie przesłuchiwał go lekcji. Kazik nie wiedział, co począć. Pokazać to, co naprawdę było zadane? Mniejsza już o to, że wuj kazałby mu siedzieć, choćby do dwunastej w nocy, dopóki by nie nauczył się wszystkiego bez zająknięcia, ale skrzyczałby go i jeszcze przez kilka dni potem wymawiał: „Mówiłeś, że umiesz, a nic nie umiałeś“ — i rozstrojone nerwy Kazika nie odważyły się na tę próbę. Po chwilowem wahaniu postanowił

jeszcze jeden jedyny, ostatni raz oszukać wuja i chwycił się wypróbowanego manewru. Pokazał wujowi starą lekcję, którą umiał wyjątkowo dobrze.

Pan Smolicki obracał podejrzliwie książkę w rękach, jakgdyby chcąc z dopisków i zakreszeń odgadnąć, czy Kazik naprawdę mu pokazał ostatnią lekcję. Ale ponieważ była to stara książka, kupiona w antykwarni i cała pomazana i pokreślona, więc tego, aby wuj sam mógł dociec, co było zadane, Kazik nie obawiał się wcale.

— To już było — odezwał się pan Smolicki po chwili. Kazik wiedział, że wuj tak powie, żeby go załapać. I, przygotowany na ten naiwny wybieg, nie stracił pewności siebie.

— Wcale nie było. Przecieżbym wuja nie oszukiwał. Przedtem dwa razy mieliśmy jedno i to samo, bo Emiljanow zadał powtórzenie.

— Zaraz zobaczymy, czy umiesz.

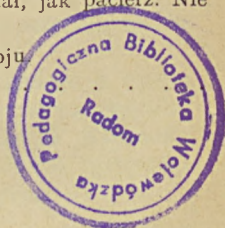
I ten egzamin nie wypadł świetnie. Bo choć Kazik umiał lekcję wybornie, ale było to już dwa tygodnie temu i przez te dwa tygodnie coś niecoś zdążyło mu wywietrzeć z głowy. Jakaś się, chcąc zyskać czas do namysłu, kazał sobie po dwa razy powtarzać pytanie, udając, że nie dosłyszał. Pana Smolickiego zniecierpliviło to wkońcu.

— Cóż ty, głuchy jesteś?

— Wuj tak niewyraźnie powiedział.

— Dla osłów wszystko jest zawsze niewyraźne. Za godzinę jeszcze raz cię przesłucham i żebyś mi umiał, jak pacierz. Nie pójdziesz spać, dopóki się nie nauczysz.

Pan Smolicki wyszedł zirytowany z pokoju



15443

1898



WZORY ZAGADNIENÍ DO OPRACOWANIA.

1. Objaśnić tytuł *Syzyfowych prac* w zastosowaniu do treści utworu.
2. Dwa wrogie społeczeństwa w *Syzyfowych pracach*.
3. Przygnębienie i zatrwożenie, jako cechy społeczeństwa polskiego pod rządami rosyjskimi (według *Syzyfowych prac*).
4. Metody rusyfikacyjne szkoły rosyjskiej w stosunku do uczniów-Polaków (według *Syzyfowych prac*).
5. Jak się dusza budziła w Marcinku Borowiczu.
6. Fazy w rozwoju umysłowym, które kolejno przebywał główny bohater *Syzyfowych prac*.
7. Metody nauczania w dawnej szkole rosyjskiej (według *Syzyfowych prac*) a w obecnej szkole polskiej.
8. Stosunek otoczenia do chłopskich synów, szukających wiedzy w szkole średniej (według *Syzyfowych prac*).
9. Rzeczywistość a zmyślenie w *Syzyfowych pracach*.
10. Trzy systemy szkolne w Polsce w ciągu półtora wieku (szkoła łacińska — według Kitowicza, szkoła polska — według Dygasińskiego, szkoła rosyjska — według Żeromskiego).
11. Trzej profesorowie-matematycy (u Syrokomli, u Dygasińskiego, u Żeromskiego; charakterystyka porównawcza).
12. Analogiczne typy i epizody w powieściach szkolnych Żeromskiego i Perzyńskiego.
13. Liryczny sposób narracji u Żeromskiego a epicki tryb opowieści u Dygasińskiego (zilustrować na przykładach z *Syzyfowych prac* i z opowiadania: *W Kielcach*).
14. Małe miasto prowincjonalne w zaborze rosyjskim przed pół wiekiem (według *Syzyfowych prac*).

BIBLIOGRAFJA ¹⁾.

1. Gałęcki Tadeusz: *Stefan Żeromski* (w książce zbiorowej „Charakterystyki literackie”. Lwów 1902).
2. Potocki Antoni: *Szkice i wrażenia literackie*. Lwów 1903.
3. Brzozowski Stanisław: *O Stefanie Żeromskim*. Warszawa 1905.
4. Irzykowski Karol: *Czyn i słowo*. Lwów 1913.
5. Matuszewski Ignacy: *Studja o Żeromskim i Wyspiańskim*. Warszawa 1922.
6. Jampolski Włodzimierz: *Stefan Żeromski, duchowy wódz pokolenia*. Lwów 1925.
7. *Księga pamiątkowa Kielczan*, pod redakcją Tomasza Ruśkiewicza. Warszawa 1925.
8. Ujejski Józef: *Ostatni wajdelota*. Warszawa 1926.
9. Borowy Wacław: *Żeromski i świat książek*. Kraków 1926.
10. Lange Antoni: *Pochodnie w mroku*. Warszawa 1927.
11. Wasilewski Zygmunt: *Wspomnienia o J. Kasprowiczu i S. Żeromskim*. Warszawa 1927.
12. Piółun-Noyszewski Stanisław: *Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo, młodość*. Warszawa-Kraków 1928.
13. Skiński Jan Emil: *Poza wieszczbiarstwem i pedanterją*. Poznań 1929.
14. Kaden-Bandrowski Juliusz: *Stefan Żeromski, prorok niepodległości*. Lwów 1930.
15. Adamczewski Stanisław: *Serce nienasycone*. Książka o Żeromskim. Poznań 1930.

¹⁾ Jest to tylko częściowa bibliografia obfitej literatury o Żeromskim.

SPIS TREŚCI

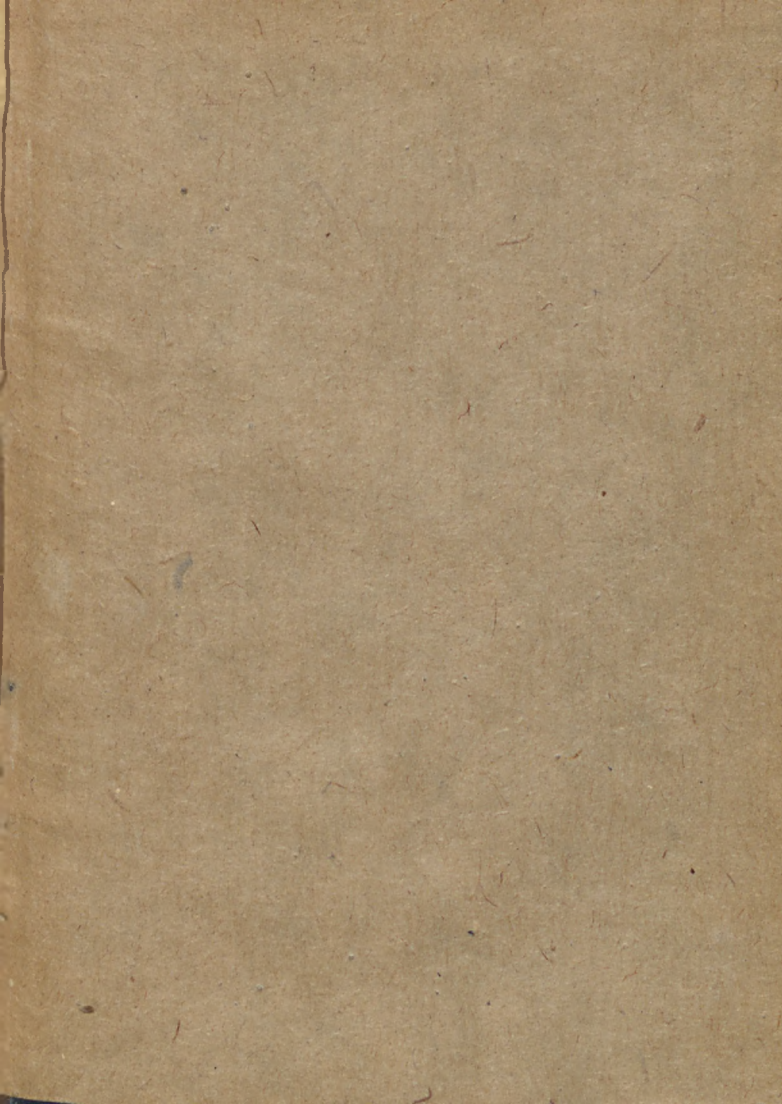
	Str.
Objaśnienia	5— 43
Przypisy	47—227
I. Życiorys autora <i>Szyzyfowych prac</i>	47— 53
Uzupełnienia do życiorysu	49— 53
a) O matce poety	49— 52
b) O pierwszej miłości poety	52— 53
II. Tło lokalne i historyczne <i>Szyzyfowych prac</i>	54— 74
A. Krajobraz rodzinnych stron St. Żeromskiego	54— 59
B. Kielce	59— 63
C. Szkoły kieleckie	63— 74
III. Pierwiastek biograficzny w <i>Szyzyfowych pracach</i>	75—101
a) Oddanie Stefanka do szkoły	75— 81
b) Pierwsze lata pobytu w Kielcach	81— 82
c) Dwór w Ciekotach i jego okolice	83— 85
d) Tradycje powstańcze w okolicach Ciekot i lud tamtejszy	86— 88
e) Wspomnienia kolegów o latach gimnazjalnych Stefana Żeromskiego	88— 99
f) Wspomnienia dzieciństwa w korespondencji Stefana Żeromskiego	99—101
IV. Z sądów o Żeromskim	102—112
a) Marjan Szykowski	102—104
b) Antoni Potocki	104—105
c) Stanisław Brzozowski	106—107
d) Antoni Lange	107—109
e) Włodzimierz Jampolski	110—112

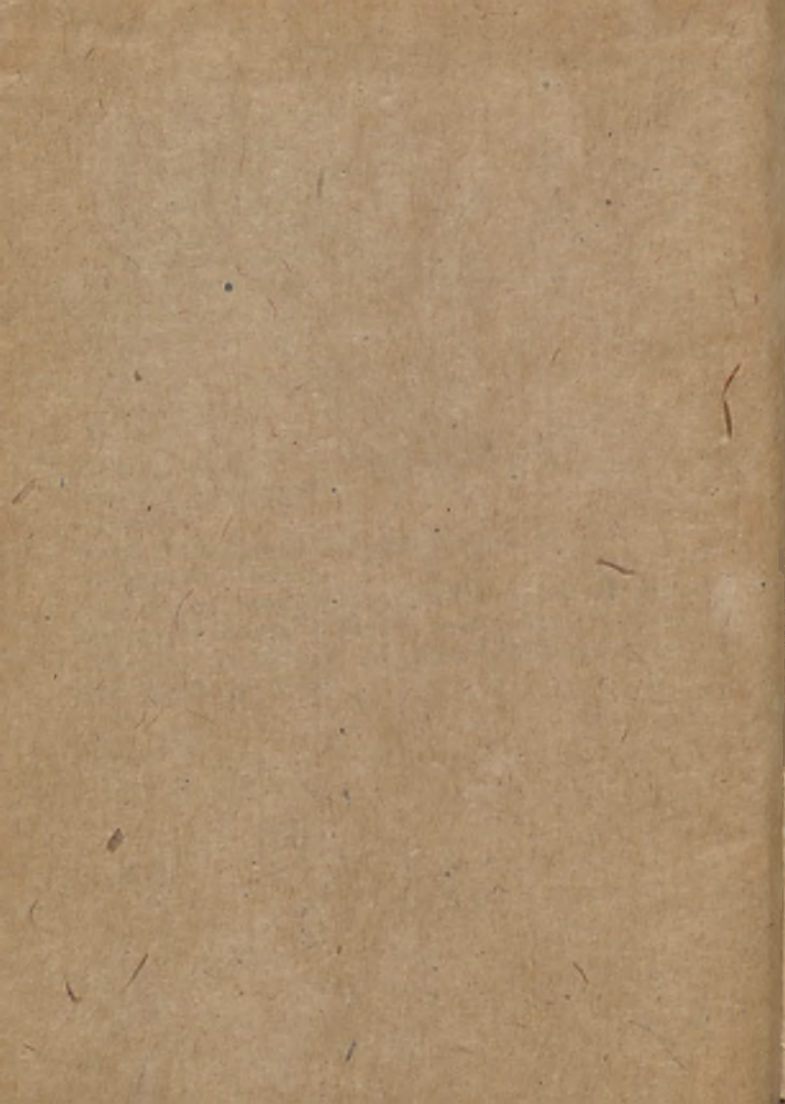
	Str.
V. Materiał porównawczy	113—227
A. Jędrzej Kitowicz	113—134
B. Władysław Syrokomla	135—142
C. Adolf Dygasiński	143—196
D. Henryk Sienkiewicz	196—210
E. Włodzimierz Perzyński	210—227
Wzory zagadnień do opracowania	229
Biblijografia	230

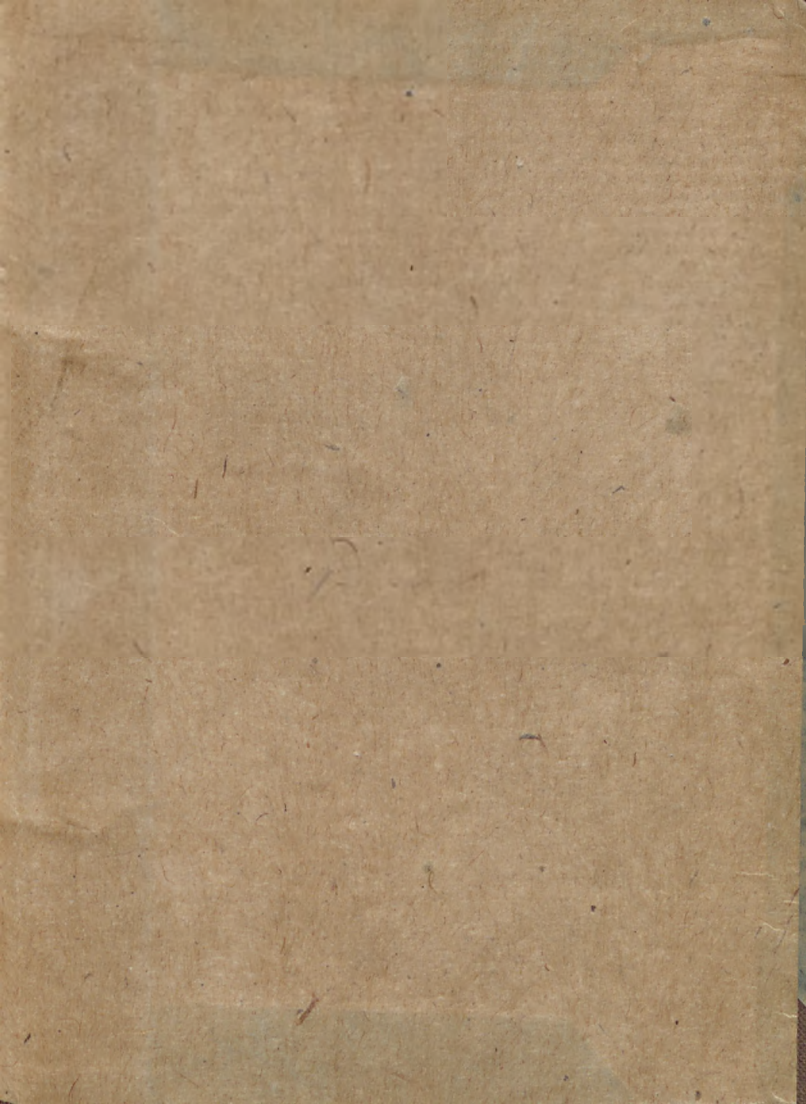
RYCINY

1. K. Mordasiewicz. Stefan Żeromski.
2. Kościół w Strawczynie.
3. Ciekoty.
4. Stefan Żeromski w wieku szkolnym.
5. Autograf Żeromskiego.
6. Dom przy ul. Starowarszawskiej Nr. 6, w którym mieszkał Żeromski w pierwszych latach swego pobytu w Kielcach.
7. Gimnazjum w Kielcach, do którego uczęszczał Żeromski.
Obok kościół św. Trójcy.









Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 43372



BGZs 43372